

JOANNA
SZARAŃSKA



Anioł
na
śniegu



JOANNA
SZARAŃSKA

Aniol
na
śniegu

Copyright © Joanna Szarańska, 2018

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Kinga Gąska

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Wasilewska

Fotografie na okładce: © Paul O'Connell, © Pinkyone, © 2M media, © rumraisin, © Sandra Cunningham | Shutterstock

Kon-wer-sja: Grze-gorz Ka-li-siak

ISBN 978-83-7976-072-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fre-dry 8, 61-701 Po-znań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Przed Wigilią

Noc poprzedzająca Wigilię była ciemna i ponura. Księżyc skrył się za skłębionymi chmurami. Mroku nie rozjaśniał nawet otulający wszystko śnieg, który zresztą pod wpływem rosnącej temperatury zmieniał się w strumyczki leniwie ciurkającej wody. Czapa śniegu pokrywająca gałązkę niedużej jodełki rosnącej pod kalwaryjskim blokiem zsunęła się na ziemię z głuchym pacnięciem.

Budynek przy ulicy Weissa tonął w ciemnościach. Jedyne źródłem światła była słaba lampa nad wejściem do klatki, ale umieszczona w niej żarówka migąła, jakby lada chwila miała dokonać żywota. Na wysokości drugiego piętra rozblysnął żółty prostokąt światła, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił, i blok ponownie pograżył się w mroku.

Przycupnięta pod parkanem postać jakby tylko na to czekała. Wybiegła z cienia i przecięła pokryty mokrym śniegiem trawnik, a następnie schroniła się pod kłującym drzewkiem. Dłonie niezdarnie objęły pień, badając jego grubość, oczy niespokojnie błądziły naokoło, rejestrując migające kolorowe światełka na balkonie sąsiedniego bloku i kota, który przemknął przez podwórko, zmierzając w tylko sobie znanym kierunku i nie poświęcając zdenerwowanemu człowiekowi cienia uwagi.

Postać sapnęła i odsunęła się od jodełki, sięgając za pazuchę. Błysnęło ostrze. Po chwili w nocną ciszę wdarły się głuche uderzenia połączone z trzaskiem łamanego drewna. Nie dotarły one jednak do pograżonych w głębokim śnie mieszkańców. Lokatorzy bloku przy ulicy Weissa śnili o nadchodzącej Wigilii, lukrowaniu pierniczków oraz o ostatnich świątecznych sprawunkach, nie wiedząc, że ktoś właśnie łapie chropowaty pień drzewka, ciągnie je między budynki i dalej, do miasta.

Ponura noc dobiegła końca, ustępując miejsca równie ponuremu rankowi. Mieszkańcy bloku powoli się budzili. Parzyli poranną kawę, odczuwając radosne podekscytowanie na myśl o czekającym ich wieczorze i planując prace, które musieli jeszcze wykonać. Na kuchenkach gazowych lub elektrycznych stawiali garnki ze smakowicie pachnącym barszczem z grzybami i moczonym całą noc jaśkiem. Od czasu do czasu zerkali w okno, pomstując na pogodę i znikający w szybkim tempie śnieg. Dzieci dopytywały, kiedy nareszcie ubiorą choinkę.

Starsza kobieta naciągnęła na uszy bordową czapkę i pchnęła drzwi wyjściowe. Zatrzymała się na chodniku przed klatką, mierząc spojrzeniem cienką warstewkę topniejącego lodu i zastanawiając się, czy powinna wyjąć szufłę. Nagle podniosła wzrok i zamarła. W piersi poczuła bolesne ukłucie, które zaraz wyparł palący gniew. Tupnęła stopą obutą w kozak na grubej podeszwie i zakłęła głośno.

Mieszkańcy bloku, których okna wychodziły na podwórko, odsuwali firanki i spoglądali na nią, jak miota się wściekle po zdeptanym trawniku i wyklina.

– I niech ci pień w dupie wyrośnie! – wykrzykiwała.

Całkiem się biedaczce w głowie przewracało, kiwali głowami zgnębieni. A potem podążali wzrokiem za niedużą postacią w bordowej czapce i z wrażenia aż tracili dech. Jeszcze nigdy podwórko przed blokiem przy ulicy Weissa nie było tak ponure i smutne. Kawalek lichego trawnika znaczyły łaty brudnego, na wpół roztopionego śniegu, a w jego centralnej części oskarżycielsko sterczał roztrzaskany pień po jodełce.

Niejedna łza spłynęła tego poranka po policzkach mieszkańców bloku przy ulicy Weissa. Ich ukochana jodełka, pod którą mieli się spotkać, by połamać opłatek i złożyć świąteczne życzenia, zniknęła. Pozostał po niej kawałek pniaka i pomstująca staruszka.

Wcześniej

Zuzanna

W piątek piętnastego grudnia po bloku przy ulicy Weissa rozszedł się smakowity zapach pieczonego ciasta. Wraz z każdym uchYLENIEM drzwi prowadzących na klatkę schodową przyjemny aromat wydobywał się na podwórko. Majsterkujący przy starym polonezie Waław Malinowski kilkakrotnie pociągnął nosem i poczuł, jak jego żołądek reaguje na przyjemną woń gwałtownym burczeniem. Niestety, piątki – szczególnie te adwentowe i postne – rządziły się w mieszkaniu Malinowskich określonymi kulinarnymi prawami. Tego popołudnia pan Waław pod czujnym okiem małżonki posłusznie spałaszował talerz makaronu z serem i teraz przepelnionym tęsknotą wzrokiem omiótł okna górującego nad nim budynku. Ciekawe, zza którego dolatywał ten nęcący zapaszek? Kto z sąsiadów będzie tego wieczoru delektował się smakiem i zapachem domowego wypieku? Waław Malinowski sięgnął do kieszeni i wrzucił do ust miętówkę, a następnie z głośnym westchnieniem zanurkował pod uniesioną maskę.

Tymczasem w mieszkaniu pod numerem piątym pałaszowano właśnie ostatnie kawałeczki pulchnego biszkoptu z dżemem porzeczkowym. Trzy przyjaciółki spotkały się przy popołudniowej kawie, by omówić świąteczne plany i przedyskutować nieobecność czwartej. Gospodyni spotkania, Zuzanna, pochyliła się nad zeszytem w niebieskiej okładce i sięgnęła do leżącego na stole piórnika. Przez chwilę energicznie mieszała jego zawartością, aż w końcu natrafiła na żelowy długopis z fioletowym wkładem.

– Żałobny! – mruknęła pod nosem, na powrót nurkując ręką między artykuły szkolne. Dwie pozostałe kobiety spojrzały na nią zdumione. Anna przewróciła oczami, Monika uśmiechnęła się leciutko, podrzucając na kolanie drzemiącego synka. Tymczasem Zuzanna natrafiła na czerwony długopis z brokatem i usatysfakcjonowana spojrzała na przyjaciółki. Widząc ich rozbawione spojrzenia, zamarła. – No co?

– Spotkałyśmy się, by stworzyć listę upominków dla lokatorów, a nie wysublimowaną kompozycję kolorystyczną! – mruknęła Anna.

– Ale czerwony pasuje do listy prezentów! I ten brokat... No, chyba że wolicie zieleń?

Anna potrząsnęła głową. Monika uniosła starannie wymodelowaną brew.

– Podwędziłaś córce piórnika? – zapytała z niedowierzaniem.

Zuza wzruszyła ramionami.

– Mam własny. Z czego się śmiejecie? Lubię, jak wszystko do siebie pasuje! Poza tym ułatwia mi to sprawy organizacyjne. Wystarczy rzut oka i już wiem, z czym mam do czynienia. Listy zakupów piszę na niebiesko. Intencje mszalne na czarno. Zeszyt z przepisami prowadzę wyłącznie piórem kulkowym, a dzienniczek Agaty podpisuję...

– Sraczkowatym! – Anna zarechotała. Monika walczyła ze sobą, ale również nie zdołała opanować wesołości. Zuzanna przyglądała się im bez słowa, z uniesionym czerwonym żelopisem w dłoni, aż w końcu kąci jej ust zadrzały i po chwili trzy kobiety zaśmiewały się do łez. Anna pierwsza wyprostowała się na krześle, upiła łyżeczek kawy z ceramicznego kubka ze Świętym Mikołajem i odchrząknęła. – Dobra, pisz sobie na czerwono, fioletowo, a nawet zielono, tylko w końcu miejmy to z głowy. Po ubiegłorocznej akcji obiecałyśmy sobie, że nikt w naszym bloku nie spędzi świąt samotnie i że zadbamy o serdeczną atmosferę między mieszkańcami. Stąd pomysł, by każdemu sprawić mały upominek. Wszyscy za?

– Wszyscy obecni – zgodziła się w imieniu swoim i Moniki Zuzanna, która nie mogła wybaczyć Marzenie, że nie wygospodarowała godzinki na spotkanie z przyjaciółkami i planowanie tak chlubnej i ważnej inicjatywy.

– Świetnie. – Anna skinęła z zadowoleniem głową. – Wspólnie wybierzemy upominki dla sąsiadów, a jeśli chodzi o prezenty dla nas – wyszczerzyła zęby – proponuję wspólny wypad do spa, bez mężów, dzieci, zwierząt domowych... – Rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku wiklinowego koszyka, w którym posapywała Nuda, maleńka suczka przygarnięta przez Fijusów.

– To nie przejdzie... – Dłoń Zuzy zawisła nad kartką.

– Nic z tego – sprzeciwiła się gwałtownie Monika. – Po powrocie nie poznałabym własnego domu.

Pozostałe kobiety pokiwały głowami. Doskonale знаły sytuację rodzinną Moniki. Jej teściowa uznawała siebie za wszechwiedzącą. Szczególnie w takich kwestiach jak prowadzenie domu, gotowanie i opieka nad dzieckiem. Co prawda mama Kwiatek mieszkała osobno w niewielkim domku pod miastem, ale nie było dnia, by niby przypadkiem nie wpadła z wizytą do ukochanego wnuczka i przy okazji nie udzieliła Monice bezcennych rad.

– W takim razie będziemy wybierać prezenty naprzemiennie. My trzy...

– Dwie – wtrąciła Zuzanna, unosząc znacząco brew.

– ...dla Zuzanny. Wy trzy...

– Dwie – powtórzyła Zuzanna, postukując długopisem w twardą okładkę zeszytu.

Anna spiorunowała ją wzrokiem.

– Przepraszam, teraz ja mówię. To nieładnie przerywać, kiedy usiłuję powiedzieć, że wy trzy...

– Dwie – uściśliła Zuza i zaraz dodała: – Przecież wcale się nie odzywam i nie marudzę, że pewne osoby nas zlekceważyły, nie przychodząc na to spotkanie.

– Więc się nie odzywaj i nie marudź. A potem my trzy wybierzemy prezent dla Marzeny – zakończyła Anna.

Monika poruszyła się z lekkim grymasem. Piotruś z dnia na dzień robił się coraz cięższy, a niestety nie potrafił porzucić zwyczaju zapadania w drzemki na kolanach mamy. Zaciskał pulchną piąstkę na kosmyku za jej uchem i zasypiał w najlepsze. Oczywiście teściowa wiedziała, co o tym powiedzieć! Poczucie bliskości? Kiedyś tego nie było, dzieci się chowały i były zdrowe! Nie to co teraz, cuda-wianki, wydziwianki!

– A co z prezentem dla pani Michalskiej? – zapytała młoda matka. – Macie już jakieś pomysły?

– Tak! – wykrzyknęła Zuzanna, podrywając się znad zeszytu. Piotruś sapnął przez sen, a po kuchni poniosło się stanowcze: „pssst!”. Zuzanna z wrażenia pokryła się purpurą i szybko zasłoniła usta.

– No? – Pozostałe kobiety spojrzały na nią wyczekująco.

– Kupmy jej nową miotłę!

Anna postukała palcem w czoło.

– Ty to się chyba z choinki urwałaś. Codziennie sarka na nas, że musi sprzątać, bo nam się nie chce porządnie butów otrzepać, a ty jej zamierzasz miotłę sprezentować? Może jeszcze inne cholerstwo do tego? Na przykład zestaw środków czyszczących?

– No dobra, dobra. – Obrażona Zuzanna ponownie przyjęła przygarbioną pozycję nad zeszytem. – Jeśli macie lepsze pomysły, to proszę. Mnie się praktyczne prezenty podobają. Zimę stulecia zapowiadają, więc miotła do odśnieżania będzie jak znalazł...

– Może w pakiecie dorzucimy łopatę i trzaśniemy cię nią w głowę – zgodziła się Anna. – Nie, słuchajcie, musimy wymyślić coś ekstra. Tak żeby to naprawdę była miła niespodzianka. O, mam tu kartkę przygotowaną przez panią Celinę z biblioteki. Pan Malinowski bardzo lubi powieści Dana Browna. Może kupimy mu tę nową książkę? Już trzy razy o nią pytał.

– Dobry pomysł. To gruba cegła. Przyda mu się do obrony przed żoną. – Monika

zachichotała. Zuza skinęła głową i starannym, zaokrąglonym pismem zanotowała tytuł przy nazwisku sąsiada z ostatniego piętra.

– Dla pani Malinowskiej bambusowe wałki do włosów. Pasuje? Dla Jakuba... hmmm, może zestaw szklanek do piwa?

– W żadnym razie – sprzeciwiła się Monika. – Kupmy mu wiertelko.

– Wiertelko?

– Tak, od lipca proszę o zawieszenie lustra w łazience i się nie da. Bo wiertelka nie ma.

– W porządku, wiertelko dla Moniki, znaczy dla Jakuba... – Zuzanna zanotowała kolejny pomysł na prezent.

– Dla Kajtka? Mam tu wykaz jego lektur bibliotecznych...

– Oooo! – Zuzanna aż otworzyła szeroko oczy. – Co czyta? Mam nadzieję, że nic świńskiego? – zaniepokoiła się. Rok wcześniej podczas pakowania świątecznych podarunków natrafiła na stertę starych świerszczyków. Przekonana, że należą do jej męża, zaczęła podejrzewać Kajetana o zainteresowanie innymi kobietami, co zaowocowało serią dziwacznych przypadków i całkiem przyjemną znajomością ze zwariowaną panią detektyw, Kaliną Radecką-Piórecką.

– Nieee... – zawahała się Anna. – Zapisał się do oddziału dla dzieci. Czyta Pottera i *Tomka na tropie Yeti*. Nawiasem mówiąc, przetrzymuje książkę już od wielu miesięcy i dostał dwa upomnienia. Powinien się zgłosić i zapłacić karę.

– Jejku, czy on nigdy nie może normalnie? – zdenerwowała się Zuzanna. – Jak nie porno z lat dziewięćdziesiątych, to nieletni czarodziej, w dodatku sierota!

– O gustach się nie dyskutuje, poza tym to nie było jego porno – upomniała ją przyjaciółka. – A ty lepiej oddaj tego Greya, którego trzymasz od czerwca. Inni też chcą poczytać.

– W tym miasteczku nic się nie ukryje – mruknęła zarumieniona Zuzanna. – Wszystko człowiekowi wypomną, nawet czytane książki...

– Czy możemy wrócić do prezentów gwiazdkowych? – Monika postanowiła zainterweniować i przywołać przyjaciółki do porządku. – Dla dzieci, jak rozumiem, kupujemy we własnym zakresie?

Trzy kobiety pochyliły się nad zeszytem i półgłosem rzucały propozycje prezentów dla mieszkańców bloku przy ulicy Weissa. Po dłuższych pertraktacjach i przy licznych zgrzytach, fochach i kompromisach wstępna lista była prawie gotowa, pozostało tylko ustalić upominki dla nich samych i wymyślić coś ciekawego dla pani Michalskiej. Ten podarunek musiał być wyjątkowy. Nie tylko dlatego, że to właśnie staruszka zainicjowała wspólne świętowanie wśród sąsiadów, ale przede wszystkim ponieważ sama była osobą dość specyficzną.

Przyjaciółki spojrzały po sobie zgnębione. Poza pomysłem Zuzanny, który z oczywistych względów nie był brany pod uwagę, nie padła żadna propozycja, co by tu pani Michalskiej sprezentować. Zuzanna westchnęła teatralnie.

– Na szczęście mamy jeszcze tydzień. Coś się wymyśli! – Nagle jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Zamknęła zeszyt, założyła skuwkę na długopis i posłała przyjaciółkom wyczekujące spojrzenie. – Czy teraz, kiedy kwestię prezentów mamy obgadana, możemy przedyskutować, co dzieje się z naszą drogą Marzeną? Komu zrobić jeszcze kawy?

Marzena

W chwili, gdy przyjaciółki przyjmowały z rąk rozpromienionej Zuzanny kubeczki ze świeżo zaparzoną kawą, w mieszkaniu za ścianą rozgrywał się cichy dramat. Jego właścicielka rozpakowała torbę z zakupami i weszła do łazienki, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Na półce nad umywalką w równiutkim rzędzie ustawiła trzy prostokątne pudełka, a następnie na nieco rozdygotanych nogach zbliżyła się do sedesu i opuściwszy jego klapę, opadła nań z głuchym jękiem.

Marzena była atrakcyjną młodą kobietą, która lubiła swoje odbicie w lustrze. A polubiła je jeszcze bardziej, odkąd rok temu w jej życiu pojawił się pewien mężczyzna. Na każdym kroku pokazywał, jak wiele Marzena ma powodów, by czuć się piękną i seksowną. Z miejsca, w którym siedziała, widziała zaledwie czubek swojej głowy, ale nie musiała mieć podglądu na resztę, by wiedzieć, że tego dnia wyglądała jak siedem nieszczęść. Spocona, pobladła, rozczochrana, z dzikim, rozbieganym wzrokiem. Może to i dobrze, że się nie widziała?

Widziała za to trzy pudełka ułożone na ciut przykurzonej półce ze szkła. Marzena zajęczała, uniosła się nieznacznie i sięgnęła po pierwszy kartonik.

– To całkowicie irracjonalne – mruzczała pod nosem, podważając zamknięcie paznokciem – bo choć teoretycznie i praktycznie możliwe, to przecież zupełnie bez sensu. Poza tym ja się nie zgadzam, rozumiesz? – Postukała palcem w wydobytą z pudełka plastikową płytkę. – W ogóle się nie zgadzam. No, dobra, rozluźnij się, malutka... Jezu, co ja plotę, rozmawiam z własną...

Marzena odłożyła kawałek plastiku na umywalkę i splotła dłonie na kolanach. Z grobową miną wpatrywała się w przeskakujące wskazówki zegarka, który nosiła na lewym nadgarstku. Po upływie pięciu minut wypuściła nagromadzone w płucach powietrze, sięgnęła po płytkę i rzuciła na nią okiem. Na widok dwóch jasnoczerwonych kreseczek zarechotała nerwowo.

– Zepsuty. Oczywiście właśnie mnie musiał trafić się zepsuty! – prychnęła, ciskając testem do stojącego obok umywalki kubek na śmieci. – No dobra, ten powinien być dobry! Nie można mieć aż takiego szczęścia, aby trafić na dwa zepsute, co nie?

Szybko odpakowała kolejny test i przebiegła wzrokiem po załączonej ulotce. Sięgnęła po płytkę z plastiku, ale zawahała się. Jej wzrok z trzymanego testu powędrował w kierunku sufitu.

– Ja wiem, że jest grudzień, miesiąc, kiedy narodził się twój syn, i może ci się wydawać dobrym pomysłem, żebym ja także urodziła własnego, ale zapewniam cię, że to kiepski plan. Mam śmieciową umowę, pracuję w niemal wszystkie weekendy, nie zdążyłam się jeszcze pozbyć rozstępów po poprzedniej ciąży, a mój związek jest właściwie świeżakiem, tyle że nie z Biedronki. I ja naprawdę wiem, że seks pozamałżeński to zło, ale łatwo tak mówić, gdy ma się męża! Więc, Matko Boska, zrozum mnie jak kobieta kobietę i jeśli możesz, wstaw się gdzie trzeba za negatywnym wynikiem tego testu. – Po namyśle dodała: – Amen. – I odłożyła kolejny użyty test w to samo miejsce na umywalce.

Oczekując na wynik, zamyśliła się nad przewrotnością losu. Rok temu wiodła spokojne, a nawet ciut nudne życie, a cały jej świat kręcił się wokół ośmioletniej córeczki i słabo opłacanej pracy na kasie w miejscowym supermarkecie. Chociaż było to niezdrowe myślenie, nie sądziła, by życie mogło jej jeszcze zaoferować coś ciekawego i podniecającego. Zaprzętało ją utrzymanie jedyne źródła dochodu, opłacenie rachunków i wypełnienie niedużej lodówki wciśniętej między okno a kuchenną szafkę. Zapominała, że Stasia ma swoje potrzeby i oczekuje od niej czegoś więcej niż standardowe pytanie o odrobione lekcje, a własną samotność wypłakiwała nocami w poduszkę. Mieszkająca na parterze pani Michalska uświadomiła jej jednak, że nie tędy droga. Słowa staruszki dały Marzenie do myślenia. Stopniowo zmieniała swoje zachowanie. W pracy

stała się bardziej asertywna, wieczory ze Stasią zappełniły się śmiechem i rozmowami, a znajomość z poznanym przypadkowo Maciejem przerodziła się w coś głębszego. W jej życiu zapanowało szaleństwo, ale było to szaleństwo przyjemne, ekscytujące i mile łączące od środka. I nie tylko od środka, nawiasem mówiąc.

A teraz oczekiwała na wynik testu ciążowego!

To dopiero szaleństwo!

Marzena zacisnęła mocno powieki i wyciągnęła przed siebie drżącą rękę. Przez chwilę macała nią na oślep, aż w końcu palce natrafiły na chłodną krawędź umywalki i zacisnęły się na niedużym kawałku plastiku. Kobieta złapała go niczym koło ratunkowe i przycisnęła do mocno walącego serca. Zmusiła się, by otworzyć oczy i rozchylić palce. Na białej płytce wyraźnie odznaczały się dwie grube czerwone krechy.

– Szlag! – wrzasnęła, tupiąc ze złości prawą nogą. Zerknęła groźnie w kierunku sufitu, jakby przy wylocie klatki wentylacyjnej znajdował się specjalny tunel, który zawiedzie jej błagania wprost do nieba. – No dobra. Domyślam się, że właśnie byłaś zajęta i nie dosłyszałaś mojej prośby – wyjęczała żałośnie. – Rozmawiałaś z synem albo miałaś jakieś swoje sprawy, nie wiem, czym zajmujecie się tam na górze. Ale proszę cię, Maryjo, skup się. Ja nie mogę być w ciąży. A został mi ostatni test.

Tym razem szybkim i zdecydowanym ruchem rozerwała opakowanie i postępując zgodnie z instrukcją, naniosiła próbkę, a potem ułożyła test na kolanach i mocno zaciskała na nim kciuki i palce wskazujące, jak gdyby to mogło dopingować pojawienie się pożądanego wyniku. Z natężeniem wbijała wzrok w pole testowe, na którym najpierw pojawiła się jedna czerwona kreseczka, a zaraz za nią kolejna...

Marzena zakląła szpetnie, wykorzystując słowo, które nie nadaje się do przytoczenia w tak optymistycznej i rodzinnej historii, po czym wstała z sedesu i poprawiła na sobie ubranie. Po chwili namysłu wygrzebała pierwszy test z kubelka na śmieci, pozbierała porozrzucane kartoniki, instrukcje i dwie kolejne plastikowe płytki, a następnie wcisnęła je do pudełka z przeterminowaną farbą do włosów. Na koniec posłała w kierunku sufitu rozżalone spojrzenie.

– Wielkie dzięki. Jak kobieta kobietę. Solidarność jajników, dobre sobie! Pewnie teraz patrzysz na mnie z uśmiechem i mówisz, że będzie dobrze, że wiesz to! Mam nadzieję, że wiesz też, jak poinformować dziewięcioletnią jedynaczkę o majaczącym na horyzoncie rodzeństwie! Bo ja nie wiem, jak to zrobić, i na pewno zgłoszę się do ciebie po radę.

Mama Kwiatek

W niedużym domku, tuż za torami linii kolejowej z Krakowa do Bielska-Białej, mama Kwiatek zdecydowała, że pora umrzeć.

Z tym zamiarem nosiła się właściwie już od kilku miesięcy, a dokładniej mówiąc od momentu, gdy jej synowa, Monika, oświadczyła, że zamierza powrócić do pracy w dużej hurtowni akcesoriów meblowych. „A co tym tam będziesz robić?”, chciała zapytać mama Kwiatek, ale ugryzła się w język i napuszyła, jak przystało na dumną babcię, która za chwilę zostanie poproszona o roztoczenie opieki nad ukochanym wnukiem. Ku zdumieniu kobiety młodzi oświadczyli jednak, że z Piotrusiem zostanie niania. Tego mama Kwiatek zdzierżyć już nie mogła! Sapnęła, tupnęła i zapalała świętym oburzeniem.

– Ale jak to? – zapytała rozżalona.

Jakub uśmiechnął się znacząco.

– Oj, mamo, przecież my wiemy i rozumiemy, że masz swoje życie. Zaangażowałaś się w działalność chóru parafialnego i podobno świetnie ci idzie!

Mama Kwiatek skinęła głową, bo skoro podobno, to nie wypadało zaprzeczyć. Nawet jeśli w tym „świetnie” zamykało się przede wszystkim komenderowanie członkami zgromadzenia oraz picie kawy z księżowską gospodynią i paniami z rady parafialnej. Połączone z niewinnymi ploteczkami na temat mieszkańców miasteczka, oczywiście.

– No, ale... – próbowała jeszcze zaprotestować.

Jednak synowa natychmiast jej przerwała:

– Nie możemy wymagać, by mama wyrzekła się swoich przyjemności.

Mama Kwiatek skinęła głową zrezygnowana i pomyślała, że co to za przyjemność. Przyjemne to było, jak w drodze z placu targowego zachodziła do przytulnego mieszkanka przy ulicy Weissa i mogła pobawić się z wnukiem. Albo gdy, widząc niedokładnie pozmywane naczynia, łapała za szorstką myjkę i pomagała doprowadzić je do porządku. Gdy pod nieobecność „dzieci” robiła porządek w komodzie w przedpokoju, albo kiedy przynosiła garnek rosółu w te dni, w które Monika zarządzała „dzień oczyszczania” i podawała warzywa gotowane na parze. Ale śpiewanie w chórze? To było zabawne na początku, kiedy wszyscy piali z zachwyty nad jej profesjonalizmem i zaangażowaniem! Teraz już niekoniecznie.

I właśnie wtedy mama Kwiatek uznała, że najwyższa pora zejść z tego świata. Młodym nie była potrzebna, co udowodnili, zatrudniając w charakterze niani tę nieopierzoną studentkę pedagogiki z niezdrowo uchylonymi ustami. Oczywiście kiedyś zrozumieją, jak bardzo im jej brakuje, ale wtedy będzie już za późno. Mama Kwiatek z zadowoleniem pokiwała głową na myśl, że kiedy syn i synowa pojmą, jak wielki błąd popełnili, ona spocznie już w grobie. Szczególnie że na moment odejścia ze świata wybrała sobie czas przed świętami. A jak wiadomo, nic tak nie potęguje tęsknoty i żalu, jak puste miejsce za wigilijnym stołem.

Zapłaczą za mną, cieszyła się, i to rzewnymi łzami!

Jak przystało na porządną gospodynię, mama Kwiatek starannie przygotowała się do planowanej śmierci. Z samego rana zmieniła pościel, wstawiła pranie i dokładnie wywietrzyła domek, otwierając szeroko wszystkie okna i pozwalając wtargnąć do wnętrza rześkim, mroźnym podmuchom. Przed południem wyszorowała półki w kuchennym kredensie, wypucowała na błysk zlew, kuchenkę i błękitne flizy. Po skromnym obiedzie pozmywała naczynia, wytarła je ściereczką i odstawiła na swoje miejsce. Przygotowała sobie kubek herbaty, zasiadła w ulubionym fotelu i obejrzała powtórkowy odcinek serialu, z delikatnym uśmieszkiem konstatuując, że gdy zostanie wyświetlony kolejny sezon, jej już zabraknie na ziemskim padole.

Po zakończeniu emisji wyłączyła odbiornik, nakryła go koronkową serwetką, zmyła po sobie kubek, przeszła wzdłuż i wszerz mały domek, aby sprawdzić, czy wszystko jest w jak najlepszym porządku, a następnie z błogim westchnieniem ułożyła się na wersalce. Pod głowę podłożyła wygodny jasiek, a dłonie spłótła na piersi.

Co tu robić przy tym umieraniu? – zastanawiała się przez chwilę stropiona. W końcu postanowiła przymknąć oczy i powspominać przyjemne momenty, być może po raz ostatni. Bądź co bądź nie wiadomo, jak to wygląda i czy po przejściu na drugą stronę nie kasuje się wszystkich myśli i wspomnień! Z tego powodu mama Kwiatek z rozanielonym wyrazem twarzy przypominała sobie, jak w dzieciństwie podprowadziła siostrze kupionego na odpuszcie kogucika. Potem wróciła wspomnieniami do dzieciństwa Jakuba i z niemalą dumą przyznała, że była wyśmienitą matką. Na koniec przypominała sobie, jak panie z rady parafialnej pochwaliły pomnik, który zamówiła dla świętej pamięci męża.

Mama Kwiatek z głuchym jękiem otworzyła oczy.

Czy Jakub i Monika zamówią jej ładny pomnik?

Czy zapewnią godny pochówek? Nigdy z nimi o tym nie rozmawiała, a znając dziwactwa synowej, jeszcze gotowi ją skremować i zamknąć w słoiku po musztardzie, a pieniądze przeznaczone na dębową trumnę, granit i pozłacaną sentencję ofiarować na rzecz dzieci głodujących w Afryce lub na ratowanie wymierającego gatunku pingwinów! Mama Kwiatek pojękiwała, wiercąc się na wersalce i załamując ręce.

W końcu zrezygnowana pokręciła głową i podciągnęła się do pozycji siedzącej. Z głośnym stęknieniem zsunęła stopy na podłogę.

Myliła się. Nie była jeszcze gotowa na śmierć. Zanim odejdzie z tego świata i złoży swoje ciało na starannie zaścielonej pasiastą narzutą wersalce, musi pewnych spraw dopilnować. Osobiście.

Dokonała pospiesznych obliczeń i uśmiechnęła się uspokojona. Włożyła kapcie, wstała i pociągając nosem, ruszyła w kierunku kuchni. Planując swoją śmierć, przezornie nie napaliła w piecu i w domu panowało przejmujące zimno. Mama Kwiatek sięgnęła po czajnik. Postanowiła wypić gorącą herbatę i przejść się do miasta. Może odwiedzi wnuka?

Sprawę umierania lepiej odłożyć do Wielkanocy.

Anna

Po wyjściu z mieszkania pod numerem piątym Anna przystanąła na klatce schodowej. Przelotnie zerknęła na wyświetlacz komórki, a potem nerwowo obejrzała się za siebie. Z mieszkania Fijusów dobiegało radosne przekomarzanie Zuzanny i Moniki. Przez moment kobieta zapragnęła wrócić do przytulnej kuchni, usiąść za stołem z przyjaciółkami i poprosić o kolejny kubek gorącej kawy. Zaraz jednak naciągnęła na uszy obszytą futerkiem czapkę i zbiegła po schodach ku wyjściu, mówiąc sobie, że jako osoba dorosła wie, co robi. Nawet jeśli nie jest do końca o tym przekonana.

Drogę między budynkiem przy ulicy Weissa a rynkiem pokonała różnym krokiem, podśpiewując pod nosem, aby dodać sobie animuszu. Mijając nieliczne przeszklone witryny, rzucała w nie okiem, podziwiając zmiany, jakie zaszły w niej w ciągu minionego roku. Lekko rozjaśnione włosy, policzki muśnięte dobrym pudrem, modny beżowy płaszcz do kolan i kozaki na słupku. Przez szesnaście lat Anna żyła pod dyktando swojego męża Waldemara, odmawiając sobie każdej przyjemności. A przynajmniej każdej, która mogłaby stać się obciążeniem dla domowego budżetu. Lakier do paznokci? Pachnący krem do rąk? Nowa bluzka? To była rozrzutność przygotowująca Jurczyka o wielogodzinne ataki... płaczu. Anna nikomu nie wyznała, z jakimi zachowaniami męża musiała się zmagać, zanim ten spakował sfatygowane walizki i opuścił małopolskie miasteczko, by szukać szczęścia i bogactwa na Wyspach. Teraz sama sobie była przysłowiowym sterem, żeglarzem i okrętem. Dzięki wieloletnim oszczędnościom Waldemara przetrwała najtrudniejsze pierwsze tygodnie, a za sprawą czujnej pani Michalskiej, która codziennie odwiedzała ją i dopingowała do wprowadzania kolejnych zmian w życiu, nie miała ani chwili, by się zawahać, czy dobrze robi, zostając w kraju. W dodatku całkiem sama. To pani Michalska zresztą pomogła jej stanąć na nogi i znaleźć pierwszą w życiu pracę. Wykorzystując małomiasteczkowe znajomości i siłę swego charakteru, wymogła na miejscowym przedsiębiorcy, by zatrudnił Annę w biurze.

– Nie potrzebuję pracowników – marudził mężczyzna. – Nie stać mnie na kolejną osobę...

– Te, Feluś, a na karę cię stać? Ja mam nogi stare, ale do urzędu miasta jeszcze dojdę i mogę zgłosić, że mi ktoś smrodzi pod nosem. Ciekawe, co by ci z tego komina wygrzebali, he?

Następnego dnia Anna podpisała umowę na okres próbny i dostała przykaz, by nie wpuszczać na teren przedsiębiorstwa żadnych podejrzanych osób z teczkami i dziwnym oporządzeniem. A wścibskich staruszek tym bardziej.

Z trzymiesięcznego okresu próbnego Felicjan Kalinowski szybko wyciągnął wnioski. Anna Jurczyk okazała się obrotną pracownicą, która choć pozbawiona wykształcenia i zawodowego doświadczenia, świetnie odnalazła się w nowej roli i zrewolucjonizowała pracę jego firmy, niejednokrotnie wdrażając znakomite pomysły. A przy tym była diabelnie atrakcyjną kobietą, z którą chętnie umówiłby się na kawę. Co też niezwłocznie uczynił.

Anna uśmiechnęła się pod nosem, wspominając to pierwsze spotkanie, na którym zjawiała się przekonana, że szef chce omówić z nią sprawy zawodowe. Kiedy okazało się, o co naprawdę chodzi panu Kalinowskiemu, spłoszona przyznała, że właściwie to chyba ma męża. Raczej na pewno ma, choć ten od ponad trzech miesięcy nie daje znaku życia, bo rozmowy są drogie, złodziei pocztowców sponsorował nie będzie, a internet to z pewnością wynalazek diabła. Słyszając wyznanie Anny, Felicjan nieco się stropił. Bo co innego spotykać się z wdową czy rozwódką, co innego z mężatką, co to ją lada chwila może nakryć rozwścieczony mąż, a jeszcze co innego z kobietą, która biedna nawet nie wie, kim na dobrą sprawę jest. Po krótkich

dywagacjach ustalili, że póki sytuacja Anny nie zostanie jasno określona, będą się spotykać wyłącznie na gruncie zawodowym. I respektowali to postanowienie do chwili, gdy z odległego Leicester nadszedł list stanowczo wzywający kobietę do dołączenia do męża. W postscriptum znajdowało się dopisane koślawym pismem ultimatum (Waldemar najpewniej dodał sobie kurażu setką albo czterema) – jeśli w przeciągu tygodnia Anna nie zjawi się pod wskazanym w liście adresem, Jurczyk występuje o rozwód. Anna skwitowała żądania Waldemara niedbałym wzruszeniem ramion. Tydzień później umówiła się z Felicjanem na pierwszą randkę.

Na ten piątkowy wieczór zaplanowali randkę numer sześć, która była o tyle wyjątkowa, że Felicjan zapytał, czy po ich zwyczajowej kawie w cukierni Pysia mogą się napić wina w mieszkanku Anny. Kobieta zwlekała z odpowiedzią, więc szybko zaznaczył, że chodzi tylko i wyłącznie o wino, ale coś w jego wzroku zbitego psa powiedziało Annie, że chyba nie tak do końca. Ostatecznie wyraziła zgodę, choć nadal coś ją uwierało od środka. Z jednej strony wciąż formalnie uchodziła za żonę Waldemara, nawet jeśli ich małżeństwo zakończyło się totalną katastrofą. Z drugiej była wciąż młodą kobietą, która miała swoje potrzeby i tęsknoty, a Felicjana uznawała za naprawdę atrakcyjnego faceta. Ostatecznie, klęcząc na samą siebie, spędziła godzinę w wannie, zużyła dwie golarki jednorazowe i włożyła nową, koronkową bieliznę, którą w pierwszym porywie wolności kupiła wiele miesięcy wcześniej. Na wszelki wypadek, mruknęła, sama przed sobą nie chcąc przyznać, o jaki wypadek może chodzić. Później, siedząc w mieszkaniu Zuzanny i planując zakup świątecznych upominków dla sąsiadów, ulatywała myślami w kierunku czekającego w kawiarni mężczyzny i zastanawiała się, czy nie zrezygnować z umówionego spotkania.

Bo przecież wciąż miała męża.

Nawet jeśli ten mąż przebywał setki kilometrów stąd i przez niemal rok nie pofatygował się, by podać jej swój adres lub chociaż dać znać, że dotarł na miejsce w jednym kawalku. I nawet jeśli miał wszelkie predyspozycje do tytułu świra roku, to nadal był jej cholernym mężem.

– Który zawsze robi mi na złość – mruknęła Anna, zaglądając przez oszklone drzwi do wnętrza kawiarni. Na widok Felicjana pochylonego nad płachtą gazety uśmiechnęła się i sięgnęła do klamki.

Idąc do stolika, poczuła, jak po jej wnętrzu rozlewa się przyjemne ciepło. Najpierw pomyślała, że to przez duchotę panującą w lokalu, ale szybko zrozumiała, że chodzi o coś innego. Stanęła przy Felicjanie i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu, a kiedy podniósł na nią oczy, uśmiechnęła się szeroko i gwałtownie wypuściła nagromadzone w płucach powietrze. Mężczyzna uczynił gest, jakby chciał wstać i pomóc jej zdjąć płaszcz.

– Czego się napijesz? – dopytywał zaafektowany.

Anna zacisnęła dłoń mocniej i spojrzała mu prosto w oczy.

– A może wypijemy tę kawę... u mnie?

Chwilę później maszerowali w kierunku ulicy Weissa, mijając po drodze migające kolorowymi światełkami witryny i żartując wesoło. Anna mocno ujęła Felicjana pod ramię i zaskoczona stwierdziła, że cieszy ją kierunek, w jakim zmierzał ten wieczór. Nawet jeśli nie do końca wiedziała, jak się wszystko zakończy. I kiedy.

Miała wątpliwości, to prawda, jednak zależało jej na tym mężczyźnie, a po związku z Waldemarem chciała jeszcze zaznać szczęścia. Ułożyć sobie życie z kimś, kto naprawdę ją pokocha i... nie będzie wydzieliał cukru do herbaty oraz zabraniał kupować pachnącego papieru toaletowego. Z kimś, z kim mogłaby spełnić swoje największe marzenie i mieć dziecko. Po rozwodzie, oczywiście. Poczyła już nawet pierwsze kroki i w oparciu o wskazówki znajomego prawnika pani Michalskiej napisała pozew rozwodowy. Na razie na brudno, by sprawdzić, jak się z tym czuje. Na zrealizowanie groźby zawartej w liście od męża nie miała co liczyć. Wniesienie

pozwu wiązało się z koniecznością uiszczenia opłaty sądowej. A tego Waldemar nigdy by nie zrobił.

Rozmarzona Anna skierowała Felicjana w kierunku wejścia do klatki schodowej, a sama sięgnęła do kieszeni beżowego płaszcza w poszukiwaniu kluczy. Kątem oka zarejestrowała delikatne poruszenie firanki w oknie na parterze i uśmiechnęła się pod nosem.

Pokonując schody na drugie piętro, zastanawiała się, czy porządnie uprzątnęła łazienkę i czy na pewno usunęła zużyte golarki jednorazowe.

Uchylając przed Felicjanem drzwi mieszkania, zadała sobie pytanie, czy jeśli wyśle go pod jakimś pretekstem do kuchni, zdąży podnieść wieko wersalki i skropić poduszki nowymi perfumami.

Zdejmując płaszczyk, zadumała się nad tym, jak mocno bije jej serce.

Zsuwając kozaki, pomyślała, że coś dziwnie pachnie. Jakby znajomo.

Widząc w drzwiach do pokoju Waldemara, zrezygnowana stwierdziła, że nie pomyliła się ani o jotę. Zawsze robił jej na złość. Przez ostatnie miesiące zniknięciem. A dzisiaj niezapowiedzianym pojawieniem się.

Kalina

Ogromna złota gwiazda z napisem „Made in China”?

Plastikowy mikołaj, z którego brzucha dobywało się tubalne „Wesołych świąt” w pięciu różnych językach?

A może kombinezon z czerwonego pluszu, z dyndającymi wesoło na boki skórzanymi rogami?

Body z reniferem? Papatki z choinką? Czapeczka elfa?

Kalina Radecka-Piórecka nie potrafiłaby wskazać, co wyprowadziło ją z równowagi jako pierwsze. Skuliła się za stołem, całą uwagę skupiając na paznokciu małego palca lewej ręki, i udawała, że jej nie ma. Wcale jej tam nie ma. Myślami poszybowała ku pani Wandzi z salonu kosmetycznego Marilyn, która raz w miesiącu nakładała jej maseczkę z morskich alg i nagietka, piłowała paznokcie, a przy tym usilnie namawiała na pierwszą mezoterapię. Bo mezoterapia była teraz trendy i dobrze się przyznać, że chociaż raz się jej poddało.

Kalina pomyślała, że niektórym przydałaby się mezoterapia mózgu.

Słuchała zachwyków nad głębią koloru i porządnym wykonaniem, dzięki któremu kombinezon posłuży przez kolejne lata. To sprawiło ją w lekkie osłupienie i sprawiło, że po raz pierwszy prowadzonej w kuchni rozmowie zaczęła się przysłuchiwać z prawdziwym zainteresowaniem.

– Zaraz, zaraz! – wtrąciła zaniepokojona. – Jak to przez kolejne lata?

Lucyna Radecka posłała córce poirytowane spojrzenie. Dlaczego jej przerywa? Zaraz jednak spojrziała na trzymany w dłoni kostium i ponownie się rozpromieniła.

– No tak! – ciągnęła, kiwając głową i potrząsając trzymanym kłębkim czerwieni. Skórzane poroże dyndało na boki, uderzając Marka w lewy policzek. – Bo w tym roku kostiumik włoży Basieńka, a w przyszłym roku możemy przecież przebrać Młynka, prawda?

– Nie zrobisz z mojego psa pajaca! – wykrzyknęła oburzona Kalina, a widząc utkwione w sobie spojrzenia, szybko się poprawiła. – Z dziecka też nie...

– Już tak nie histeryzuj!

– Poza tym Młynek jest większy od Basi. Naprawdę nie rozumiem, jakim cudem miałby coś po niej donaszać. Abstrahując, że to kretyńsko kretyński pomysł. – Radecka-Piórecka była gotowa bronić swojego stanowiska.

– Nie masz w sobie za grosz świątecznego nastroju. – Matka westchnęła żałobnie. – Było tak już od samego dzieciństwa. Gdy twoi koledzy majsterkowali przy bożonarodzeniowych szopkach, by pochodzić po kolędzie, ty nawlekałaś korale z wysuszonych pestek jabłek i planowałaś podróż do San Francisco.

Kalina wzruszyła niebale ramionami.

– To bardzo ładne miasto.

– Tak, ale ty ubzduriałaś sobie, że leży gdzieś pod Kielcami, i codziennie suszyłaś nam głowy, aby cię tam zabrać!

– O, a to ciekawe! – Marek uśmiechnął się ciut złośliwie. Żona wymierzyła mu pod stołem lekkiego kopniaka. – I ususzyła?

– Ususzyła – przyznała ponuro matka – ale korale. Wyszły na wiór. A może zapleśniały? W każdym razie trzeba było je wyrzucić do kosza i skończyła się fascynacja San Francisco.

Marek roześmiał się serdecznie, przytulając nieco naburmuszoną Kalinę. Kiedy urażona Lucyna schyliła się po ozdobne pudełko, z którego wydobyła świąteczny kombinezon, pospiesznie cmoknął żonę w policzek i pocieszająco zacisnął palce na jej dłoni. Jak przystało na

prywatnego detektywa, miał niezłą intuicję. Poza tym dobrze wiedział, ile nerwów kosztuje Kalinę ta wizyta i inicjatywa teściowej, by zamienić nadchodzącą Gwiazdkę w festiwal kiczu. Zresztą, co tu dużo mówić... Wszystkie spotkania Kaliny i Lucyny przypominały stąpanie po polu minowym. Nic więc dziwnego, że za każdym razem, gdy zjawiali się w mieszkaniu teściów, Marek wymijał żonę w progu i biegł do kuchni, by pochować wszystkie noże.

Drzwi od dużego pokoju zaskrzypiały i uwaga siedzących przy stole skupiła się na nadchodzącym Janie Radeckim. Wtulona w jego ramiona Basieńka wyszczerzyła do zebranych wszystkie cztery zęby. Natychmiast zapomniano o świątecznych nieporozumieniach, kiczowatych ozdobach i Młynku przebranym za renifera Rudolfa. Spojrzenia utkwiły w tym małym, ośmiomiesięcznym cudzie, który zawojował życie całej rodziny. Marek jako pierwszy wyciągnął do dziewczynki ręce w zapraszającym geście, ale zanim zdążył choćby zbliżyć się do ukochanej córeczki, teściowa trzepnęła go kraciastą ściereczką. Co prawda uczyniła to z na wpół żartobliwym uśmiechem, ale w jej spojrzeniu dostrzegł wyraźną groźbę: nie próbuj sięgać po to dziecko przed babcią, bo inaczej pogadamy!

Kalina zachichotała i posłała mężowi wymowne spojrzenie.

Tymczasem Basieńka przyjęła swoją ulubioną pozycję na wysokości obojczyka babci, spoglądając na resztę towarzystwa z miną adorowanej królowej. Dlaczego, patrząc na dzieci, swoje i cudze, szczerzymy się jak głupi do sera? – zastanawiała się Kalina w myślach. – Przecież to musi wyglądać kretyńsko. A im mniejsze dziecko, tym gorzej się wykrzywiamy!

Ponownie skupiła uwagę na nieco obgryzionym paznokciu, ale na dźwięk słów wypowiedzianych przez matkę gwałtownie poderwała głowę.

– Zobać, kochanieńka, cio babcia ci kupiła! – Lucyna złożyła wargi w słodziutki dzióbek.

Kalina próbowała wstać zza stołu, ale poczuła zaciskającą się na nadgarstku stalową obręcz. Spojrzała na męża z wyrzutem, jednak Marek ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Nie, nie zrobisz zadymy, bo twoja matka znowu sepleni do dziecka, wyczytała z jego oczu.

Zobaczmy.

– Poznałam kiedyś taką dziewczynę – wycodziła więc przez zaciśnięte zęby. – To było, kiedy prowadziłam sprawę Fijusów w Kalwarii Zebrzydowskiej. I ona, ta dziewczyna, powiedziała mi, że takie seplenienie do dziecka źle wpływa na jego rozwój.

– Tak? – Matka spojrzała na nią z pobłażaniem. – No to wszystko jasne. Bo ja do ciebie dużo sepleniłam...

Tym razem stalowa obręcz zacisnęła się na drugim nadgarstku Kaliny. Marek spiorunował żonę wzrokiem, a ona odpowiedziała mu hardym spojrzeniem, które obiecywało sen na wycieraczce, unicestwienie kolekcji komiksów zachomikowanych w najniższej szufladzie komody i kluski śląskie do końca miesiąca. A do końca miesiąca była kupa czasu i jeszcze większa kupa świąt, więc zachodziła obawa, że Marek nie wiedział, na co się porywa.

Tymczasem Lucyna rozochociła się na całego i gmerając niezdarnie rękami, próbowała przycisnąć do Basi pluszowy skafander. Kalina zmarszczyła brwi. Coś jej nie grało...

– Zobać, jaki śliczny kolorek. Moja dziewczynka będzie wyglądać prześlicnie! Jak aniołek! Babunia posadzi cię pod choinecką i zlobi ci foteckę! A telaz cię schlupię, mniam, mniam, mniam!

Lucyna rzuciła skafander na blat stołu i wycisnęła na policzku dziewczynki soczystego całusa. Jeden ze skórzanych różków wylądował w filiżance z kawą i chlapanął beżowym płynem wprost na Kalinę.

Wściekła Radecka-Piórecka przesunęła dłonią po brunatnych plamach na białej bluzce. Niech to szlag. Taka ładna bluzka, całkiem nowa. W dodatku jedyna w szafie, która nie miała jeszcze do czynienia z dziecięcymi wymiocinami i śliną skapującą z kącików maleńkich ust.

Kalina złapała za mokry róg, po czym wyciągnęła go z naczynia, wznosząc na odpowiednią wysokość i demonstrując ostentacyjnie. Kawa spłynęła na kraciasty obrus. Matka wzruszyła ramionami.

– Trzeba było pić szybciej – rzuciła zaczepnie.

– Oczywiście – mruknęła Kalina, konstatując, że Lucyna na wszystko ma gotową odpowiedź. A potem przyjrzała się pluszowemu zawiniątku spod zmarszczonych brwi. – Zaraz, zaraz... przecież to nie jest kostium dla dziecka! Dziecko nie potrzebuje dodatkowego otworu na ogon! Gdzieś ty to kupiła?!

– W Biedronce – prychnęła zapytana, ale zaraz łypnęła złowrogo na córkę. – No dobra. W zoologicznym na rogu, bo w Biedronce nie mieli odpowiedniego rozmiaru. Ale zobacz, jakie jest ładne! I wystarczy tylko troszeczkę tu przesyć!

– Wiesz, sama się przesyj – warknęła Kalina, uwalniając dłonie z żelaznego uścisku rozbawionego Marka. – Wracamy do domu!

– Już? – jęknęła Lucyna, odwracając się plecami do siedzących za stołem i kryjąc przed nimi Basieńkę. – Przecież nie zdążyłam nacieszyć się moją śliczną wnusią. – Spojrzała na dziewczynkę rozanieloną. – No, popać, cio ta mama wymyśla. Pścień to taki śliczny kostiumik. – Nagle zmieniła ton, odwracając się i posyłając córce proszące spojrzenie. – To może chociaż Młynka przebierzemy? Mogę doszyć dłuższe nogawki i poszerzyć dziurę na ogon!

Młynek nie zamierzał czekać na dalszy rozwój sytuacji. Przestraszony zerwał się z miękkiego kocyka w rogu, na którym zawsze się wylegiwał podczas wizyt w mieszkaniu na Ruczaju, i pognął do przedpokoju. Zdecydowana do niego dołączyć Kalina gramoliła się z za stołu, bezlitośnie depcząc Markowe stopy. Lucyna nie przerywała potoku słów.

– Święta są tylko jeden raz w roku i muszą być wyjątkowe! Pamiętasz ubiegłoroczną Gwiazdkę? Jak było wspaniale?

Kalina zatrzymała się w pół kroku.

Poczuła, jak jeżą się jej włoski na karku. Czy pamiętała? Wciąż miewała koszmary związane z wigilijnym wieczorem, jaki spędziła w towarzystwie rodziców w przytulnym mieszkanku, które zajmowała z Markiem! Pamiętała każde słowo, każde westchnięcie i każde spojrzenie rzucone przez matkę w odpowiedzi na wnoszone potrawy. A czy to jej wina, że w piątym miesiącu ciąży jej pęcherz oszalał i nie pozwalał o sobie zapomnieć na dłużej niż dziesięć minut? W dziesięć minut domowych wypieków i wigilijnych potraw nie wyczarowałyby nawet Zuzanna Fijus, gospodyni idealna i jej ówczesna klientka! Czy to takie dziwne, że podała mrożone uszka, pierogi od Jędrusia i markizy w czekoladzie? I że do ubierania choinki zabrała się pięć minut przed nadejściem gości? Co mogła poradzić na to, że obrażony kalwaryjską akcją Mareczek odmówił pomocy przy rozplątaniu choinkowych światełek? Została przecież zmuszona, by poprosić o przysługę dziewięćdziesięciosześcioletniego sąsiada z parteru!

Wzięła głęboki oddech i spojrzała matce prosto w oczy.

– Oj, pamiętam aż za dobrze! I wiesz co? To były ostatnie takie święta!

– Nie mówisz tego poważnie! – Lucyna zaśmiała się sztucznie, a ojciec Kaliny szybko zabrał jej Basieńkę i nałożył dziewczynce ciepły kombinezon. Po krakowskich ulicach hulał lodowaty, grudniowy wiatr.

– Mówię – potwierdziła Kalina, sięgając po płaszcz.

– A co ci się w nich nie podobało?

Młoda kobieta obejrzała się na matkę.

Towarzystwo, miała na końcu języka, ale jedno spojrzenie na zmęczoną twarz ojca wystarczyło, by zamilkła. Odkąd na świat przyszła Basia, stosunki między Kaliną a matką, delikatnie rzecz ujmując, można było określić jako napięte. Radecka-Piórecka miała jednak to

szczęście, że mogła zabarykadować się w mieszkaniu, sięgnąć po przyniesioną z biblioteki książkę, przytulić się do ciepłego boku posapującego Młynka albo po prostu leżeć godzinami na łóżku i wpatrywać się w to cudeńko o błękitnych jak u Marka ślepkach. A tym samym unikać ostrego języka i przenikliwego spojrzenia matki. Ojciec nie miał takiej możliwości. Czasem wychodził na długie spacery nad Zakrzówek albo szedł do piwnicy, by rozegrać z sąsiadem partyjkę szachów. A na co dzień słuchał litanii narzekań dłuższej niż *Koronka do miłosierdzia Bożego*.

– Było nudnawo – mruknęła więc tylko i naciągając na uszy czapkę, dodała: – Ty potrzebujesz chińskich ozdóbek, a ja wrażeń. Wolałabym trupa niż kostium Rudolfa dla psa!

– Chyba żartujesz! – obruszyła się matka, ale najwyraźniej coś w wyrazie twarzy Kaliny powiedziało jej, że niespecjalnie. Machnęła więc ręką i cmoknęła do zachwyconej wnuczki, a Kalina zapięła Młynkowi smycz i uciekła na klatkę schodową. Czuła, że się dusi, i wcale nie chodziło o zbyt ciepłe okrycie wierzchnie.

Kajetan

Kajetan Fijus powoli przechadzał się wzdłuż sklepowych witryn. Choć jego wzrok błądził wśród rozłożonych na wystawie towarów, Kajtek nie widział ani czerwonego biustonosza z piórkiem między miseczkami, ani zabawnych bokserok ze Świętym Mikołajem opatrzonych napisem „Bardzo dłuuuuga broda” w strategicznym miejscu. Myśli Kajetana szybowwały daleko, a dokładniej mówiąc, wokół biurka, które na co dzień zajmował w ciasnym biurze, gdzie pracował.

Jakiś miesiąc wcześniej przy wspomnianym biurku niespodziewanie zmaterializował się syn szefa, Arkadiusz Milewski, i poufale położył dłoń na ramieniu Fijusa. Zaskoczony Kajetan podniósł wzrok znad konsumowanej właśnie waniliowo-czekoladowej babki i podejrzliwie omiół nim mężczyznę. Jego spojrzenie zarejestrowało obcisłe rurki kończące się dobre dziesięć centymetrów nad kostkami, jaskrawopomarańczowy podkoszulek z napisem „I love disco” oraz zamszową marynarkę w kolorze zgniłych jabłek, przesunęło się po odsłoniętych zębach i zakotwiczyło na nastroszonej grzywce, malowniczo zaczesanej na prawą stronę. Jej końcówki były ufarbowane pod kolor marynarki. Ciekawe, czy będzie ją nosił, dopóki farba nie zblednie? Czy ma spraye i koloryzuje włosy każdego ranka, gdy wybiera ubranie? – dumał Kajetan, wspominając rewolucję na głowie, jaką przy użyciu podobnych specyfików zrobiła w ostatnie wakacje jego córka. Dotyk na ramieniu szybko przywrócił go do rzeczywistości. Nagle przypomniał sobie wszystkie pogłoski o orientacji seksualnej Milewskiego i struchlał. Kęs babki w jego ustach urósł do rozmiaru piłki tenisowej. Kajetan odsunął się wraz z krzesłem na bezpieczną odległość. Milewski nie przestawał się uśmiechnąć i wyjaśnił, że ma do Fijusa sprawę.

Firma staje przed okazją nie z tej ziemi. Pojawił się zagraniczny inwestor. Z dużą kasą. Ogromną! Kolosalną! Kajetan nawet nie zdaje sobie sprawy, jak kolosalną. To szansa dla niewielkiego, rodzinnego przedsiębiorstwa, które ledwie przędzie. Chyba Kajetan jest świadom, jak kiepsko ostatnio stoją z zamówieniami? I oto na horyzoncie widać szansę, by odbić się od dna, zdobyć nowych klientów, nowe projekty i prawdziwe pieniądze! Czy Kajetan widzi, jakie to ważne?

Kajetan widział, a jakże, ale nie potrafił pojąć, co on sam ma z tym wspólnego. Poza tym, że również pracował w tej kiepsko przędącej firmie i każdego miesiąca truchlał nad malejącą liczbą zamówień na luksusowe tapicerowane meble. Swoimi wątpliwościami podzielił się z Milewskim, a ten szczerząc zęby w jeszcze szerszym uśmiechu, natychmiast przysunął się bliżej (Kajetan i krzesło przyłgnęli do ściany). Z entuzjazmem objaśnił, jak ważną rolę w procesie ratowania firmy może odegrać on, Kajetan Fijus, zwykły, najzwyklejszy księgowy!

Musi tylko sięgnąć do podręcznej kasy i wyłożyć pieniądze na zakup nowej maszyny, bez której cykl produkcyjny nie ruszy. Nie, nie można czekać, aż szef wróci z dwutygodniowego rejsu po Karaibach, inwestor nie będzie tyle zwlekał! Czy Kajetan nie widzi, że przyszłość firmy leży w jego rękach? Chodzi tylko o parę tysięcy, a zyski będą liczone w milionach! Może nawet euro!

Kajetan westchnął głęboko, stając przed sklepową witryną i niewidzącym wzrokiem wpatrując się w koronkowe majteczki. Wychodząca ze sklepu kobieta posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

Kajtek nie potrafił powiedzieć, jak do tego doszło. Czy podziałała na niego barwna aparycja Milewskiego, ten aksamitny ton, argumenty związane z kiepską sytuacją firmy czy chęć wyzwolenia się z obłoku słodkawej wody toaletowej, jakiej tamten używał? Dość, że sięgnął do przepastnej szuflady biurka, wyjął z niej wielki, nieco starodawny klucz, otworzył sejf, który

właściciel firmy polecił jego opiece, wyjął z niego dziesięć tysięcy złotych i złożył gotówkę w lekko drżących dłoniach właściciela przykrótkich spodni. Milewski był wniebowzięty i mało co nie podskoczył pod sufit. Kajetan również poczuł się lekki jak piórko. Jedna decyzja, którą podjął osobiście, miała zaważyć na dalszych losach firmy. Być może właśnie dzięki niemu pojawią się gigantyczne zyski, a zatrudnieni w zakładzie ludzie dostaną wymarzoną premię na Gwiazdkę? Poczul się prawie jak Święty Mikołaj, który sięga do przewieszzonego przez ramię worka i szczodrym gestem rozdaje upragnione podarunki!

Mina dobrotliwego świętego i poczucie zadowolenia towarzyszyły Kajtkowi przez kilka następnych dni. Później wyparło ją lekkie ukłucie niepokoju. W zakładzie nie pojawiła się ani nowa maszyna, ani amator rurek i sprayu do włosów, ani milionowe zamówienie. Pojawił się za to purpurowy na twarzy Milewski senior. Na widok miny szefa Kajetan pojął, że soczysta karnacja nie jest wyłącznym dziełem karaibskiego słońca, i przełknął głośno ślinę.

– Jak mogłeś być tak niepoważny! – ryczał właściciel firmy CasaMila. – Dać temu obibokowi dziesięć tysięcy?! To były pieniądze na świąteczną premię dla całego zakładu!

– Ale nowa maszyna, nowe zamówienia... – jęczał Fijus.

– Pracujesz u mnie ponad dziesięć lat! Rozliczałeś kiedyś maszynę za dziesięć tysięcy? Więcej kosztował ekspres do kawy, który podarowałem żonie na trzydziestą rocznicę ślubu! – wrzeszczał Milewski.

Kajtek pojął, jak wielki błąd popełnił, i ponownie zajęczał.

– Ale Arkadiusz... – spróbował jeszcze.

Szef, który początkowo krążył po biurze jak rozjuszony byk, teraz doskoczył do Kajetana z furią w oczach.

– Ten krętacz, którego w firmie toleruję wyłącznie ze względu na wspólny genotyp? Jest uzależniony od gry na automatach! Aż dziw bierze, że nie poprosił, byś te dziesięć tysięcy wydał mu w piątkach!

– I co teraz? – Pobladły Kajetan prawie płakał.

– Co teraz? Teraz zwrócisz mi moje dziesięć tysięcy! Inaczej możesz pożegnać się z pracą!

Na samo wspomnienie rozmowy z Milewskim Kajetan zajęczał, zatoczył się i lekko uderzył czołem o sklepową witrynę. Przechodząca obok staruszka szturchnęła go w plecy parasolką.

– Idź do domu, pijaku jeden, a nie wystawaj mi tu na chodniku! Kościół po drugiej stronie ulicy, pan Bóg na ciebie patrzy! – mruzczała pod nosem, zmierzając w kierunku przejścia dla pieszych.

Kajtek zerknął na majaczący między drzewami budynek świątyni, potem spojrzął na sklep, w którym Zuzanna robiła właśnie „całkowicie tajne” sprawunki, i postanowił, że swoim zmartwieniem podzieli się z żoną. Musi zdobyć te dziesięć tysięcy i zwrócić szefowi, zanim sprawa rozniesie się po zakładzie, a ludzie zaczną szeptać po kątach, że zdefraudował gotówkę! On, taki porządny i skrupulatny!

Zuza na pewno coś wymyśli, pocieszał się w duchu, jest przecież taka gospodarna!

W tej samej chwili zabrzączał mały dzwonek zawieszony przy drzwiach i w progu pojawiła się rozpromieniona Zuzanna. Taszczyła co najmniej pięć wypchanych po brzegi toreb i teraz podała je mężowi z rozbijającym uśmiechem.

– Chyba troszeczkę przesadziłam. Jesteśmy całkowicie splukani, kochanie! – zaćwierkała radośnie.

Kajetan jęknął w duchu i skulił się nad trzymanymi torbami.

Mam przegwizdane, pomyślał.

Maciej

Cotygodniowe partyjki szachów z księdzem Wojtkiem zaliczały się do ulubionych rozrywek Maćka. Nie zrezygnował z nich nawet, kiedy na poważnie zaczął spotykać się z Marzeną. Parę razy odwiedzili mieszkanko wikarego we trójkę – on, Marzena i jej córka. Kobieta zagrzewała ich do walki, a Stasia bawiła się z Mery, puchatą kotką księdza, która miała zwyczaj wpychać się na ludzkie kolana i zostawiać na ubraniu mnóstwo trudnych do usunięcia kłaczków.

Ale najbardziej lubił te wieczory, gdy spotykali się we dwóch i poświęcali wyłącznie rozgrywce, dlatego kiedy tego popołudnia nadszedł SMS z zaproszeniem na herbatę i szachy, Maciej niezmiernie się ucieszył. Szczególnie że wprost rozpierała go potrzeba, by podzielić się z Wojtkiem najnowszymi wieściami, a nie chciał robić tego przez telefon. To wymagało spotkania oko w oko, jak z przyjacielem, którym ksiądz Wojciech niezaprzeczalnie był. Czasami nie mógł się nadziwić, że właśnie on, taki niespokojny duch, niegrzeczny chłopiec, jak nieraz określały go kobiety, przyjaźnił się z księdzem. Ale takie były fakty.

– Zostanę ojcem! – wrzasnął, ledwie przekroczył próg plebani. Osłupiały Wojtek obejrzał się w kierunku jadalni, gdzie gospodyni właśnie sprzątała po kolacji. Pani Genia wykonała na piersi znak krzyża. Maciek stracił rezon i dodał ściszym głosem: – To znaczy, ja wiem, seks przedmałżeński albo pozamałżeński, no ale...

Ksiądz Wojciech machnął ręką. Na widok stropionej miny Macieja kąciki jego ust drgnęły w leciutkim uśmiechu. Objął przyjaciela za ramię i popchnął w kierunku wejścia do swojego pokoiku. Jego uwadze nie uszło, że pani Genia odprowadza ich zaciekawionym spojrzeniem, i westchnął nad impulsywnością przyjaciela. Z pewnością dobra nowina rozniesie się po miasteczku lotem błyskawicy...

– Widzę twoją minę. – Maciek usadowił się w fotelu i wyciągnął dłoń w kierunku wylegującej się na poduszce kotki. Wojtek sięgnął po szachownicę i podszedł z nią do niewielkiego stolika. – Ja wiem. Też chodziłem na religię i uczyłem się, że seks przedmałżeński to grzech...

– A nie uczyłeś się czasem, że milczenie jest złotem?

– Hmm? – Maciek nie zrozumiał aluzji.

Ksiądz Wojciech potrząsnął głową i zaśmiał się cicho. Potem wyciągnął w kierunku przyjaciela dłoń.

– Gratuluję. Dziecko jest cudem. Bez względu na to, w jakich okolicznościach zostało poczęte.

– Tę ostatnią uwagę mogłeś sobie darować!

– Nie mogłem, za to mi płacą – zażartował Wojciech. – Nie wymagaj ode mnie, abym głaskał cię po główce za życie wbrew przykazaniom, w które wierzę całym sercem. Ale wiem, że kochasz Marzenę, i jestem szczęśliwy, że Bóg pobłogosławił wasz związek w ten sposób.

– Dziękuję. – Maciek poczuł, że coś nagle zaczęło dławić go w gardle. Odkasznął, pogładził puchate futerko Mery i rozejrzał się nieprzytomnie na boki. – Zaszło mi w ustach. Gdzie nasza herbata?

– Woda już się gotuje – wyjaśnił gospodarz, układając figury na szachownicy. Zerknął na Macieja figlarnie. – Jak na tę radosną wiadomość zareagowała Stasia? I twoja matka?

Maciej westchnął głęboko i potrząsnął głową, a następnie wyjaśnił przyjacielowi, że dziewczynka jeszcze nie wie. To całkiem świeża sprawa, choć już potwierdzona. Nie tylko testami, które Marzena zakupiła w ilościach hurtowych, ale także pospiesznie umówioną wizytą lekarską. W wakacje zostaną rodzicami, a Stasia starszą siostrą! Mimo to Marzena stanowczo

odmówiła poinformowania córeczki. Jest jeszcze czas, wyjaśniła, ale w jej oczach Maciej dostrzegł strach. Obawiała się, jak na tę wiadomość zareaguje Stasia. W ostatnim roku w życiu dziewczynki zaszły duże zmiany, a teraz szykowały się kolejne...

– A co do matki... to też pośpiechu nie ma – zakończył zadowolony.

Ksiądz Wojciech znacząco uniósł ciemną brew. Chyba nie tylko Marzena obawiała się podzielić wynikiem testu z najbliższą rodziną!

– Na waszym miejscu nie zwlekałbym zbyt długo. – Wzruszył ramionami. Po jego wargach błąkał się delikatny uśmiezek. – W pewnych kręgach wieści rozchodzą się naprawdę szybko. Poza tym chyba pora pomyśleć o jakichś zapowiedziach, co?

Do Maćka dotarła tylko pierwsza część wypowiedzi. Poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Jakich kręgach? – dopytywał.

– No jak to jakich? Parafialnych! – zaśmiał się Wojtek. – Są takie zastępy, co radosną nowinę roztrąbią w mig. I nie chodzi mi o anielskie, co to, to nie! Szach, przyjacielu!

Monika

Monika Kwiatek odstawiła kubek po czerwonym barszczu i ziewnęła ostentacyjnie. Siedzący naprzeciwko Jakub zmarszczył brwi, ale nie przerwał przeżuwania chrupkiego pasztecika z pieczarkami, którym tego popołudnia obdarowała go zadowolona z siebie matka. Na jego twarzy rozlał się wyraz błęgiego zadowolenia, co miało świadczyć o tym, że opiekuńcza rodzicielka idealnie trafiła w kulinarną zachciankę synusia. Monika z trudem powstrzymała się, by nie zgrzytnąć zębami. Zamiast tego zerknęła na teściową, na której jednak ziewanie synowej nie robiło najmniejszego wrażenia. Monika westchnęła, rzuciła okiem na kuchenny zegar i odchrząknęła.

– Może Kuba odwiezie mamę do domu? – zaproponowała wesoło. – Jest tak ślisko...

Jakub zamarł z widelcem w pół drogi do uchylonych ust, a jego otepiała mina wyraźnie świadczyła, co sądzi o pomysle rozstania się z kruchym, nadziewanym przysmakiem. Teściowa uśmiechnęła się półgębkiem i machnęła ręką lekceważąco.

– E, gdzie tam. Przecież się nie pali.

Zadowolony mężczyzna pochylił się nad talerzem, a Monika mocno zacisnęła palce na stojącym przed sobą kubku. Czy teściowa naprawdę nie zrozumiała tej delikatnej aluzji uświadamiającej wszystkim zgromadzonym przy stole, że jej wizyta nieznośnie się przeciągnęła? Na miłość boską, przecież dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści! Siedziała u nich od kilku godzin i nic nie wskazywało na to, że zamierza wrócić do swojego domu!

Kiedy po spotkaniu u Zuzanny Monika i Piotruś wdrapali się na drugie piętro, pod drzwiami mieszkania zastali niecierpliwie drepczącą mamę Kwiatek. Starsza pani przyoblekła swoje ulubione baranie futro (na widok którego młodsza nie wiedzieć dlaczego zawsze dostawała dreszczy) i wyglądała, jakby właśnie podjęła ważną życiową decyzję. Ujrawszy teściową, Monika zakłęta w duchu. Uznała, że skoro babcia Piotrusia nie zjawiała się na Weissa po porannych sprawunkach, tego dnia mają ją z głowy. Jednak najwyraźniej się przeliczyła!

Mama Kwiatek uśmiechnęła się szeroko i zagruchała do wnuka, osłupiałej Monice pomachała zaś przed oczami szeleszczącą reklamówką. Paszteciki, wyjaśniła dumnym tonem. Na kolację jak znalazł, prawda? I niech się Monika nie martwi, bo postne są, oczywiście. Z pieczarkami!

Monika bynajmniej nie martwiła się zawartością pasztecików, bardziej zaniepokoiło ją nagłe podejrzenie, że mama Kwiatek zamierza uczestniczyć w kolacji, o której wspomniała. Ale to przecież niemożliwe? Bo kolację u Kwiatków jadało się bardzo późno, najczęściej gdy Piotruś już spał. Zupełnie wbrew zasadom zdrowego trawienia, za to zgodnie z potrzebą wygosparowania czasu tylko dla małżonków.

A jednak! Monika prychnęła w duchu i spojrzała spode łba na teściową. Starsza pani spokojnie kroić pasztecika, zupełnie nie zdając sobie sprawy z burzy, jaka rozpętała się w głowie jej synowej. Gdy Monika kolejny raz ziewnęła, szeroko otwierając usta, teściowa uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Oj, ktoś się nam tu nie wysypia!

– Padam z nóg – mruknęła Monika, spoglądając znacząco na męża.

– Bo zamiast chrapać, jak Pan Bóg przykazał, na pewno czytasz albo oglądasz seriale! – obwieściła tonem znawczyni mama Kwiatek.

Jakub uśmiechnął się półgębkiem, nie spuszczać wzroku z pasztecika. Monika zastanawiała się, czy nie spróbować kopnąć go pod stołem, ale ryzyko storpedowania kostek teściowej było zbyt duże. Chociaż kuszące, musiała to przyznać.

– Wysypiam się bardzo dobrze – rzekła zamiast tego. – Ale po tygodniu pracy jestem po prostu wykończona.

– Na pewno. – Teściowa skinęła głową, sięgając po kubek z czerwonym barszczem. – Zupełnie nie rozumiem, po co ci ta praca... – dodała, wzdychając.

Monika poczuła, że robi jej się gorąco.

– Czasami się zdarza, że ludzie potrzebują pracy – odparła spokojnie.

– No, ale chyba nie ty? Przecież Kuba świetnie zarabia?

Ciekawe, skąd mama wie? – pomyślała Monika i szybko ugryzła się w język, by nie wyrwały się jej jakieś niepotrzebne słowa.

Teściowa nie czekała jednak na odpowiedź. Wsunęła w usta kawałek pasztecika i zmarszczyła brwi.

– I jeszcze ta niania! – prychnęła.

– To bardzo miła dziewczyna. Prawda, Kuba?

– Uhm. Bardzo – zgodził się Jakub, usiłując nabić na widelec ostatni kawałeczek przysmaku. – A paszteciki są jeszcze lepsze! – Uśmiechnął się szeroko.

Rozpromieniona mama Kwiatek poklepała go w odpowiedzi po policzku. Monika przewróciła oczami. Lizus.

– Cieszę się, że ci smakują, bo zamierzam je przygotować na wigilię. Z leśnymi grzybami – zaznaczyła szybko starsza pani. – Kiedy do mnie przyjdziecie na wieczerę...

– O! – jęknęła Monika. Z wrażenia gwałtownie zamknęła usta i przygryzła sobie końcówkę języka. W ustach poczuła metaliczny smak krwi. – Dzie pójdziemy, psiepraszam? – wysepleniała.

– Mów ładnie – poprosiła ją grzecznie mama Kwiatek, która znakomicie pamiętała marudzenie synowej, jakoby seplenienie źle wpływało na rozwój jej ukochanego Piotrusia. – No jak to gdzie? Przecież w ubiegłym roku spędziliśmy Wigilię w waszym mieszkaniu, więc teraz pora, żebym ja was ugościła. Już się do tego przygotowuję! – przyznała z błyskiem w oku.

– Ale...

– Nie, nie wzbraniaj się. – Mama Kwiatek uniosła władczo dłoń. – Ja wiem, co chcesz powiedzieć, ale to naprawdę żaden problem. Chętnie wezmę na siebie obowiązek przygotowania wieczerzy wigilijnej, strojenia choinki i nakrywania stołu. Wszystko ustaliłam już z Kubusiem i...

– Tak? – przerwała jej Monika. – A dlaczego ja nic o tym nie wiem?

– Bo ustaliłam wszystko dzisiaj. Poza tym to miała być niespodzianka! Prawda, że wspaniała? – Mama Kwiatek odsunęła talerzyk po paszteciku i posłała synowej promienny uśmiech.

– No chyba – mruknęła stropiona Monika. – Ale to niemożliwe, my mamy plany, z sąsiadkami i w ogóle... Co teraz?

– Teraz? Teraz, kochana, uciekaj do łóżka i niczym się nie przejmuj. My tu sobie z Kubusiem wypijemy jeszcze herbatkę i pogawędzimy, ale ty możesz położyć się spać. Przecież w soboty niania nie przychodzi, potrzebujesz dużo sił! Ja niestety nie mogę jutro pomóc, bo mamy spotkanie na plebani. Choć wiem, że pewnie będziesz rozczarowana...

Młoda matka uniosła się zza stołu i posłała ponad głowę teściowej mordercze spojrzenie.

– Jak cholera – przyznała.

Waldemar

Waldemar Jurczyk przebudził się, gdy za oknem panowały jeszcze egipskie ciemności, i przez krótką chwilę nie potrafił sobie uświadomić, gdzie jest. Nie rozpoznawał ani miękkiej kanapy, ani pachnącego cytrusami koca, którym nakrył się pod samą szyję. Nie był w Leicester, bo tam w powietrzu unosił się słabo wyczuwalny zapach pleśni, nie rozpoznawał także kalwaryjskiego mieszkania, w którym nigdy tak ładnie nie pachniało perfumami i świeżo parzoną kawą. Mężczyzna uniósł się na łokciu i spojrzął w okno, a następnie rozejrzał się po pokoju. Wraz z widokiem konturów znajomych sprzętów powróciło wspomnienie minionego wieczoru i wyrazu niedowierzania na twarzy Anny, gdy zastała go w mieszkaniu.

– Co ty tutaj robisz?! – wykrzyknęła, oglądając się niespokojnie na stojącego w przedpokoju mężczyznę.

Waldemar spojrzął na tamtego ponuro, a on odpowiedział mu pogardliwym uśmiechem. Ten uśmiezek ubódł Jurczyka do żywego. Aż zacisnął pięści, by nie rzucić się z nimi na delikwenta!

Zaraz potem nastąpiły pospieszne przetasowania. Waldemar przysunął się nieznacznie do żony, a Anna złapała płaszcz i kozaki, bezceremonialnie wypchnęła swojego towarzysza na klatkę schodową i rzuciwszy w kierunku Waldemara przekleństwo, od którego stanął jak wryty, zniknęła za drzwiami. Cóż miał zrobić? Wrócił do dużego pokoju, usiadł na wersalce i czekał, wgapiając się w wolno przesuwające wskazówki zegara.

Wcześniej dokonał oględzin mieszkania, w którym przeżył kilkanaście lat jako szczęśliwy małżonek. Ach, jakie cudowne były te lata! Jak przystało na głowę rodziny, pracował zarobkowo, a Anna zajmowała się domem. Trzeba przyznać, że dobrze jej to wychodziło, choć nieraz – szczególnie na początku – musiał udzielać żonie pomocnych wskazówek, by poskromić typowo kobiecą rozrzutność. Wszystko układało się wspaniale, dopóki nie zaproponowała, aby powiększyli rodzinę. On chciał wyjechać „za chlebem”, ona się nie zgodziła. To ich poróżniło, ale przecież nie zamierzał z niej zrezygnować! Dał jej trochę czasu, by ochłonęła i przemyślała swoją postawę, nie narzucał się, no dobrze, raz pod wpływem impulsu napisał dość ostry list, ale czekał cierpliwie, aż żona zmądrzeje. A teraz wrócił i jaki widok zastał? Odmieniona Anna i obcy mężczyzna u jej boku!

Na samo wspomnienie poczuł w ustach gorycz. Inaczej wyobrażał sobie to pierwsze spotkanie po miesiącach rozłąki. Anna powinna przywitać go z otwartymi ramionami i przyznać, że nie potrafiła sobie bez niego poradzić. Z wypiekami na twarzy wysłuchać opowieści, jak to poświęcał się z dala od ojczyzny, aby zarobić na ich wspólne życie. Zamiast tego poczęstowała go soczystym epitetem, który nawet bał się powtórzyć, a wygląd mieszkania sugerował, że wyśmienicie sobie radzi! Na blacie w kuchni stał ekspres do kawy! Nie znał się na tych technologicznych cackach, ale taki ekspres musiał kosztować majątek. Stówkę na pewno. Może nawet dwie!

Na myśl o pierwszych miesiącach spędzonych na Wyspach Waldemar zaklął pod nosem. Wielka Brytania nie okazała się wcale krainą mlekiem i miodem płynącą, jak sądził. Rozczarowanie przyszło szybko i właściwie na każdym froncie.

Załatwiona po znajomości praca w stolarni w Leicester nie była szczytem jego marzeń, a na dodatek współpracownicy ciągle się go czepiali. Waldemar spędził niemal dwadzieścia lat w jednym kalwaryjskim warsztacie. Tam wszyscy znali się jak łyse konie, zgodnie narzekali na rząd lub opozycję, Kościół lub służbę zdrowia, a obowiązki zawodowe wypełniali zgodnie z zasadą „praca nie zajac”. Waldemar również miał swoje zasady: pracował osiem godzin w

powolnym tempie, robił regularne przerwy na słabą herbatę i kromkę z pasztetem z Biedronki i bynajmniej nie spieszył się z powrotem do powierzonych zadań. Stare reguły Jurczyk usiłował wcielić w życie w nowym miejscu pracy, ale prędko stwierdził, że to bez sensu. Nieliczne gazety, jakie znalazł w pokoju socjalnym, były po angielsku, a kiedy nad szklanką napełnioną żółtym naparem przeglądał ziarniste fotografie i usiłował z nich coś wydedukować, koledzy na niego sarkali i wyzywali od „prezesów”. O powolnych spacerkach między maszynami i narzekaniach nad stosami płyt wiórowych też mógł pomarzyć... Zresztą na kogo tu narzekać na obczyźnie? Na własny rząd? Czy tutejszy? Nie wiedział, więc z ciężkim sercem brał się do roboty...

Również w kwestii zasiłków, na które tak liczył, srodze się zawiódł. Urzędnicy nie potrafili zrozumieć, czego od nich chce ten dziwny, nieznający języka mężczyzna w wutowanej kurtce i połatanych na kolanie spodniach. Owszem, był ubogo ubrany, ale miał legalne źródło dochodu, a na niedożywionego nie wyglądał. I dlaczego pytał o zasiłek na dziecko, którego nie posiadał?

Na tym niepowodzenia Waldemara się nie kończyły. Jeszcze w Polsce nasłuchiwał się od kolegów, że w Anglii ludzie wystawiają na ulice prawdziwe skarby. Prawie nowe meble, sprzęty i ubrania. I pewnego razu, gdy szedł spokojną uliczką, pomyślał, że szczęście nareszcie się do niego uśmiechnęło. Telewizor z płaskim ekranem, zapakowany w pudełko, stał sobie w najlepszym przed schodami ładnego, niewysokiego domku. Uszczęśliwiony Waldemar przeliczył w myślach złotówki, które dostanie w kraju za zdobyty sprzęt, i bez zastanowienia złapał karton. Ciężki, myślał zadowolony, na pewno szybko znajdzie kupca! A wcześniej i ja skorzystam, obejrzę te angielskie kanały, języka się poduczę przy okazji! Z zamyślenia wyrwał go wrzask jakiejś kobiety, a po chwili z małego domku wypadł potężnie zbudowany rudzielec i raz-dwa wytłumaczył Waldemarowi, co sądzi na temat podprowadzania mu sprzed drzwi dopiero co przywiezionych z centrum handlowego zakupów! Przez trzy tygodnie Jurczyk obnosił fioletowe limo i znosił pogardliwe uśmiešky kolegów z pracy. Ale bardziej niż śliwa pod okiem i poluzowana górna trójka bolała go utrata nowoczesnego telewizora i potencjalnego zarobku...

Wspomnienia związane z pobytem na Wyspach towarzyszyły mu, dopóki nie usłyszał skrzypnięcia drzwi wejściowych. Anna wróciła po dwóch godzinach i nie odezwała się do niego słowem. W przedpokoju zrzuciła kozaki i płaszcz, minęła go, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem, i podeszła do szafy pod oknem. Spędziła kilka minut, grzebiąc w jej wnętrzu, a potem rzuciła w niego kraciastym kocem i wymiętoszonym jaśkiem, mówiąc, że może się przespać na kanapie w drugim pokoju. Nie oponował, bo widok tej nowej Anny, z rozjaśnionymi włosami i wojowniczą miną, wzbudzał w nim dziwny niepokój.

Teraz dotarł do niego jednostajny szum i odgadł, że żona bierze poranny prysznic. Odgonił myśli o marnotrawieniu ciepłej wody, odrzucił koc i przez chwilę siedział na skraju wersalki w samych bokserkach. Zastanawiał się, co zrobić, w końcu naciągnął spodnie i na palcach zakradł się do kuchni. Nie chciał, by wiedząc o jego obecności, Anna ominęła kuchenne pomieszczenie, więc cichutko przycupnął na taborecie przy stole. Spojrzeniem omiół wnętrze, rejestrując płytę indukcyjną (niech to szlag, kuchenka gazowa miała nie więcej jak dwadzieścia lat!) i nowe firanki. Zauważył również, że z lodówki znikł koszyczek, gdzie Anna przechowywała różne drobiazgi i paragony. Miał zwyczaj przeglądać je zawsze po powrocie z pracy. Ciekawe, co zrobiła z notesikiem, w którym zapisywał aktualne ceny produktów spożywczych? Chyba go nie wyrzuciła? Przełknął ślinę i wbił wyczekujące spojrzenie w wejście.

Na jego widok Anna zawahała się w drzwiach i uczyniła gest, jakby chciała się cofnąć. Ostatecznie jednak weszła do środka i odwróciwszy się do niego plecami, zaczęła przetrząsać kuchenne szafki. Chwilę później przed Waldemarem stała porcelanowa filiżanka, puszka z kawą rozpuszczalną (wciąż pamiętał, że była bardzo droga) i paczka cukru trzcinowego. Mężczyzna

wpatrywał się w Annę oniemiały i czuł, że coś dławi go w gardle. Po chwili po jego policzku spłynęła pojedyncza łza. Anna przyglądała mu się beznamiętnie.

– Jesteś moją żoną... – wydusił z siebie.

– Na pewno chodzi ci o mnie? Nie widziałeś mnie prawie rok, mogłeś się pomylić – zakpiła.

– Przysięgaliśmy sobie przed ołtarzem. – Uderzył pięścią w stół. Porcelanowa filiżanka zabręczała ostrzegawczo. – Ja tyrałem po dziesięć... – zawahał się i zdecydował dołożyć kilka godzin, by jego przemowa wypadła bardziej dramatycznie. – ...piętnaście godzin dziennie. Znalazłem dla nas piękne mieszkanie, a ty tu co? Sprowadzasz do domu obcych chłopów? I co gorsza, wydajesz pieniądze na takie bzdety? – Wskazał na filiżankę, puszkę z kawą i nowoczesny ekspres. Anna zaśmiała się, kręcąc głową.

– Nic się nie zmieniło...

– Ja? Dlaczego miałbym się zmieniać? Za to ty... – Spojrzał na nią niemal z nienawiścią.

– No właśnie. – Anna pokiwała głową z politowaniem. – Po co miałbyś się zmieniać?

Monika

Wbrew zapewnieniom w sobotnie popołudnie mama Kwiatek zjawiła się w mieszkaniu syna i jego rodziny. Wykorzystała fakt, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz, i bez wahania wtargnęła do środka. Wchodząc do przedpokoju, obrzuciła wnętrze uważnym spojrzeniem i porządnie niuchnęła nosem, jakby pod ósemką spodziewała się co najmniej woni gotowanego kapuśniaku. Siedząca w pokoju Monika obserwowała poczynania teściowej przez otwarte drzwi, czując narastającą irytację. Miało jej nie być – uporczywa myśl krążyła po głowie młodej matki.

Kobieta uporała się z botkami, płaszczem i beretem, włożyła kaptcie, które już dawno umieściła w jednym rogu szafki na obuwie, i ruszyła w kierunku dużego pokoju. Po drodze zajrzała do łazienki, kuchni, pokoiku Piotrusia i szafy wnękowej. Zupełnie jakby zaglądnienie do szaf wnękowych w domach innych ludzi było przyjętym rytuałem powitalnym.

W końcu stanęła w progu, obrzuciła Monikę szybkim spojrzeniem i zlustrowała wnętrze. Młoda pani Kwiatek miała wrażenie, że starsza walczy z pokusą, by podejść do okna i wyrzeć na balkon. Ostatecznie jednak klapnęła na wersalkę i spojrzała na synową niemal oskarżycielsko.

– Nie ma ich – obwieściła.

Monika, która doskonale wiedziała, że ich nie ma, uśmiechnęła się przyjaźnie i odłożyła na kawowy stolik czytaną powieść.

– Kuba zabrał Piotrusia na spacer, żebyśmy miała chwilę dla siebie.

– Dla siebie? – Teściowa popatrzyła na Monikę jak na kosmitkę.

– Tak, taka mała chwilunia na relaks. – Kciukiem i palcem wskazującym młoda kobieta zademonstrowała, jak mała jest ta chwila. Teściowa wpatrywała się w Monikę wytrzeszczonymi oczyma, więc młoda pani Kwiatek westchnęła i przystąpiła do dokładniejszych objaśnień. – No, wie mama. Kąpiel z pianą, maseczka, malowanie paznokci, gorąca herbata z cytryną, kocyk i książka. Taki rytuał odprężający. Chwila relaksu.

– Chyba dość długa ta chwila – wycodziła mama Kwiatek, prawie nie poruszając ustami.

– Chyba tak – zgodziła się Monika po krótkim zastanowieniu. – Ale każda mama takiej potrzebuje. Poza tym tatusiowie również powinni spędzać czas z dziećmi, wtedy zawiązuje się między nimi lepsza więź.

– Ale przecież ty spędzasz z Piotrusiem bardzo mało czasu! – wykrzyknęła mama Kwiatek, której sytuacja, że matka pracuje i pozostawia swoje dziecko pod opieką zupełnie obcej kobiety, nadal nie mieściła się w głowie. Szczególnie jeśli tą kobietą była przypadkowa niania, a nie na przykład babcia dziecka!

– Ale więcej niż Kuba. – Monika sprawnie odbiła piłeczkę i uśmiechnęła się chytrze. – Chyba mama nie uważa, że Jakub jest dla Piotrusia mniej ważny ode mnie?

– Oczywiście, że nie! – zapewniła pospiesznie teściowa, wygodnie moszcząc się na wersalce. Nagle zmrużyła oczy niczym krótkowidz mający problem z odczytaniem maleńkich literek. – *Pięćdziesiąt twarzy...* Co czytasz? – zapytała podejrzliwie.

– Och, to! – Monika szybko zabrała książkę i odwróciła ją okładką do blatu. – Zuzanna mi pożyczyła...

– Jakiś poradnik?

– Nie, nic w tym stylu. Zuza była zachwycona, ale mnie ta powieść nie przypadła do gustu. Chyba poszukam czegoś innego.

– Myślałam, że lubisz czytać. – Na twarzy teściowej pojawił się znaczący uśmiešek.

– Bo lubię, ale wolę inne książki. Wie mama, jedni lubią pierogi, a inni paszteciki. – A

jeszcze inni święty spokój, pomyślała zrezygnowana. W tej samej chwili spostrzegła, że teściowa znacząco zerka w stronę stojącego na blacie kubka, i chwyciła się tego jak ostatniej deski ratunku. – Zrobię mamie coś do picia. Może kawy? – Poderwała się z fotela, łapiąc w biegu naczynie z mizerną resztką zimnej herbaty.

– Może być kawa – zgodziła się łaskawie mama Kwiatek. – Bo ja właśnie przyszedłam do was z serniczkiem.

Aha, więc tym razem pretekstem był sernik... – pomyślała Monika, zmierzając do kuchni. Mijając lustro zawieszane na ścianie, przystanęła i rzuciła w nie okiem, zastanawiając się, czy na jej twarzy widać emocje związane z kolejnym niezapowiedzianym nalotem teściowej. To zaskakujące, jaka jestem powściągliwa! Mogłabym pracować w telewizji! – zaśmiała się do lustra. Do perfekcji opanowałam już nawet umiejętność zgrzytania zębami w myślach! Nikt nie widzi i jeszcze chronię szkliwo!

– Serniczkiem? – mruknęła pod nosem, by podtrzymać konwersację.

– Tak. Pomyślałam, że upiekę go na święta. Ja wiem, że sernik to bardziej na Wielkanoc, ale Kuba bardzo lubi...

– Ja wolę makowiec.

– Ale ty i tak jesteś na diecie, prawda? – zagruchała starsza pani.

Monika wypróbowała, czy zdolność zgrzytania zębami w myślach nie ulotniła się w ostatnich sekundach, i zadowolona przekonała się, że nie. Zacerpnęła mocno tchu i postanowiła przystąpić do ostatecznej konfrontacji. Zostawiła niedomyty kubek w zlewie, obróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem wróciła do pokoju.

– Tak, ale ja chciałabym z mamą na temat tych świąt porozmawiać. Wiem, że ustaliliście już co nieco z Kubą i że chcieliście mi zrobić niespodziankę. I naprawdę to doceniam.

– No ja myślę! – huknęła mama Kwiatek.

– Kuba nie powiedział mamie, że planujemy razem z sąsiadami małe spotkanie, pewnie zapomniał i...

– Z sąsiadami? – Starsza pani skrzywiła się, jakby Monika właśnie jej oświadczyła, że na wigilijnym stole zamierza postawić przypaloną jajecnicę.

– Oczywiście, spędzimy święta wszyscy razem – zastrzegła szybko Monika. – Ale kolacja nie może odbyć się u mamy, ponieważ będę potrzebna tutaj, na miejscu. Poza tym na wigilię zaprosiłam specjalnego gościa.

– Kogo? – Mama Kwiatek z wrażenia aż uniosła się z wersalki.

– Panią Michalską.

– Co?! Tę dziwaczkę? – Teściowa poczerwieniała z gniewu. Do tej pory niemiło wspominała pewną wizytę dozorczynie, której efektem były nienadające się do zjedzenia pierogi. Początkowo mama Kwiatek uznała, że pochłonięta rozmową z gościem nieopatrznie przesoliła swoje popisowe danie, ale po świętach wszystko gruntownie przemyślała i doszła do jedyne go słusznego wniosku. Nigdy nie przesoliłaby pierogów, nie ona! Potrafiłaby je przyrządzić z zamkniętymi oczyma i lewą ręką przyklejoną do pleców! A jedyną osobą kręcącą się w pobliżu garnka była właśnie pani Michalska! Co prawda na gorącym uczynku staruszki nie złapała, ale samo się przecież nie posoliło, prawda? – Chcesz ją zaprosić? W Wigilię? – wydukała wstrząśnięta.

– A czy może być lepszy dzień, by zaprosić do siebie samotną starszą osobę? Talerz dla zbłąkanego wędrowca? Czy to nie jedna z najpiękniejszych tradycji tych świąt?

– Kochana, świąt nie spędza się z sąsiadkami, tylko z rodziną! – pouczyła synową z poważną miną mama Kwiatek. – Z rodziną! Ty tego pewnie nie zrozumiesz, bo nie wyniosłaś z domu takich wartości, ale ja Kubusia uczyłam od małego i on świetnie wie, że święta w gronie

rodzinnym to podstawa!

– Dlaczego mama tak mówi? – Monika poczuła, że coś dławi ją w gardle. – W naszym domu święta obchodziło się bardzo rodzinnie. Przynajmniej dopóki żyła moja mama...

– No właśnie! – podchwyciła ochoczo teściowa. – Więc chyba się nie dziwisz, że Kubuś chce spędzić święta ze swoją matką? On nie potrzebuje tych twoich sąsiadek! Każdy powinien spędzać święta ze swoją rodziną!

– Ale pani Michalska nie ma rodziny! – Monika była tak rozżalona, że aż tupnęła nogą. – To starsza osoba, która potrzebuje naszej opieki i troski! Rozmawiałam wieczorem z Kubą i przyznał mi rację. Też uważa, że powinniśmy zrobić wigilię tutaj.

– Aha – skwitowała naburmuszona mama Kwiatek.

Monika odwróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni, by w końcu zaparzyć tę nieszczęsną kawę. Pomyślała, że ten mały wybuch – chociaż niezbyt przyjemny – był potrzebny, aby uświadomić teściowej, że nie jest pępkiem świata. I że istnieją ludzie, którzy bardziej niż ona potrzebują uwagi i zrozumienia. Chyba się udało, pomyślała zadowolona, sięgając po filiżanki i puszkę z kawą. Nieprzyjemne myśli o słowach, jakie usłyszała pod swoim adresem, zepchnęła na bok. Myślała tylko o tym, że teraz mama Kwiatek już wie, dlaczego tak ważne jest to, by 24 grudnia pozostać w mieszkaniu przy ulicy Weissa i spotkać się z pozostałymi lokatorami bloku. Poczowała ulgę. Widziałaby jednak, że jest ona przedwczesna, gdyby rzuciła okiem za siebie i przekonała się, jak wyraz niepokoju na twarzy mamy Kwiatek powoli ustępuje triumfalnemu uśmiezkowi.

Kalina

Kalina stwierdziła, że przygotowania świąteczne naprawdę mają swój urok. W tym roku potrafiła to docenić. Wkładała Basię do wózka, opatulając ją śpiworkiem i dwoma kocami, przewieszała uchwyt Młynkowej smyczy przez rączkę, a potem niespiesznie spacerowała krakowskimi ulicami, wdychając lodowate, choć mało rześkie powietrze i przyglądając się mijanym wystawom. Mimo że trudno w to uwierzyć, niektóre z nich emanowały wystrojem jakby wyjętym z początku lat dziewięćdziesiątych, ociekając złotem i srebrem łańcuchów oraz kompozycjami ze szklanych kul. Inne przyciągały spojrzenia jaskrawą bielą sztucznego śniegu lub migotaniem lampek, od których aż bolała głowa. Wpatrywała się w nie zafascynowana i z każdego spaceru wracała z jakimś świątecznym łupem. Raz była to wiązanka brzoźowych gałązek posypanych sreberkiem, imitująca różgę dla niegrzecznych dzieci, innym razem czekoladowy mikołaj, który po dokładnym zapoznaniu się z etykietą okazał się wyrobem czekoladopodobnym, na dodatek tak starym, że biały nalot można było z niego zeszkrobać paznokciem.

Kalina zносиła te małe świąteczne skarby do mieszkania i upychała po szufladach, by ukryć je przed Markiem. Szybko jednak wyszło na jaw, że cała ta zapobiegliwość zdała się na nic. Gdy któregoś wieczoru zaszła do kuchni, by przygotować Basińce butelkę mleka modyfikowanego, zastała męża z pudełkiem gustownych fioletowych świec w rękę i z ironicznie uniesioną brwią.

– Odprawiamy mszę adwentową? – rzucił kpiąco Marek.

Kalina poczuła, że skacze jej ciśnienie. Podbiegła do niego, wyrwała pudełko i pospiesznie zamknęła je w szufladzie ze sztućcami.

– Nie. Ubieramy choinkę w lila i fiolecie – wyjaśniła. – I właśnie takie świece będą pasowały do nakrycia na stole. Mam też serwetki. Lniane – powiedziała z dumą i zademonstrowała kolejne pudełko, dla odmiany wydobyte z piekarnika. Skoro i tak wygrzebał z lodówki te świece, to chyba najmniejszego sensu nie ma ukrywanie serwetek. I podkładek pod kubki z rysunkiem świątecznej girlandy...

Nad serwetkami Marek zmarszczył brwi. Kalina najeżyła się. Co mu się mogło nie podobać, do jasnej cholery? Przecież były takie piękne. I porządne! Serwetki pomogła Kalinie wybrać Zuzanna, z którą od niemal roku pozostawała w serdecznych stosunkach. Zuzanna być może nie znała się na niewiernych mężach, świńskich pisemkach i podkradaniu pomarańczy z supermarketu, ale na serwetkach znała się jak mało kto!

– O co ci chodzi? – zawarczała jak pies broniący przed listonoszem dostępu do furtki. A następnie jak pies rzuciła się do ataku, wrywając zaskoczonemu Markowi serwetki z ręki. Złożyła je starannie i delikatnie umościła w pudełku. – Piękne są... – mruknęła.

– Urocze. – Marek przełknął głośno ślinę. – Ale dlaczego trzy?

– Przecież nie założę Młynkowi serwetki! – oburzyła się Kalina. – Ten pies przeszedł już wystarczająco wiele, a zareczam ci, że ma swoją godność! Serwetka do niej nie pasuje. Nawet lniana.

– Ale...

– Kupię mu za to nową miskę. – Machnęła pudełkiem.

– I...

– Żadnych skafanderków, kostiumików i czapeczek. Nie, powiedziałam, że się nie zgadzam!

– Pozwolisz mi w końcu coś powiedzieć? – Marek westchnął teatralnie i pokręcił głową, a

następnie sięgnął po pustą butelkę i pudełko z mieszanką dla Basi.

– Skoro musisz. – Kalina wruszyła ramionami.

Mąż posłał jej gniewne spojrzenie, napełnił butelkę ciepłą wodą i wsypał do środka precyzyjnie odmierzoną dawkę białego proszku. Założył smoczek i zakrętkę, potrząsnął mocno i wetknął naczynie w ręce żony. A potem zapytał:

– Co planujesz w związku ze świętami?

– Och! – Kalina uśmiechnęła się błogo. – Przyrządzimy smażonego karpia, pierogi z kapustą i grzybami, biały barszcz z suszonymi borowikami od pani Elizy – wyliczała zadowolona. – I kompot z suszonych owoców. Piec nie będę, nie jestem w tym najlepsza. Ale kupimy makowiec, szarlotkę i kawałek sernika. I pierniczki. Dużo pierniczków na choinkę. Którą ubierzemy w lila i fiolecie... – dodała szybko, widząc jego minę.

– Ale ja nie o tym. – Marek zazgrzytał zębami. – Trzy serwetki? Serio? Nie zamierzasz spędzić świąt z rodzicami?

– Nie – odpowiedziała.

– Nie rozumiem.

– Przecież powiedziałam, że to były ostatnie takie święta. Nie mam ochoty na kolejne.

– To pierwsze święta Basi – zauważył Marek. – Dziadkowie na pewno chcieliby w nich uczestniczyć.

– Możemy spotkać się z nimi w pierwszy lub drugi dzień świąt. – Kalina wruszyła ramionami. – Zrozum, do mojej matki potrzeba anielskiej cierpliwości...

– Oooo, skądś to znam – parsknął, przewracając oczyma i zabierając z jej rąk butelkę z mlekiem.

Wyszedł do Basi, a Kalina została w kuchni i zastanawiała się, gdzie schować pudełko z serwetkami. Zza ściany dobiegało radosne gulgotanie dziecka i kojący głos Marka. Co on miał na myśli, do jasnej cholery? – pomyślała.

Zuzanna

Zuzanna owinęła smycz wokół nadgarstka i udała się w kierunku stadionu Kalwarianki. Nuda radośnie pląsała wokół jej nóg, wymachując cieniutkim ogonkiem i co rusz zerkając na swoją panią, czy ta widzi, jaka jest zadowolona. Kobieta poprawiła wełniany komin, wystawiła twarz do słońca i uśmiechnęła się, czując na policzkach ciepło jego promieni.

Psina potrzebowała spaceru, to prawda, ale i ona miała wielką ochotę na przechadzkę. Ostatnie godziny spędziła na pucowaniu mieszkania, a gdy Zuza mówiła o pucowaniu mieszkania, można było mieć pewność, że rozchodzi się o prawdziwe pucowanie. Żadne tam mazanie gąbeczką po kafelkach i piętnaście minut z rurą odkurzacza w dłoni! Znajomi czasami żartowali, że jej mieszkanie powinno się poddać testowi białej rękawiczki przeprowadzanym w popularnym programie telewizyjnym, a ona kwitowała te słowa dobrotliwym uśmieszkiem. Biała rękawiczka? Serio? Test palca wskazującego Zuzanny Fijus odsłoniłby niedoskonałości nawet w wypolerowanych na wysoki połysk wnętrzach Małgorzaty Rozenek!

Piekarnik wyszorowany, okna pomyte, firanki wyprane, lodówka czyściutka, zastawa stołowa lśni, sztucce wypolerowane, chodniki i dywany odkurzone, w szafach posegregowane i poukładane, worki z niepotrzebnymi rzeczami wyniesione do piwnicy, wyliczała w myśli Zuza, która wprost uwielbiała napawać się tym, jak wiele zrobiła. Mijając halę sportową i pnąc się uliczką w kierunku biblioteki, uświadomiła sobie, że nie wyczyściła lustra w przedpokoju, co odrobinę zepsuło jej humor, ale zaraz na powrót się rozpogodziła. Dziesięć minut roboty, stwierdziła uspokojona. A potem można będzie ukroić kawałek orzechowej babki, którą upiekła dziś rano, zaparzyć kubek kawy i zająć się najprzyjemniejszym: pakowaniem prezentów.

Na samą myśl poczuła radosne podniecenie!

Uwielbiała pakować świąteczne podarunki i oczywiście nie odkładała ich zakupu na ostatnią chwilę. Już w październiku zamówiła dla Kajetana specjalną poduszkę z polem elektromagnetycznym, ponieważ wiecznie narzekał, że bołą go plecy. Dla Agaty kupiła śliczny komplet składający się z czapki, komina i rękawiczek, bardzo mięciutki i w ulubionym kolorze nastolatki. Nawet mała Nuda miała w tym roku znaleźć pod choinką swój pierwszy prezent. Zuza kupiła dla niej nowe, wygodne legowisko i zamierzała wypełnić je puszkami z ulubionym przysmakami.

Myśl o prezentach dla najbliższych przypomniawszy jej o inicjatywie obdarowania sąsiadów. Upominki miały być drobne i tanie, ale... przy tworzeniu listy nieco się zagalopowały. Po podsumowaniu wydatków wyszło na jaw, że środki, które zebrały, wrzucając co miesiąc do specjalnego słoika po pięć złotych, mogą okazać się niewystarczające! Na szczęście każda wysupłała dodatkowe fundusze, co pozwoliło zamówić wybrane przedmioty. Zuzanna uśmiechnęła się szeroko i aż zatarła ręce na myśl, jak zaskoczeni będą sąsiedzi, gdy po wspólnym śpiewaniu kolęd pod jodełką one wręczą im podarunki. Monika kupiła nawet cztery czerwone filcowe czapeczki, choć Zuza podejrzewała, że mogą się przydać tylko trzy...

Jednak tak piękny, słoneczny i rześki dzień nie był odpowiedni, by roztrząsać dziwne zachowanie Marzeny. Zamiast tego Zuzanna uświadomiła sobie, że do księgarni z pewnością dotarła już przesyłka z książką Dana Browna dla pana Malinowskiego, i zdecydowała się przejść przez rynek, aby ją odebrać i zapakować razem z prezentami dla rodziny.

Z radosną miną minęła restaurację Pod Kasztanami, przepuściła dużego, zakurzonego suwa, myśląc, że niektórzy powinni bardziej dbać o czystość swoich samochodów, i ruszyła w kierunku urzędu miasta. Mijając wejście do dawnego kina Żarek, stanęła jak wryta. Kilka kroków od niej, przed wejściem do oddziału banku, nerwowo spacerował Kajetan.

Nie wiedzieć dlaczego Zuza odruchowo odskoczyła do tyłu i schroniła się za załomem muru. Z mocno bijącym sercem ostrożnie wyjrzała zza węgła i rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku męża. Kajtek wyglądał na poruszonego, niespokojnie dreptał w miejscu, na przemian to szarpał gruby szalik, który podarowała mu rok wcześniej pod choinkę, to zaciskał i rozprostowywał palce, jakby dokonywał pospiesznych obliczeń. Zuzanna zmarszczyła brwi. Czego Kajetan szukał w banku? Mieli niewielkie oszczędności na czarną godzinę i choć podczas ostatnich zakupów troszeczkę sobie pofolgowała przy wybieraniu świątecznego obrusu, serwetek i świec (i nowej koronkowej bielizny typu bodystocking, ale myśl o prześwitującym ciuszku zarumieniona z emocji Zuzanna odsunęła na bok, bo w jaskrawym świetle dnia i w tak popularnym wśród mieszkańców Kalwarii miejscu wydawała się ona ciut niestosowna), ale na Boga, nie potrzebowali kredytu! Jeśli Kajetan chciał kupić dla niej prezent świąteczny, mógł po prostu wypłacić potrzebną kwotę z rachunku oszczędnościowego, a ona dobrodusznie nie sprawdziłaby wyciągu z konta!

No, chyba że Kajtek chciał swój zakup utrzymać w tajemnicy przed żoną...

Zuzanna poczerwieniała.

Nie podejrzewała Kajetana o zdradę, co to, to nie!

Po ubiegłorocznych perypetiach wierzyła w wierność męża mocniej niż w niezawodny przepis na kruche ciasto, który odziedziczyła po matce, i w skuteczność soli przy wywabianiu plam z czerwonego wina. Nie, Kajtek nie miał kochanki, dla której kupowałby tajemne podarunki. Miał za to żonę. A ona z wypiekami na twarzy przeglądała babskie pisemka i wzdychała żałośnie: „Ach, jaka piękna ta Portugalia!”, „Och, jak wspaniale jest w Hiszpanii” i „A gdyby tak spędzić sylwestra w Paryżu? Albo chociaż na Karaibach?”. Czy nie wydawało się logicznym, że kochający mąż chciał spełnić marzenie swojej żony i zaciągał sekretny kredyt na równie sekretną podróż tylko we dwoje?

Rozemocjonowana Zuzanna zapomniała o powieści dla pana Malinowskiego i dyskretnie wyjrzała zza muru. Kajtek najwyraźniej zakończył swoje obliczenia, ponieważ porządnie otrzepał buty i zdecydowanym ruchem złapał za klamkę. Po chwili zniknął we wnętrzu banku, a zadowolona Zuza przefrunęła przez przejście dla pieszych i truchcikiem pognęła w dół uliczki. Zdezorientowana Nuda szybko pojęła, że to nowa zabawa, i zachwycona podskakiwała za opiekunką, usiłując przy okazji złapać zębami rąbek jej płaszcza. Tylko dlaczego pani się na nią nie ogląda? – zdziwiła się sunia. Wgryzę się wyżej nad nogami, tu, gdzie wystaje takie coś miękkie jak poduszka! – postanowiła.

I tak zrobiła!

Stasia

Kiedy miało się przyjaciółkę, kalwaryjska szkoła mogła uchodzić za najlepsze miejsce pod słońcem. Stasia i Kasia, czy może należałoby powiedzieć Kazia, były od niemal roku praktycznie nierozłączne. Więż zadzierzgnięta podczas projektowania szopki bożonarodzeniowej w kościółku księdza Wojtka przetrwała przerwę świąteczną i zaowocowała przetasowaniami w klasowych ławkach. Nagle Stasia, małomówna outsiderka stroniąca od kontaktów towarzyskich, zmaterializowała się u boku najpopularniejszej dziewczynki w 2a i tam już pozostała.

Razem wracały ze szkoły, i nie przeszkadzało im w tym nawet to, że mieszkały w zupełnie innych częściach miasteczka. Po prostu najpierw Stasia odprowadzała Kasię do domu lub salonu fryzjerskiego jej mamy, a następnie Kasia odprowadzała Stasię na ulicę Weissa. Czasami, gdy Marzeny nie było w domu, a dziewczynkom udało się umknąć przed przenikliwym wzrokiem pani Michalskiej, Stasia zostawiała plecak w schowku pod schodami i biegła odprowadzić Kasię jeszcze raz. Tak się nie mogły nagadać!

Buzie nie zamykały się im nawet w szkole, a wychowawczynie ze stropioną miną uzupełniała dzienniczek o kolejne upomnienia i uwagi. Upilnowanie tych dwóch pchełek było dla Samanty prawdziwym wyzwaniem, więc kiedy pewnego listopadowego poranka poczuła mdłości i tknięta przecuciem sięgnęła po test ciążowy, powitała pozytywny wynik szerokim uśmiechem. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia dostarczyła dyrektorowi zwolnienie lekarskie, a Maciej po raz kolejny objął tymczasowe wychowawstwo w klasie dziewczynek. Nie był tym co prawda zachwycony, ale pocieszał się, że to tylko chwilowe. Nowa nauczycielka miała zjawić się po przerwie świątecznej. Maciek nie mógł się doczekać momentu, gdy odda pod jej skrzydła dziewczynkę, która w niedługim czasie mogła zostać jego córką i dla której utrzymanie języka w buzi okazało się trudniejsze niż opanowanie tabliczki mnożenia do tysiąca.

Tak też było na poniedziałkowej lekcji. Stasia poczuła, że natychmiast musi podzielić się z przyjaciółką pomysłem, który wpadł jej do głowy. Nie, nie zamierzała czekać do przerwy. Ponad plecami koleżanek i kolegów zerknęła w kierunku biurka wychowawcy, ale Maciej wydawał się całkowicie pochłonięty lekturą „Przeglądu Sportowego” i nie zwracał uwagi na to, co dzieje się w klasie. Dziesięć minut wcześniej polecił dzieciom przepisać pierwszą stronę z pierwszej książki, na jaką natrafią w tornistrze, mówiąc, że w ten sposób trenują swój charakter pisma. „Charakter pisma jest bardzo ważny – zaznaczył. – Nie wiecie, kim będziecie w przyszłości! Może gwiazdą rocka, prezesem albo powieściopisarzem? Ładny charakter pisma się przyda! Bez niego możecie zostać lekarzem, aptekarzem albo wuefistą!”

Stasia szturchnęła Kasię łokciem, a kiedy to nie poskutkowało, delikatnie nadepnęła jej na stopę. Przyjaciółka syknęła boleśnie, długopis w jej ręku drgnął i przekreślił całą stronę malowniczym zygzakiem. Stasia zmarszczyła brwi, a potem wzruszyła ramionami. Kasia marzyła, by zostać fryzjerką tak jak jej mama, więc ważniejsze dla niej powinno być opanowanie perfekcyjnego posługiwania się nożyczkami!

– Mam pomysł! – szepnęła Stasia.

– Hmm?

– Świąteczny konkurs plastyczny.

– Ten z odpadków? – Kasia zmarszczyła nos.

– Nie z odpadków, tylko z surowców wtórnych. Weźmiemy w nim udział. Nagrodą są zaproszenia na premierę filmu *Zima w Dolinie Muminków*.

– No dobra... – Kasia nie wyglądała na przekonaną.

– Zaufaj mi – obwieściła dorosłym tonem Stasia. W tej samej chwili dobiegło ją

charakterystyczne chrząknięcie Macieja, więc czym prędzej pochyliła główkę nad zeszytem. Zaraz jednak zerknęła na przyjaciółkę. Kasia z ponurą miną wpatrywała się w zygzak przecinający kartkę. – Po lekcjach pójdziemy do mnie! – szepnęła jeszcze i z westchnieniem dziecka, które musi spełniać absurdalne żądania dorosłych, zabrała się do przepisywania czytanki.

Po lekcjach niemal biegiem dotarły na ulicę Weissa. Najpierw weszły do mieszkania na parterze, aby odmeldować się u pani Michalskiej. Przy okazji schrupały kilka kruchych ciasteczek i zdały relację z minionego dnia. Starsza pani kręciła głową zde gustowana. Widząc kolejną uwagę w dzienniczku, mruknęła:

– Za moich czasów dzieciaki trzymało się krótko. Różga i do kozy.

– Do kozy?! – Kasia wyglądała na przerażoną. – I co robiło się z tą kozą?

– Siedziało się w niej. – Staruszka wzruszyła obojętnie ramionami, a widząc konsternację na twarzach dziewczynek, szybko zaczęła je przepędzać. – Zjadłyście? To do nauki! Ja mam swoje zajęcia na głowie! Widziałyście, jak Malinowski upaprał smarem drzwi wejściowe?

Dziewczynki nie widziały, ale na wszelki wypadek zgodnie kiwnęły głowami. Naciągnęły kozaki, na plecy zarzuciły kolorowe tornistry, a skotłowane kurteczki wsunęły pod pachy, i raz-dwa czmychnęły na klatkę schodową. Na schodach Kasia posłała przyjaciółce zaniepokojone spojrzenie.

– Pani Michalska to czarownica!

– Też tak myślę. – Stasia skinęła głową. – Słyszałam, jak kiedyś pan Maciek mówił do mamy, że ta stara czarownica znowu stoi za firanką i filuje.

– Co to znaczy filuje?

– Nie wiem, może to jakieś tajemne obrzędy? Albo coś związanego z porządkami? Ona zawsze chodzi i sprząta, szpera i sprząta. Ale nie musisz się jej bać, ona na pewno jest dobrą czarownicą. Pamiętasz, jak pożyczyła nam karmnik?

Nie do końca przekonana Kasia skinęła lekko główką i zatrzymała się przed drzwiami, czekając, aż Stasia wygrzebie z kieszonki klucze. Kiedy weszły do mieszkania i pozbyły się już tornistrów, zbędnych warstw odzieży i butów, spojrzała na przyjaciółkę wyczekująco.

– Mówiłaś, że masz pomysł na obrazek...

– Tak! Zrobimy choinkę! Musimy wykorzystać stare rzeczy, dlatego odłożyłam zieloną plisowaną spódnicę mamy i sreberka z czekolady. Z butelki po ketchupie wytniemy bombki, tylko musimy plastik porządnie wyszorować, bo wyjęłam ją z kubelka już kilka dni temu i schowałam w szafie. Zaczyna już nieładnie pachnieć, zupełnie nie po ketchupowatemu. Wykorzystamy też pałkę do ucierania, którą mama złamała w zeszłym tygodniu. Rzuciła nią o podłogę po tym, jak przytrzasnęła sobie palce drzwiczkami od piekarnika. – Uszczęśliwiona Stasia prezentowała swoje łupy.

Kasia zmarszczyła brwi.

– Ale ta pałka jakaś jasna, owiniemy ją bibułą?

– Nie mam starej bibuły. Ale mam coś lepszego. – Gospodyni uśmiechnęła się promiennie, prowadząc gościa do łazienki. – Wiem, gdzie mama trzyma przeterminowaną farbę do włosów.

Anna

Anna Jurczyk nachyliła się nad pudełkiem z przyborami do szycia i wyjęła szydełko. Już dawno nie sięgała po robótki, ale po prawdzie odkąd zaprzyjaźniła się najpierw z sąsiadkami, a następnie z Felicjanem, nie cierpiała na deficyt wolnego czasu. Po wyjeździe Waldemara stała się jego jedyną panią. Sama decydowała, czy po południu obejrzy telenowelę w telewizji, poczyta książkę czy może pójdzie do kawiarni Pysia, by tak po prostu posiedzieć nad filiżanką kawy i pogapić się na ludzi. Wyciskała każdy dzień z tą samą starannością, z jaką niegdyś wyciskała przynoszone przez męża przejrzałe cytryny, czerpiąc przyjemność z drobnych zakupów, wydarzeń kulturalnych w lokalnej bibliotece, a nawet z niedzielnych wyjść na mszę świętą. Mogła położyć na tacy pięć złotych, jeśli miała taką ochotę, i nikt nie urządzał z tego powodu hysterii! Anna uwielbiała to uczucie wolności i upajała się nim w taki sposób, w jaki ludzie upajają się pierwszymi promieniami wiosennego słońca.

Ale z chwilą powrotu Waldemara coś się zmieniło. Anna nie potrafiła powiedzieć, co to było, ale zaczęła odczuwać dziwny niepokój, który z każdym kolejnym dniem narastał. Już w sobotę zrezygnowała z większych zakupów, tłumacząc sobie, że trzeba pozjadać to, co kisi się w lodówce. Niedzielę spędziła w czterech ścianach pokoju, czytając kupiony parę dni wcześniej miesięcznik dla kobiet i wychodząc jedynie po to, aby skorzystać z łazienki i zrobić sobie coś do zjedzenia. A w poniedziałkowy poranek, szykując się do pracy, przyłapała się na tym, że sięga po stary płaszcz, i aż tupnęła ze złości nogą. O nie! Nie pozwoli, by Waldemar po raz kolejny przejął kontrolę nad jej życiem!

Mimo to kiedy koleżanki z pracy zaproponowały wspólną kawę w mieście, wymówiła się bólem głowy. Swojego towarzystwa odmówiła również wyraźnie rozczarowanemu Felicjanowi, który zasugerował, że przechadzka na pewno dobrze jej zrobi i pomoże zwalczyć przykrą dolegliwość. Osowiała wróciła do domu, a kiedy pod blokiem zauważyła wymachującą miotłą panią Michalską, stchórzyła i ukryła się między samochodami. Wiedziała, że wścibska sąsiadka natychmiast ją przejrzy, więc odczekała, aż staruszka ruszy w kierunku śmietnika, i biegiem pokonała odległość między swoją kryjówką a wejściem do klatki schodowej. W drzwiach zderzyła się z mamą Kwiatek. Teściowa Moniki sapnęła.

– Powolutku, pani Aniu, powolutku. Nie pali się przecież.

– Pali się – jęknęła Anna i próbowała wyminąć kobietę, ale odziana w wielgachne baranie futro mama Kwiatek zatarasowała sobą całe wejście. Anna odbiła się od obfitego tułowia jak piłka i aby nie upaść, przytrzymała się skrzynki pocztowej. Matka Jakuba cmoknęła zmartwiona.

– Ubrudziła się pani!

– Gdzie? – zdziwiona Anna usiłowała zerknąć przez ramię na miejsce, które mama Kwiatek właśnie otrzepywała z przyjaznym uśmiechem.

– Już w porządku. Na szczęście zeszło, bo szkoda takiego ładnego płaszczyka! – szczebiotała. Nagle nachyliła się w stronę Anny i szepnęła konspiracyjnie: – Ale tak po prawdzie, to jestem troszkę zaniepokojona.

Wzdrygając się na myśl o dotknięciu futra, Anna dyskretnie cofnęła się o kroczek.

– Naprawdę? A czym? – wyraziła uprzejme zainteresowanie.

– Stanem waszej klatki schodowej!

Anna rozejrzała się naokoło zdezorientowana. Nie zauważała niczego niepokojącego. Wszystko wydawało się być na swoim miejscu. Mama Kwiatek pokręciła głową i westchnęła teatralnie.

– Wy, młodzi, nie zwracacie uwagi na takie rzeczy. Co innego macie na głowie. Ale taka

stara kobieta jak ja... – zawiesiła głos. Widocznie spodziewała się zaprzeczeń, jakoby wcale nie była taka stara, ale Anna milczała, oczekując dalszej części wypowiedzi i nerwowo zerkając na zewnątrz. – Cóż, chcę powiedzieć, że w moim wieku zauważa się już takie rzeczy i że kiedyś to tutaj było dużo czyściej.

– Naprawdę? – zdziwiła się szczerze Anna.

– Oczywiście! – Kobieta jeszcze bardziej ściszyła głos. – Przecież tak paskudnie ubrudziła sobie pani okrycie! A ja nie dalej jak wczoraj tuż przed wejściem wdepnęłam w... ku-pę!

– Ku-pę? – Anna otworzyła szeroko oczy.

– Ja również byłam zszokowana! – Mama Kwiatek ułożyła dłonie na wydatnym biuście skrytym pod baranim futrem i skłoniła konspiracyjnie głowę. – Przecież dotychczas pani Michalska utrzymywała to miejsce we wzorowym porządku.

– Ale nadal...

– Ale najwyraźniej siły już nie te! – weszła Annie w słowo, po czym obróciła się bokiem, aby ją przepuścić, i niemal popchnęła w kierunku schodów. – No dobrze. Nie zatrzymuję dłużej. Mam nadzieję, że będzie pani miała na uwadze naszą rozmowę i wnioski, do których doszliśmy. Wszyscy powinniśmy pomóc pani Michalskiej! – zaszczebiotała i już jej nie było.

Zdezorientowana Anna wdrapała się po schodach na drugie piętro, zadając sobie w duchu pytanie, co to było, do cholery. Do jakich wniosków właśnie doszła do spółki z teściową Moniką? Zaraz jednak zapomniała o spotkaniu na klatce schodowej, ponieważ po wejściu do mieszkania uświadomiła sobie, że pod jej nieobecność Waldemar prawdopodobnie przetrząsnął wszystkie szafy, szuflady i schowki. Na myśl, co w nich znalazł, poczuła ogarniający ją niepokój.

Mieszkanie było puste. Anna odwiesiła płaszcz do szafy w przedpokoju, pogładziła przez chwilę kołnierz ze sztucznego futra i poszła do kuchni zrobić sobie herbatę. Przystanęła przy oknie, popijając mocny napar i wyglądając na rosnącą w dole jodełkę. Drzewko nadal było liche, ale i tak darzyła je szczególnym uczuciem. To przecież ono, razem z panią Michalską, przed rokiem tak pięknie zjednoczyło mieszkańców budynku przy ulicy Weissa. A wieszanie szklanych soplek na jego gałązkach pomogło Annie uspokoić rozdygotane myśli.

Dziś również potrzebowała podobnej czynności, mechanicznej, powtarzalnej, znanej – takiej, która pozwoliłaby jej szybować myślami gdzieś daleko. Nogi same poniosły kobietę ku szafce pod telewizorem, gdzie trzymała pudełko z przyborami do szycia.

Anna rozsiadła się w fotelu, a w zasięgu ręki postawiła kubek z herbatą. Wyszukała w pudełku szydełko i kłębek białego kordonka. Jej palce podjęły znajomy taniec, a spod połyskującego szydełka wychodziły kolejne misternie tkane płatki śniegu.

Kalina

Poniedziałkowy spacer po osiedlu Kalinie, Basi i Młynkowi przerwał dzwonek telefonu. Kobieta rzuciła okiem na wyświetlacz i zaklęła szpetnie. Przez chwilę mocowała się z rękawiczkami, przeklinając ekrany nowoczesnych smartfonów, równocześnie blokując kółka wózka i wpychając pod pachę uchwyt smyczy. W końcu udało jej się odebrać. Przez moment wsłuchiwała się w potok płynących słów, ale w pewnej chwili stwierdziła, że chyba musiała się przesłyszeć.

Bo musiała, prawda?

– Co masz na myśli? – zapytała na wszelki wypadek. Ojciec westchnął żałośnie i rozpoczął przemowę od początku. Parę razy musiała mu przerwać, bo nie była pewna, czy dobrze rozumiała, co chce jej przekazać. – Co to znaczy: obraziła się i pojechała na obóz dla miłośników dziergania koronkowych serwetek techniką filet? Co filet ma wspólnego z serwetkami? Fileta się nie kładzie na serwetce, tylko na talerzu. A wcześniej na patelni!

– Przecież ci mówię, że matka znalazła sobie nowe hobby. – Chociaż przez telefon nie mogła tego zobaczyć, wiedziała, że ojciec właśnie wzruszył ramionami w charakterystyczny dla siebie sposób, co miało podkreślić fakt, że nie ma wpływu na szaleństwo żony. – Szydełkuje.

– Kto jej dał szydełko? Musiał być niespełna rozumu!

– Ty, na Dzień Matki. Nie pamiętasz?

– Och! – Kalina ze złości tupnęła nogą, równocześnie robiąc głupie miny do znudzonej spacerem Basieńki. Wychodząca z pobliskiej drogerii staruszka w filcowym kapelusiku przystanęła i z osłupieniem spojrzała w ich kierunku. Basia zaczęła popłakiwać, więc Kalina czym prędzej wystawiła język i zrobiła zeza. Starsza pani przeżegnała się i niemal biegiem ruszyła w kierunku nadjeżdżającego tramwaju. Co parę kroków oglądała się za siebie, jakby w obawie, że dziwaczna zgraja ruszy za nią w pościg. Kalina odprowadziła ją wzrokiem i westchnęła. – Dobra, kupiłam jej szydełko, ale czy naprawdę musi go od razu używać?

– Nie od razu – zaznaczył ojciec. – Dopiero co zaczęła. Po tym, jak... hmmm, powiedziałas, że... nie pozwoliłaś jej... no po tamtym piątku – dokończył dzielnie.

– Rzuciła się z szydełkiem na Bogu ducha winną wełnę, bo nie pozwoliłam jej zamienić psa w rogaciznę? Cała ona!

– Nie pokazała tego po sobie, ale twoje słowa bardzo ją zabolaly.

– Uhm.

– Powiedziała, że się tego po tobie nie spodziewała.

– Typowe. – Kalina pokiwała głową. – To samo powiedziała, gdy nie pozwoliłam wcisnąć się w suknię ślubną przypominającą kształtem ciepłego lodu! Powiedziała, że łamię jej serce. Tym razem też?

– Nie... – Ojciec się zawahał. – Tym razem nazwała cię zmiłą wychowaną na własnej piersi.

– O, to coś nowego, muszę sobie zanotować. I co teraz? Obraziła się, pojechała, macha szydełkiem, stanowi zagrożenie dla otoczenia. Coś jeszcze?

– Tak. Zapowiedziała, że będzie twoim trupem.

– C-co takiego? Powtórz, bo chyba nie dosłyszałam.

– Dosłyszałaś. Powiedziała, że chciałaś mieć trupa na święta, to ona się dla ciebie poświęci i już ci nie będzie nudno.

Kalina wzniosła oczy do nieba, klęnąc na charakter swojej matki. Jeśli było coś, co Lucyna Radecka lubiła bardziej od marudzenia i kiczowatych ozdóbek, to z pewnością było to robienie z

siebie ofiary. Pokrzywdzonej przez los i wyrodną córkę. Która. Nie pozwala. Ubierać. Dziecka. W. Różowe. Falbanki. Nie pozwala. Przebrać. Psa. Za. Renifera. Kupuje. Czekoladowe. Markizy. Z dodatkiem. Różnych. E! Składników. I na dodatek. Marzy. O świętach. Z trupem. W tle. Amen.

- Zamierza się poświęcić. – Pokiwała głową.
- Tak. I umrzeć. Prawdopodobnie na serce.
- Była u kardiologa w listopadzie. Powiedział, że ma serce jak dzwon!
- Myślisz, że jakieś tam serce ma odwagę sprzeciwić się twojej matce?
- No, ale gdzie zamierza umrzeć? Tam? Na tym obozie?
- Nie chce powiedzieć. Twierdzi, że to po pierwsze nie moja sprawa, a po drugie i tak się dowiem, tylko w stosownym czasie. Mają mnie zawiadomić.
- Co teraz zrobimy? Przecież należałoby ją tu ściągnąć... póki żyje. Bo potem będzie trudniej.
- No właśnie o to chodzi... Musisz po nią pojechać.
- Ja?!
- A co, ja? To ty ją zdenerwowałaś i ty dałaś jej szydełko. To twoja wina, więc teraz to napraw!
- Rzuci się na mnie!
- Nie rzuci. Ale na wszelki wypadek włóż grubszy sweter.

Kalina przez chwilę rozważała słowa ojca, by ostatecznie dojść do wniosku, że prawdopodobnie ma rację. Sprowokowała matkę. Dała jej szydełko, i to tylko dlatego, że o Dniu Matki przypomniawszy sobie w ostatniej chwili, a jedynym czynnym sklepem na osiedlu okazała się pasmanteria na rogu. Miała do wyboru szydełko albo zestaw naparstków i być może jej nieprzemyślany zakup przyczynił się do rozwoju pasji dziergania i do wyjazdu. Gdyby dała matce naparstki... Nie, wołała nie myśleć, jaki użytek Lucyna Radecka zrobiłaby z naparstka.

Do cholery jasnej, spała wtedy po trzy godziny na dobę. Miała prawo być zmęczona i zapomnieć o tym, że wszystkie polskie matki tego dnia świętują. Ona nic nie dostała. Marek przypomniawszy sobie o Dniu Matki pierwszego września, gdy synek sąsiadów rozdarł się na całą kamienicę, że jeśli matka każe mu iść do przedszkola, już nigdy nie narysuje dla niej laurki! Matka jest tylko jedna, pamiętaj, smarku zafajdany, odkrzyknęła mu sąsiadka.

Kalina przygryzła wargę, odwróciła się w kierunku migoczącej witryny i napotkała szkliste spojrzenie wypchanego renifera. Z jednym rogiem.

- Dobra, pojedę po nią – warknęła do telefonu. – Zdobądź adres i uprzedź, że przyjadę w środę. I żadnych numerów. Pakuje się do samochodu, a potem grzecznie wraca. Mam obowiązki przed świętami, przecież nie będę na nią czekała. I poszukaj na pawlaczu tej skórzanej kamizelki, w której grałam kowboja Johna w szkolnym przedstawieniu. Jest twarda jak skała, może mi się przydać...

Kajtek

Zamyślony Kajetan przekładał z kupki na kupkę dokumenty, które właśnie przeglądał. Zupełnie nie miał weny do pracy. Nie potrafił się skupić i raz za razem przyłapywał się na bezmyślnym zerkaniu w okno.

Kajtek był załamany. Nie dostał kredytu, jaki bez wiedzy Zuzanny chciał zaciągnąć na spłatę zadłużenia u szefa. Uśmiechnięta kasjerka, o której chwilę wcześniej pomyślał, że ma najpiękniejsze oczy pod słońcem, odmówiła mu bez mrugnięcia. Kiedy zrezygnowany włókł się nogą za nogą w kierunku drzwi, przywołała go radosnym głosem i oświadczyła, że w ramach wieloletniej współpracy może mu pójść na rękę. Da mu tysiąc złotych specjalnego świątecznego kredytu. Na bombeczki.

Westchnął tak mocno, że zdmuchnięte dokumenty sfrunęły z biurka i rozsypały się po pokoju. Część z nich wylądowała u stóp Michała, który właśnie wszedł do klitki zajmowanej przez Fijusa.

– Stary! – Mężczyzna aż gwizdnął na widok przyjaciela. – Wzdychasz głośniejsz niż do Gośki Fretkowskiej w ósmej klasie. Tej, wiesz, pamiętasz, z dużymi... – Zarysował na wysokości klatki piersiowej dwa pełne balony, ale Kajetan nie zareagował na żart.

– No weź – wymamrotał gdzieś znad podłogi.

– No nie mów, że ci się nie podobała?

– To była nasza nauczycielka! Stara baba!

– Nie miała jeszcze trzydziestu lat. – Kolega wzruszył ramionami z lekkim uśmiechem.

Kajtek potrząsnął głową, złożył w zgrabniutki stosik zebrane dokumenty, potem rozdzielił je na dwie mniej więcej równe kupki i położył w dwóch różnych częściach biurka. Wena wena, ale pokazać, że się coś robi, chyba trzeba?

– Masz kłopoty? – domyślił się Michał.

– Nie, uhm, tak... – przyznał z małymi oporami. Potarł czoło dłonią i spojrzał na przyjaciela przekrwionymi oczyma. – Potrzebna mi mała pożyczka.

– Nie ma sprawy! – Michał z entuzjazmem sięgnął do kieszeni materiałowych spodni po portfel. – Ile? Sto, dwieście?

– Dziesięć.

– Nie mam drobnych. – Potencjalny pożyczkodawca zmartwił się. – Ale poczekaj, chyba w kurtce...

– Tysięcy.

– ...mam dychę – dokończył i wytrzeszczył na Kajetana oczy.

– To znaczy dziewięć – poprawił się Fijus. – Bo tysiąc już mam. Na bombeczki.

– Ocipiałeś? – wykrztusił Michał.

Kajtek szybko potrząsnął głową.

– Skądże! Przecież nie kupię za to bombek!

– Nie chodzi mi o cholerne bombki! Po co ci dziesięć tysięcy?

– Potrzebne. – Kajetan spuścił wzrok. – Pomożesz mi?

Michał z wrażenia aż wstrzymał oddech. Przez chwilę stał nad Kajtkowym biurkiem, kołysząc się na piętach i główkując, co zrobić. Kajetan Fijus był jego przyjacielem od dziecka. W młodości nieraz ratowali sobie nawzajem tyłki. Poza tym nie dalej jak rok temu Kajtek kolejny raz udowodnił, jak wspaniałym jest przyjacielem, chroniąc Michała przed gniewem Elwirki i biorąc na przechowanie jego skarby. Ta wieloletnia przyjaźń została wystawiona na próbę tylko raz: gdy okazało się, że rzeczony skarby z mieszkania Kajetana wyparowały, a on sam nagle

zaczął zachowywać się jak wariat i sugerować, że on, Michał, z Zuzanną... Na myśl o perfekcyjnej żonie przyjaciela Michał poczuł dreszcze. Nie był tego pewien na sto procent, ale podejrzewał, że bokserki Kajtka są zaprasowane na kant. I on miałby z nią... Nie, nie.

Już dawno wybaczył Kajtkowi, że ten zgubił jego kolekcję czasopism pornograficznych z początku lat dziewięćdziesiątych. I tak trzymał je tylko z sentymentu. Pochodziły z Niemiec, a twarze przedstawionych w nich modelek (czy to w ogóle były modelki?) stanowiły skrzyżowanie klaczy z przedpotopową kosiarką do trawy. I wiedział, że przyjaciel sporo ryzykował, ukrywając je w swoim mieszkaniu. Teraz powinien się zrewanżować. Tylko że konto było wspólne, a Elwirka... Cóż, Elwirka nie przepadała specjalnie za Fijusem. Być może wpłynęła na to zawołowana sugestia Michała, że zaplamione gazetki, na które natrafiła przypadkiem pod materacem, należały właśnie do Kajetana...

W każdym razie Kajtek był jego przyjacielem, a przyjaciółom się pomaga. Czasem z narażeniem własnego zdrowia. Dlatego Michał odchrząknął.

– Dwa.

– Co dwa? – Kajetan uniósł głowę i spojrzał na kolegę z nadzieją w przekrwionych ślepiach.

– Trzy – poprawił się więc Michał i szybko, żeby nie zmienić zdania, dodał: – Pożyczę ci trzy tysiące. Oddasz, kiedy będziesz mógł.

Kajtek zerwał się z biurka, przy okazji nabijając się na jego róg. Kuśtykając, obiegł mebel dookoła i porwał Michała w objęcia. Soczyście ucałował obydwie policzki, choć przyjaciel wykręcał się, jak tylko mógł. Potem poklepał go po łopatce i na koniec w ramach jedynie im znanego męskiego rytuału przywalił jeszcze pięścią w żołądek przyjaciela. Nieprzygotowany Michał zgiął się wpół.

– O jezu! – zreflektował się Kajetan i szybko podprowadził biedaka do najbliższego krzesła. Usadził go na nim, po czym ponownie zaczął ścisnąć oraz przytulać. Michał pojękiwał, kiwając się w tył i w przód.

– Przepraszam... nie... mogę... więcej... bo... Elwirka... – usiłował wydusić.

Ale Kajetan szczęśliwy, że ma już cztery tysiące z dziesięciu potrzebnych, by spłacić zobowiązanie wobec szefa, w ogóle go nie słuchał. Zastygł w groteskowej pozycji, ściskając ramiona przyjaciela, tuląc głowę do jego barku, i kołysali się tak razem niczym w dziwacznym wolnym tańcu. Stojący w progu i niezauważony przez nikogo Milewski senior pokiwał głową ze zrozumieniem.

Marzena i Stasia

W mieszkaniu pod numerem czwartym w tygodniu śniadania jadało się wcześnie. Przynajmniej w te dni, kiedy Marzena pracowała na zmianę popołudniową lub miała wolne, bo wtedy starała się przygotować ulubione przysmaki Stasi i zasiąść z nią do wspólnego posiłku. Nawet jeśli sama zazwyczaj wypijała tylko kawę, to i tak z przyjemnością towarzyszyła córce. Podczas śniadania dzieliły się wrażeniami z poprzedniego dnia („A wiesz, mamusiu, że razem z panią Polą byliśmy na przedstawieniu w centrum kultury?”), ustalały poważniejsze kwestie („Wróć dzisiaj prosto po szkole, bo chciałabym zabrać cię do Wadowic, żeby kupić ciepłe kozaki”) i gawędziły wesoło („Ta bułka wygląda jak głowa Gargamela!”), „Nie, ona wygląda jak nos pana Malinowskiego!”). Nierzadko były to jedyne chwile w całym dniu, kiedy miały czas tylko dla siebie.

Ale wtorkowe śniadanie przebiegało w zupełnie innej atmosferze, choć żadna z pań Kamińskich – ani młodsza, ani starsza – nie zwróciła na to większej uwagi. Co prawda Marzena zwlokła się z łóżka za piętnaście szósta, aby przygotować dla Stasi kolorowe kanapki, ale kolejne pół godziny spędziła na klęczkach, obejmując muszlę klozetową i usiłując cokolwiek wyrzucić z targanego torsjami żołądka. Kiedy w końcu zmęczona dotarła do kuchni, jedyne, co była w stanie zrobić, to obrzucić nienawistnym spojrzeniem stojący na blacie stoik z kawą i wstawić do rondelka parówki cielejące. Potem siedziała przy niedużym kuchennym stole, ścisnęła w dłoniach szklankę lodowatej wody, bez słowa obserwowała, jak córka macza w ketchupie kawałki różowego mięsa, i walczyła, by nie zwymiotować. Poza tym cały czas rozmyślała nad tym, jak poinformować Stasię o ciąży. Nie zauważyła, że dziewczynka również jest dziwnie milkliwa i nieobecna.

Stasia nie była głodna, a na widok niedbale rozrzuconych na talerzu parówek i plamy sosu pomidorowego poczuła, jak ścisną ją w żołądku. Przesuwała widelcem po talerzu, aby sprawiać wrażenie zainteresowanej posiłkiem, lecz tak naprawdę błędziła myślami bardzo daleko. Nie obchodził jej już ani konkurs plastyczny, ani film, który tak chciała obejrzeć, teraz zaprzętała ją coś ważniejszego.

Pomysł, by zafarbować tłuczek starą farbą do włosów, wydawał się świetny. Aby nie zabrudzić podłogi, dziewczynki rozścielały gazety i przyniosły plastikową miskę na obierki. Kiedy stanowisko pracy było gotowe, Stasia wyszperała dawno zapomniane pudełko z farbą do włosów. Kasia, która nieraz podglądała swoją mamę przy pracy w salonie fryzjerskim, została obarczona zadaniem przygotowania mieszanki. Ale zamiast tubek z chemicznymi barwnikami z pudełka wydobyła dziwaczne plastikowe płytki.

– Co to jest? – zdziwiła się.

Stasia nie wiedziała. Dziewczynki z zainteresowaniem obejrzały kawałki plastiku z kwadratowymi i owalnymi okienkami. W okienkach wyraźnie odcinały się czerwone pasczki. Pochłonięte nowym znaleziskiem zupełnie zapomniały o planie farbowania złamanego tłuczka. Nie zwróciły też uwagi na zgniecione w kulkę ulotki.

– To chyba jakiś termometr – stwierdziła po chwili Kasia. – Widziałam kiedyś coś takiego w reklamie. Przykłada się go do czoła.

– Ale dlaczego mama nie trzyma tego termometru w pudełku z lekarstwami?

– Może jest zepsuty, jak ta farba. I odłożyła do wyrzucenia.

– Uhm.

– To termometr dla maluszków, które boją się takiego zwykłego – oświadczyła z miną znawczyni Kasia, która miała młodszego braciszka nieznoszącego pomiaru temperatur. – Pewnie

był twój, gdy byłaś mała.

– Może. Ale dlaczego mama zamierza go wyrzucić? Wezmę sobie na pamiątkę – ucieszyła się Stasia.

– Może jest niebezpieczny? Zapytajmy w aptece!

Na widok „termometru” przyniesionego przez dwie dziewięcioletki farmaceutka o mało nie udławiła się jedzoną właśnie mandarynką. Na zadane poważnym tonem pytanie odpowiedziała, że owszem, jest to termometr, ale nie dla maluszków. Tylko dla dorosłych. Trzeba go odłożyć tam, gdzie go znalazły.

Stasia i Kasia wróciły do mieszkania przy ulicy Weissa (chowając termometr pod kurtką przed przenikliwym wzrokiem pani Michalskiej, która zaczepiła je na schodach) i w milczeniu pochyliły się nad kartonikiem po farbie do włosów.

– W dziwnym miejscu mama trzyma swój termometr – orzekła Stasia. – Myślisz, że wszystko z nią w porządku? Te kreski to jakiś wynik...

Kasia przełknęła głośno ślinę.

– To chyba niedobrze, że jest czerwony. Wiesz, czerwony zawsze oznacza niebezpieczeństwo. Czerwone światła przy pasach. Czerwony muchomor. Tata kiedyś powiedział do mamy, że czerwoni nic w tym kraju dobrego nie zrobili...

Stasia zadrżała i posłała koleżance trwożliwe spojrzenie. Kasia przytuliła ją mocno i oświadczyła, że są przyjaciółkami na dobre i złe. Jeśli mama Stasi nie pożyje wystarczająco długo, by Stasia zdążyła pójść do pracy, Kasia przyjmie koleżankę do swojego pokoju. W łóżku odda miejsce pod ścianą, a w szafie niższą półkę.

– Ale na pewno wszystko będzie dobrze! – dodała szybko.

Stasia też miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Przez cały weekend bacznie obserwowała matkę, szukając w niej oznak choroby, ale Marzena zachowywała się zupełnie normalnie. Była żwawa, wesoła, nawet podniecona. W poniedziałek Stasia doszła do wniosku, że z tym całym termometrem to jakaś ściema, jak czasami wyrażali się uczniowie ze starszych klas. Jest w porządku, pomyślała.

Ale nazajutrz – kiedy przyszła na śniadanie i zastała pobladłą, ledwie żywą matkę siedzącą za stołem i dyszącą do szklanki z wodą – zaczęła w to poważnie wątpić. Bez słowa sięgnęła po talerz z parówkami i zatonęła w myślach. Muszę zaopiekować się mamą, postanowiła. Pan Maciek mi pomoże, i pani Michalska też. Ciekawe, czy każą mi zamieszkać z panią Michalską? Jeśli tak, może odkryję, co to znaczy filować? I czy to nasze ostatnie wspólne święta? Przejęta Stasia nie zdołała nic przełknąć i pomaszerowała do szkoły z boleśnie zaciśniętym żołądkiem, z kolei Marzena powitała stukot zamykających się za nią drzwi jak prawdziwe błogosławieństwo i z ulgą zanurkowała pod kołdrę.

Mama Kwiatek

Kiedy Jakub Kwiatek był małym Kubusiem, nosił czerwone spodenki na szelkach i bawił się pistoletem zmajstrowanym z wierzbowej gałęzi, jego matka solennie przyrzekła, że zawsze będzie najbliższą mu osobą i zrobi wszystko, aby wiodło mu się w życiu dobrze. Nie to, żeby go rozpieszczała i psuła, ale zawsze była u jego boku, gotowa nieść pomoc i interweniować, gdy coś nie toczyło się ustalonym (przez nią) torem. Wszystko, co w życiu robiła, robiła z myślą o swoim jedynym, ukochanym synku.

I tak pewnego słonecznego popołudnia poszczuła psem Krzysia Bednarza. Krzysiu był całkiem sympatycznym urwisem z burzą rudych włosów, ale odpowiadał za dziewięćdziesiąt procent wybitych szyb i roztrzaskanych nosów na terenie kalwaryjskiej gminy. Przyjaźń z takim łobuzem musiała rzutować na dobrą opinię, jaką w miasteczku cieszył się Kubuś, więc mama Kwiatek bez najmniejszych wyrzutów sumienia uchyliła furtkę... Spotkanie z Azorem Krzysiu przypłacił wielką dziurą na siedzeniu dżinsowych spodni i jeszcze większym laniem od ojca. Od tamtej pory unikał wizyt w domostwie Kwiatków.

Nie zawahała się także spuścić powietrza z tylnego koła roweru, gdy Jakub wybierał się z kolegami na wycieczkę na Lanckorońską Górę, i przestawić budzika, aby zaspał na zawody lekkoatletyczne i raz na zawsze wybił sobie z głowy karierę sportowca. Odejście jego pierwszej licealnej miłości także nie było dziełem przypadku. W rozmowie z dziewczyną mama Kwiatek wspomniała mimochodem o pewnym defekcie w budowie anatomicznej, nie tłumacząc, że chodzi o stryjecznego dziadka Zygmunta. Liceum to czas nauki, a nie spoglądania sobie głęboko w oczy i wspólnego wzdychania do księżycy, prawda?

Mama Kwiatek była zdania, że zrobiła, co mogła, by uchronić swojego jedynaka przed niebezpiecznymi pułapkami, jakie przez te lata zastawiało na niego życie. W pewnych kwestiach nie osiągnęła co prawda spektakularnych sukcesów, ale i tak uważała, że spisała się całkiem, całkiem. Czy to takie dziwne, że chciała być dla syna najważniejsza? I że poczuła się oszukana, gdy nad jej dobro syn przedłożył troskę o zupełnie obcą staruszkę? Która nie zrobiła nic poza wtrącaniem się w życie mieszkających w bloku lokatorów i pomogła pozbyć się kolekcji poradników, które tak namiętnie czytywała Monika?

Tak nie może być, pomyślała, gdy w sobotni wieczór wracała do domu. Muszę coś zrobić. Przecież to ja jestem matką Jakuba i teściową Moniki. To ze mną powinni spędzić święta!

Nazajutrz przed południem miała już przygotowany cały plan, w poniedziałek zaś zaczęła wcielać go w życie.

Annie Jurczyk zasugerowała, że pani Michalska nie radzi sobie z pracami porządkowymi. Oczywiście na płaszczu Anny nie dostrzegła żadnego zabrudzenia, ale przecież mogło się na nim znaleźć, czyż nie?

Wracając z pracy Marzenę uczuliła, że Stasia nie powinna biegać po podwórku, gdy zapadnie już zmrok. Co? Pani Michalska miała przypilnować? No, ale to zrozumiałe, że nie podołała, w tym wieku oczy już nie te, niestety.

Ze skrzynki pocztowej Zuzanny wręcz wysypywały się kolorowe karteczki reklamujące nowy punkt usługowy w mieście. Dotychczas pani Michalska broniła klatki przed roznosicielami ulotek, ale najwyraźniej zabrakło jej energii. Zdenerwowanej Zuzannie nawet nie przyszłoby na myśl, że mama Kwiatek zbierała te ulotki po kalwaryjskich blokach niemal dwie godziny, a następnie upychała w wąską szczelinę skrzynki pocztowej przy użyciu podkradzionego synowej pilniczka do paznokci.

Pani Malinowska została uczulona, że przechodząc obok jedyńki, powinna mocno

pociągnąć nosem i sprawdzić, czy nie ulatnia się gaz, bo „różnie już bywało”. Jej mąż został poproszony, by od czasu do czasu zabrał panią Michalską na cmentarz swoim polonezem, bo starsza pani co kilka kroków przystaje i sapie. To pewnie serce, powiadomiła Wacława przejęta mama Kwiatek.

Wszyscy mieszkańcy bloku przy ulicy Weissa zostali w większym bądź mniejszym stopniu uświadomieni, że pani Michalska potrzebuje pomocy. Wszyscy poza samą zainteresowaną oraz Moniką. Matka Jakuba unikała synowej, póki mogła, bo doskonale wiedziała, że ta natychmiast przejrzy jej zamiary.

Mama Kwiatek działała szybko. W poniedziałek szerzyła wiedzę, a na wtorek zwołała sąsiedzkie spotkanie. Zostało ono naprędce zorganizowane w blokowej suszarni. Zjawili się na nim niemal wszyscy mieszkańcy klatki poza dozorczynią, która w tym czasie poczłapała na roraty, i Moniką, umówioną na ten wieczór do dentysty (A to pech, zaćwierkała mama Kwiatek, robiąc zboląłą minę).

Inicjatorka bez zbędnych wstępów wyłuszczyła sprawę.

Pani Michalska jaka jest, każdy widzi.

To znaczy jaka? – chciał wiedzieć Wacław Malinowski.

Stara. Lub, żeby zachować poprawność polityczną, wiekowa.

Sił jej coraz częściej brakuje, wzrok zawodzi.

Próbuje nieboraczka utrzymać porządek, temu zaprzeczyć nie można. Ale jak długo jeszcze zdoła tak ciężko pracować dla dobra mieszkańców klatki? Pucować, szorować, froterować? Tym bardziej że i efekty coraz słabsze, niestety...

Nie dalej jak wczoraj razem z panią Anią (mama Kwiatek uśmiechnęła się słodko do zaskoczonej Anny Jurczyk) stwierdziły, że drzwi wejściowe do klatki są całe upačkane. Pani Ania nawet sobie płaszczyk pobrudziła. Nie sposób też nie zauważyć, że ostatnio pojawiły się paskudne ulotki (papierzyyyyska, warknęła mama Kwiatek z pasją, a Zuzanna gorąco jej przyklasnęła). Dzieci pod oknami biegają samopas, westchnęła matka Jakuba, a Marzena spuściła głowę, obiecując sobie, że poświęci Stasi więcej czasu i opieką nad dziewczynką nie będzie już obarczała sąsiadki. A najgorsze jest to, pokiwała smutno głową organizatorka zebrania, że pani Michalska za nic nie przyzna, że siły już nie te, że potrzebuje profesjonalnej opieki. Ani się mieszkańcy bloku obejrzą, a dojdzie do nieszczęścia! – zagrzmiała. Zawału, dopowiedział stropiony Malinowski, a jego żona dodała przejęta: albo wybuchu gazu!

Zadowolona mama Kwiatek podparła się pod boki i obserwowała dyskutujących sąsiadów. Wyglądali na szczerze przejętych i nie wątpiła, że zareagują zgodnie z jej oczekiwaniami. A przecież to jeszcze nie koniec planu... Zaczerpnęła mocno tchu i delikatnie odchrząknęła. Kiedy oczy zebranych utkwili w jej zatroskanej twarzy, szepnęła:

– Musimy być delikatni, aby nie urazić pani Michalskiej. Tyle dla nas zrobiła... Tutaj potrzeba osoby, która ją wyręczy w tych ciężkich, mozolnych pracach, odciąży i pozwoli odpocząć, gdy zabraknie sił. Osoby, która ją zastąpi. Wiem, że jesteście zapracowani, no i zabiegani w przedsięwziętym szale, dlatego chętnie się tego podejmę...

A potem ze skromnym uśmiechem przyjmowała wyrazy uznania.

Waldemar

Waldemar nie uczestniczył w zebraniu. To znaczy w zakurzonej suszarni przebywało jego ciało, zwabione nawoływaniem mamy Kwiatek, ale duchem uleciał gdzieś ponad przyprószone śniegiem dachy kalwaryjskich domów. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w stojącą po drugiej stronie pomieszczenia żonę i rozmyślał o tym, na co natrafił w szufladzie jej komody.

„Pozew rozwodowy” – dwa wydrukowane grubym tuszem słowa tańczyły Waldemarowi przed oczyma i sprawiały, że zalewała go gorycz. Nie spodziewał się tego po Annie! Kiedy pakował walizkę przed przyjazdem do Polski, obiecywał sobie, że wszystko wskoczy na właściwe tory, a oni uratują swoje małżeństwo. Zabierze Anię do Leicester i będzie ciężko pracował, żeby niczego im nie zabrakło (o tym, że pojęcie „niczego” oznacza zupełnie co innego dla niego i żony, jakoś nie pomyślał). Był nastawiony pokojowo, nie zamierzał robić jej wymówek i nawet tego chłopka w wymuskany szaliczku mógł przełknąć, choć z trudem. On, Waldemar, był pełen dobrej woli, a ona co? Pozew rozwodowy?

Po zakończonym spotkaniu wyszedł z suszarni, roztrzając nieuważnie sąsiadów, i pognął w kierunku wyjścia. Na zewnątrz zatrzymał się na kilka minut, zaczerpnął solidny haust zimnego powietrza i obrzucił nienawistnym spojrzeniem rosnące pod blokiem drzewko.

– Od ciebie wszystko się zaczęło! – syknął do Bogu ducha winnej jodełki. A następnie wymierzył solidnego kopniaka w jej pień, boleśnie uderzając się w duży palec. Podskakując na jednej nodze i klnąc pod nosem, ruszył między budynki i dalej do miasta.

Obok śmietnika Waldemara minął młody mężczyzna w czarnym płaszczu. Na widok podskakującego obrócił się, przystanął niezdecydowany i zrobił minę, jakby chciał o coś zapytać. Jurczyk nastroszył się i syknął:

– I na co się gapisz, gamoniu? Poskakać se już nie można?

– Można – zgodził się ugodowo mężczyzna i ruszył w swoją stronę, a Waldemar przestał skakać i ostrożnie stawiając obolałą stopę, pokuśtykał dalej. Po paru krokach uświadomił sobie, że właśnie zwyzywał od gamoni miejscowego wikarego. Stropił się nieco, ale po chwili wzruszył ramionami. Cóż to za różnica? Ksiądz, lekarz czy pijaczek spod sklepu: każdy powinien pilnować własnego nosa. Jeśli on, Waldemar, ma ochotę poskakać sobie na jednej nodze, licząc przy tym do tysiąca po chińsku – jego sprawa. Nie potrzebuje współczucia!

Ból powoli ustępował, od czasu do czasu przypominając o sobie tępy pulsowaniem. Waldemar piął się wąską uliczką w kierunku urzędu miasta, posapując przy tym jak lokomotywa i co parę kroków wyrzucając z siebie przekleństwo. Na wysokości „okrągłaka”, jak miejscowi zwali charakterystyczny budynek w centrum Kalwarii, przeszedł przez ulicę i skierował się w stronę połyskującego w oddali zielonego kształtu. Sam nie wiedział, dokąd zmierza, ale nogi niosły go w kierunku wyłożonego kostką placu z nieczynną o tej porze roku niewielką fontanną i ustawionymi wokół niej ławeczkami. Nieco dalej majaczył kształt kościoła pod wezwaniem św. Józefa, gdzie właśnie kończyło się nabożeństwo. Waldemar zatrzymał się przy świątecznej ozdobie: dużej zielonej bombce.

W zeszłym roku była chyba ta sama. Dobrze, oszczędni są. Nie wydają pieniędzy podatników na duperełki i pierdółki! – pomyślał zadowolony.

Za sprawą dużego otworu bombka przypominała zieloną jaskinię. W jej wnętrzu ktoś pomysłowy – pewnie jakiś młodziak, który trwoni pieniądze na papierosy i piwo, stwierdził Jurczyk – ustawił ławkę i teraz można było wygodnie posiedzieć. Waldemar nie miał pojęcia, że właśnie we wnętrzu tej bombki rok wcześniej Anna podejmowała pierwsze, w pełni dojrzałe decyzje związane z małżeństwem i swoim życiem, bo gdyby wiedział, z pewnością nie

skończyłoby się na jednym opuchniętym palcu. Stwierdził natomiast, że to dobre miejsce, by posiedzieć w samotności i podumać, ale zanim zdążył zanurkować w bombkowej jaskini, dostrzegł charakterystyczną postać. Nie wiedzieć dlaczego gardło ścisnęło mu wzruszenie.

– Wróciłem – wychrypiał do nadchodzącej kobiety.

– Widzę – mruknęła w odpowiedzi pani Michalska. – Niektórych insektów trudno się pozbyć.

– Hę? – Jurczyk zamrugał powiekami. Co ona plecie, do cholery? Insekty? Znaczą robaki? Spojrzał w kierunku, z którego nadeszła. Z kościoła wyłaniali się zgromadzeni na roratach wierni. A, pewnie mają problem z kornikami w ławkach. Słyszał, że nie tak łatwo je zwalczyć. Podobno potrafiły zamienić w pył najtwardsze drewno! Ale nawet on, specjalista od stolarki bądź co bądź, nie mógł udzielić porady, na którą liczyła. Poza tym miał własne problemy!

– Nie znam się na insektach – mruknął.

– Na pewno? – Uniosła brwi, aż zniknęły pod rondem moherowej czapeczki. Waldemar przypomniał sobie, że widział kiedyś u Anny włóczkę w tym samym odcieniu. Miał nadzieję, że żona nie rozdawała swoich robótek na prawo i lewo. – Cóż... – Pani Michalska wsparła się o konstrukcję bombki. – Wróciłeś, mówisz? A kiedy wyjeżdżasz?

Waldemar posłał jej urażone spojrzenie.

– Kiedy załatwię swoje sprawy! – warknął. – Poza tym nie wyjeżdżam sam.

– Zabierasz swoje przerośnięte męskie ego? – prychnęła staruszka, ale Waldemar puścił to mimo uszu. Posiadał zadziwiającą zdolność słyszenia tylko tych rzeczy, które były dla niego wygodne.

– Anna pojedzie ze mną. Musimy tylko wyjaśnić sobie pewne sprawy!

– Na pewno? – Pani Michalska potrząsnęła głową i westchnęła. Bezceremonialnie odepchnęła Waldemara i z głośnym stęknięciem zanurkowała we wnętrzu bombki. Rozsiadła się na ławeczce jak angielska królowa i łaskawie skinęła na Jurczyka. Przycupnął na skrawku deski, który mu pozostawiła, i rzucił okiem na kopulasty... sufit? Czy ozdobne bombki miewają sufity?

– Ciekawe miejsce – mruknął.

– Prawda? – Rozpromieniła się. – Mam słabość do niego, odkąd... no, nieważne. Pewnego razu przydybałam tu dwóch gówniarzy popalających papierosy i kazałam im przytaszczyć ławkę. W zamian obiecałam, że nie powiem matce... Teraz jest lepiej. Nogi można rozprostować, jak się idzie z kościoła.

– Nie wiedziałem, że pani taka kościółkowa – wyraził swoje zdziwienie Waldemar.

– A ja nie wiedziałam, żeś ty taki ciekawski! Kościółkowa to jest sukienka! Ja jestem starą kobietą, która ma dość telewizji i polityków. W kościele nie oszczędzają na ogrzewaniu i ładnie śpiewają. Trochę pomruczę, trochę podrzemię w ławce i wieczór zleci. Lubię te lampiony po ciemku...

– A jak zdrowko? – zainteresował się Waldemar, któremu cięty język pani Michalskiej za cholerę nie pasował do obrazu słabowitej dozorczyńi odmalowanego przez mamę Kwiatek.

– Dziękuję, w normie. A jak twoje defekty?

– Defekty? – osłupiał.

– Po prostu podtrzymuję rozmowę. – Wzruszyła ramionami i z figlarnym błyskiem w oku poprawiła na ramieniu miękką szalik w kratę. – Wiesz, ludzie to mają różne kuku na muniu i nie ma się co wstydzić...

– Kuku na... – Wytrzeszczył na nią oczy. Ta rozmowa zupełnie nie przebiegała po jego myśli! Miał nadzieję, że wypyta staruszkę o Annę i tego od szaliczka. Przez wzgląd na dawną znajomość mogłaby mu co nieco szepnąć na temat tamtego. A ona mu tu sesję jakiegoś urzęda!

Nagle poczuł się jak w konfesjonale i głośno przełknął ślinę. – Nie mam żadnego kuku...

– Czyli tylko mi się wydawało – wyszczerzyła zęby, a kiedy zgromił ją wzrokiem, wskazała na jego stopy – że kulejesz.

Waldemar miał dosyć tej rozmowy. Zrobiło mu się nieznośnie gorąco i zaczął gramolić się z ławki. Dozorczyńni obserwowała go z widocznym rozbawieniem.

– Pójdę już. Ania na mnie czeka – rzucił tonem wyjaśnienia.

– Raczej nie. – Pani Michalska potrząsnęła głową z uśmiechem i sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Wyczyściła nos i posłała Jurczykowi twarde spojrzenie. – Cenię tradycyjny model rodziny...

– No właśnie, tradycyjny, mąż i żona! – Waldemar zamachał rękoma.

– ...ale uważam, że kobieta nie może tkwić w toksycznym związku tylko dlatego, że pewnego słonecznego dnia przyćmiła ją biel welonu i nieopatrznie powiedziała „tak”.

– Biel? Welonu? – Jurczyk pokręcił głową zdezorientowany. – Co to ma znaczyć?

– Nic ponad to, że każdy zasługuje na szczęście. Anna już je znalazła, choć może o tym jeszcze nie wie. Twoja kolej.

– Po moim trupie! – Mężczyzna poczuł, że gotuje się od środka. Spojrzał z nienawiścią na starszą panią. Matka Jakuba miała rację! Pani Michalska nie była już w pełni sił, a przynajmniej nie tych umysłowych! Stara wariatka! I co ona właściwie sugeruje? Że Anna układa sobie życie bez niego, Waldemara, a on powinien pójść jej śladem? Pozwolić odejść? – Ten pozew... – mruknął. Pani Michalska skinęła głową.

– To pierwszy krok. I jeśli mogę ci udzielić dobrej rady, nie rób jej żadnych problemów.

– Bo co? – zawołał wojowniczo.

– Bo w takim wypadku na światło dzienne mogłyby wyjść pewne brudy. I pewien sędzia po wnikliwej ocenie waszego związku mógłby uznać, że wina za rozpad małżeństwa leży wyłącznie po twojej stronie. A wtedy koszty...

– Koszty? – Waldemar pobladł.

– ...procesowe też zasądzono by tobie.

Mężczyzna zaklął, a pani Michalska ponownie oczyściła nos i ukryła chusteczkę w przepastnej kieszeni płaszcza.

– No więc przelicz to sobie, przemyśl znaczy... – Uśmiechnęła się i złożywszy dłonie na kolanach, przymknęła powieki. Jurczyk zrozumiał, że audyencja zakończona. Zaciśnął pięści, obrócił się na pięcie i pokuśtykał w stronę domu.

Kalina

Matka kłamała.

Kalina uwielbiała Boże Narodzenie.

W dodatku już od dziecka.

Jeśli nie angażowała się w wyklejanie szopki bożonarodzeniowej sreberkiem od czekolady i kolorowym bristollem, to tylko dlatego, że w procesie kształtowania genotypu pozbawiono ją jakiegokolwiek zmysłu artystycznego. Bez najmniejszych uprzedzeń przystroiłaby Dziewicę Maryję w seledynową sukienkę, a słodkiemu Jezuskowi włożyłaby czarną koszulkę. Czy należy się zatem dziwić, że nawet najlepsze koleżanki przepędzały ją od swoich szopek z paniką w oczach? Szopka to biznes, biznes to pieniądz i nie ma miejsca na sentymenty. Pozostały jej więc tylko pestki jabłek i nawlekane koraliki. A Lucynie przeświadczenie, że jej córka nie cierpi świąt!

A przecież najpiękniejsze wspomnienia Kaliny wiązały się z Gwiazdką!

O, chociażby ta lala ze złocistymi włosami, która mrużyła niebieskie oczy i beczała jak koza: mmmmaaa-mmmmaaa. Ileż się o nią uprosiła, ile kroków wydreptała wokół matki, żeby ją kupiła, a matka nie i nie, bo nie ma pieniędzy. Kiedy Kalina znalazła ją pod choinką, myślała, że trafiła do dziecięcego raju. Faktycznie, położyła tę lalę na świątecznie nakrytym stole i jej włosy zajęły się ogniem od zapalanej świecy Caritasu, ale łysą też dało się bawić. Szczególnie gdy owinęło się jej głowę płóciennym woreczkiem.

Pamiętała też swój pierwszy list do Świętego Mikołaja. Jak go wyślemy? – przejęta podpytywała ojca, który jej pomagał. Położymy list na parapecie i Mikołaj sam po niego przyjdzie, wyjaśnił. Codziennie rano podbiegała do kuchennego okna i sprawdzała, czy święty od prezentów zabrał już wiadomość, i codziennie przekonywała się, że nadal tam leży, przyciśnięta okrągłym kamieniem. W końcu zniecierpliwiona otworzyła okno i nieznacznie przesunęła ją bliżej krawędzi parapetu. Jakaż była jej radość, gdy nazajutrz parapet świecił pustkami. Co prawda święty nie spełnił wypisanych w liście życzeń, ale przecież odczytał wiadomość! A przynajmniej tak sądziła, dopóki nie natrafiła na jej szczątki przyklejone do odrapanej huštawki pod oknem...

A ta Gwiazdka, gdy Lucyna doszła do wniosku, że rodzinie Radeckich brakuje świątecznego klimatu, i kazała mężowi przebrać się w kostium świętego? Stwierdziła, że najnaturalniej wypadnie, jeśli zsunie się na balkon od sąsiada z góry i zapuka do okna. Na szczęście Kalinie w porę udało się zainterweniować, bo staruszek wybierał się już do najbliższej Castoramy po gruby sznurek! Późnym wieczorem, gdy razem z matką wyruszyły na pasterkę, ojciec włożył czerwony kubrak i białą brodę na gumce, a następnie wymknął się na balkon. Zamierzał zrobić im niespodziankę, ale zmogła go drzemka. Tymczasem po powrocie matka doszła do wniosku, że w mieszkaniu hula przeciąg. Dokładnie domknęła drzwi balkonowe, spuściła rolety i położyła się spać. Przekonana, że ojciec siedzi w toalecie, nawet go nie szukała. Na szczęście tej nocy nie było mrozu...

Tak piękne i barwne obrazy towarzyszyły Kalinie w przygotowywaniu świątecznego stroika. Na wspomnienie miny matki, gdy przy porannej kawie zobaczyła czerwoną twarz ojca przyklejoną do szyby balkonowego okna, nie potrafiła powstrzymać chichotu i z tego wszystkiego nie mogła trafić gałązką srebrnego świerka w styropianową kulę. Marek podniósł wzrok znad czytanej książki i zmarszczył brwi z lekkim uśmiechem.

– Co cię tak bawi, hrabianko?

– Wspominam sobie święta. Ty wiesz, że u nas nigdy nie były one normalne?

– Nie?

– Naprawdę! Jak nie pożar, to zaginiony ojciec albo... niedostarczony list. A teraz wszyscy się dziwią, że poszukuję wrażeń. Przecież takie dzieciństwo rzutuje na całe życie...

Marek chrząknął znacząco i ponownie zatonął w lekturze. Kalina westchnęła teatralnie i pokręciła głową. Wystarczyło, że King wydał nową książkę, a ona nie miała męża w domu! Ani do kogo ponarzekać, ani na kogo pomruczeć... bo i tak nie słyszy! I w ogóle co to za książka o guzikach! Podręcznik szycia czy ki pieron?

Nie zamierzała się z nim jednak kłócić. Było przecież tak miło. Basia zasnęła w swoim pokoju. Z legowiska w kącie dobiegało warkotliwe pochrapywanie Młynka. Z radia płynęły wesołe dźwięki jakiejś świątecznej piosenki, to chyba *Merry Christmas Everyone*, a świerkowe gałązki pachniały w ten szczególny sposób, który natychmiast przywodził na myśl las, skrzący się śnieg i kulig. Nawet jeśli kulig widziało się co najwyżej na obrazku w książce. Albo w ekranizacji *Potopu*.

Wetknęła kolejną gałązkę w stroik, dołożyła jemiolę i szyszkę na druciku, a potem sięgnęła po bombki. Właśnie rozważała, czy lepiej wyglądać będzie liliowa czy błękitna, kiedy Marek ponownie chrząknął. Kalina przewróciła oczami. Naprawdę się starała!

– No co? – warknęła uprzejmie.

– Jutro jedziesz po matkę.

– Chyba jedziemy?

– No właśnie, hrabianko, bo... ustaliliśmy z twoim ojcem, że lepiej będzie, jeśli pojedziesz sama.

Kalina spojrzała z niedowierzaniem na męża. Chyba się przesłyszała. Ostrożnie odłożyła na blat trzymane bombki. Marek zaczął nerwowo wiercić się na krześle, zamknął książkę, ponownie ją otworzył, zamknął i odłożył na pobliski parapet.

– Jesteście tchórzami. – Wycelowwała w niego gałązką świerkową. – Boicie się jej.

– Zwariowałaś? – prychnął Marek. – Dlaczego miałbym się bać twojej matki? Jestem jej ukochanym Mareczkiem. Gotuje dla mnie czerwony barszczyk i pierogi ruskie. O rosole już nawet nie wspominając. Kupiła mi kaptcie z nadrukiem „Ukochany synuś”!

– A dla mnie ze świńskim rykiem. – Radecka-Piórecka zgrzytnęła zębami. – A w ogóle to od kiedy ustalacie coś z ojcem za moimi plecami? Ja nie mam nic do gadania?

– Doszliśmy do wniosku, że tak powinno być. Wspólny czas dla matki i córki, by załagodzić napięcia ostatnich miesięcy. Nie mów, że tego nie potrzebujecie?

Kalina zawahała się na moment. Dobrze wiedziała, że mąż ma rację. Nie mogła jednak przyznać tego ot tak.

– Możliwe. Ale to nie zmienia faktu, że jesteście bezduszni. Jak ja sobie poradzę z Basieńką w podróży na koniec świata?

Marek wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po książkę. Z rozbrajającym uśmiechem odnalazł zaznaczoną stronę i pochylił się nad lekturą.

– To tylko trzydzieści kilometrów! Poza tym Basia zostanie ze mną i świetnie sobie poradzimy. To będzie czas dla ojca i córki.

– Nie chcesz się zamienić? – Kalina westchnęła żałośnie.

– Nie. – Pokręcił głową. – Powinnaś spędzić trochę czasu z matką. Nie spieszcie się, zjedzcie obiad, wypijcie dobrą kawę. Porozmawiajcie, wspomnijcie minione święta. – Kalina posłała mu pełne niedowierzania spojrzenie, więc szybko dodał: – Albo pomilczcie sobie.

– Mam się nie spieszyć? Patrz, ile zostało tu roboty! – Kobieta zdecydowała się sięgnąć po ostateczny argument w postaci rozbebeszonego stroika.

– Przecież i tak nie lubisz takich kiczowatych ozdóbek – zaśmiał się w odpowiedzi.

Kalina się skrzywiła.

Tu ją ma! Nagle nabrała ochoty, by wypróbować zdolność celowania szklanymi kulami w głowę własnego męża, ale zdołała ją poskromić. Może to i dobry pomysł, by spędzić trochę czasu tylko z matką i przypomnieć sobie te momenty, gdy ta jeszcze nie była zrzędliwą kwoką, która wszystko wie najlepiej? Zaraz, zaraz... Przecież ona zawsze taka była!

Kalina posłała Markowi spanikowane spojrzenie.

– Dlaczego nie chcesz pojechać ze mną? A jeśli coś się wydarzy?

– Co na przykład? – mruknął zdawkowo znad czytanej książki.

– Nie wiem. Napadną nas albo kogoś zamordują?

– Na obozie miłośników szydełkowania? – Spojrzał na nią z politowaniem. – Nie wygłupiaj się. Jedź po matkę i baw się dobrze.

Kajetan

Kajtek przemknął przez przedpokój, skradając się na palcach. Niezauważony minął wejście do kuchni, gdzie Zuzanna wypróbowywała właśnie nowy przepis na kruche ciasteczka, i odetchnąwszy z ulgą, zamknął za sobą drzwi łazienki. Sprawdził, czy na pewno są zabezpieczone zasuwką, i niezdarnie opadł na kolana przed muszlą klozetową.

Nie była to niezgrabna próba modlitwy ani atak grypy żołądkowej, która w ostatnim tygodniu przed świętami pustoszyła okoliczne placówki edukacyjne. Chwiejąc się na kolanach, Kajetan przetrząsał kieszenie jeansowych spodni i układał na plastikowej klapie sedesu wydobyte banknoty. Po lewej stronie ułożył starannie złożone setki, które ofiarował mu Michał, oraz dwa pięćsetzłotowe banknoty z banku. Po prawej wymiętoszone dziesiątki, dwudziestki i jedną naderwaną pięćdziesiątkę. Pośrodku wysypał garść bilonu ze zdecydowaną przewagą drobniaków. I zabrał się do liczenia.

Po piętnastu minutach, sześciu obliczeniach i co najmniej dziesięciu pomyłkach stropiony Kajtek podparł pięścią brodę i jęknął żałośnie.

Nie chciało być inaczej.

Przetrząsnął szafy, szuflady i kieszenie dawno nienoszonych ubrań. Wydobył na światło dzienne wszystkie skrzętnie chowane zaskórniaki. Nawet te, o których już sam zapomniał i były tak sfatygowane, że wyglądały jak przyprószone kurzem przydrożne krzaki. Zajrzał do stojącej na lodówce cukierniczki od zdekompletowanego serwisu, do której Zuza wrzucała monety, gdy zaczynały jej się wysypywać z portmonetki i plątać po idealnie uporządkowanej torebce. Sprzedał ubiegłoroczne butelki po piwie, znosząc pogardliwe spojrzenie ekspedientki i sarkanie stojącej w kolejce staruszki, która najwyraźniej uznała, że go suszy. Wyczerpał wszystkie możliwości znalezienia pieniędzy i zebrania wymaganej przez szefa kwoty.

Na klapie sedesu leżał zgrabniutki stosik papierków i monet. Cztery tysiące dwieście dwadzieścia sześć złotych i piętnaście groszy. Jedna groszówka była tak czarna, że być może zostanie wzięta za tabletkę na przeczyszczenie. Więc cztery tysiące dwieście dwadzieścia sześć złotych i czternaście groszy.

Być może ktoś inny na miejscu Kajetana machnąłby ręką na pogrożki Milewskiego, a obwarowaną szantażem posadę kazał wsadzić sobie w owłosiony tyłek. Ale takie załatwienie sprawy klóciło się z naturą Fijusa. Na samą myśl, że mógłby stracić pracę w takich okolicznościach, zostać posądzony o defraudację firmowych pieniędzy i znaleźć się na językach mieszkańców miasteczka, Kajtek dostawał dreszczy. Podobnie reagował na natrętny wewnętrzny głos, który podpowiadał mu, żeby jak najszybciej opowiedział o wszystkim Zuzannie. Żona na pewno pomogłaby mu uporać się z problemem, ale zwyczajnie wstydził się przyznać, że tak go podszedł fircyk z dziwacznie zaczesaną grzywką...

Nie, istniało tylko jedno rozwiązanie.

Musiał zdobyć pieniądze dla Milewskiego za wszelką cenę.

Ale jak?

Napad na bank? Firma pożyczkowa Grosik do Grosika? Sprzedaż zabytkowego zegarka po pradziadku ze strony matki, który według rodzinnej legendy był ze szczerego złota? Zegarek znaczy, nie pradziadek, bo ten to akurat składał się z krwi, kości i dużych ilości własnoręcznie pędzonego bimbru.

Nie, Kajetan nie zniżyłby się do tego poziomu.

Pozostało mu znaleźć dodatkową pracę i szybko zarobić brakującą kwotę.

Tylko jak?

Maciej

Stasia była jakaś inna.

Maciej obserwował ją na przerwie i widział wyraźnie, że jest przygaszona. Nigdy nie nazwałby jej wulkanem energii, ale odkąd zaprzyjaźniła się z przebojową Kasią, chętnie dawała się wciągać w klasowe zabawy i psoty. A tego dnia ponownie zaszyła się w kącie, podparła drobnymi plecami ścianę i bez ruchu wpatrywała się w okno. Mężczyzna podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, przez chwilę obserwował wirujące w powietrzu płatki śniegu, po czym westchnął. Musi coś zrobić, ale co?

Nie zauważył, kiedy u jego boku zmaterializował się Wojciech. Ksiądz najwyraźniej dopiero co wszedł do budynku, bo strzepywał z czarnego płaszcza i włosów warstewkę śniegu, parszkając przy tym jak opryskany wodą kot.

– Nad czym tak dumasz? – zagadnął przyjaciela.

Maciek pokręcił głową zrezygnowany.

– Martwię się o Stasię.

– Źle zareagowała na radosne wieści? – zaniepokoił się wikary.

– Jeszcze jej nie powiedzieliśmy – przyznał stropiony Maciej. – I szczerze mówiąc, to nie wydaje mi się, żeby to był dobry moment. Spójrz na nią. Wygląda na smutną, taką przygaszoną.

Ksiądz Wojciech zerknął we wskazanym kierunku i pokiwał głową.

– Rzeczywiście jest jakaś smętna – przyznał. – Macie sporo na głowie. Może poczuła się odrzucona? Nie mówię, że świadomie, ale...

– Na pewno nie! – obruszył się Maciej. Zaraz odetchnął głęboko i przyznał: – A może? Kto wie, co kotłuje się w takiej małej główce. Muszę coś wymyślić, zanim Marzena zauważy i zacznie sobie wyrzucać, że jest złą matką. Zrobiła się okropnie wrażliwa. Wczoraj przepłakała pół godziny tylko dlatego, że jakaś kobieta odmówiła córce w sklepie batonika. Bo biedne dziecko mogło poczuć się niekochane. Nie wspomnę już o tym, że pije herbatę we wszystkich filiżankach po kolei, żeby żadna nie poczuła się wykluczona...

– Ciężka sprawa – mruknął ksiądz Wojciech, daremnie walcząc z wesołością.

Maciej posłał mu pełne wyrzutu spojrzenie, mamrocząc pod nosem:

– Wiedziałem, że nie zrozumiesz. A mnie się szykuje nie tylko USG 4D, ale dodatkowo sesja u psychoterapeuty dla ciężarnych.

– Dasz radę – pocieszył go Wojtek pół żartem, pół serio. – A co do Stasi... może po prostu spędźcie z nią więcej czasu.

– Wielkie dzięki! Sam z pewnością bym na to nie wpadł.

– Do usług. – Wikary wyszczerzył zęby. – Ze swojej strony mogę zaoferować roraty.

– Uhm. Dziękuję – bąknął Maciej.

Na moment zapadła cisza. Wojciech zdjął przemoczony płaszczyk, starannie złożył go na pół i przewiesił w zgięciu łokcia. Maciek ze zmarszczonymi brwiami obserwował Stasię. Zauważył, że dziewczynka jest wyjątkowo blada. Potrzebowała radości, zdecydowanie! Nagle drgnął. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Wojtek zerknął na przyjaciela podejrzliwie.

– Mam! – wrzasnął tymczasowy wychowawca 3a, wzbudzając zainteresowanie najbliższych stojących uczniów. Pociągnął Wojciecha za rękaw sutanny i mocno nim potrząsnął. – Nadal organizujecie spotkania dla seniorów?

– Organizujemy – przyznał pełen złych przeczuć wikary.

– Moi wychowankowie zaśpiewają dla nich kolędy. Zrobimy koncert!

– To świetny pomysł, ale nie chciałbym obciążać dzieci... Wiesz, roraty, przygotowania

do komunii i jeszcze obowiązki domowe związane ze świętami – bronił się słabo Wojciech.

– Zapewniam, że będą zachwycone – obruszył się Maciej. – Przecież wszystkie dzieci lubią śpiewać, a kolędy to już w ogóle! Pomyśl o tych biednych staruszkach...

– No właśnie o nich też myślę...

– ...jak oni się ucieszą, gdy takie aniołki przyjdą zaśpiewać im radosne kolędy!

– Aniołki. – Ksiądz Wojciech uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie ciut, hmm, rogatą szopkę przygotowaną przez „aniołki” podesłane przez Macieja. I to rogatą bynajmniej nie z powodu ustawionych w niej zwierząt. Zachichotał cichutko. – I jeden archanioł. Bez aureoli. Za to w dresowych spodniach z trzema pasami. Masz całkowitą rację, będą zachwyceni. To zacznij planować, a ja wszystko jakoś zorganizuję. Na końcówkę stycznia? I kiedy przychodzi ta nowa wychowawczyni? – zapytał z nadzieją, że Maciej nie pojmie ukrytego sensu pytania.

– Jakiego stycznia?! Po co czekać? Z tego, co pamiętam, spotykacie się co środę...

– Ale środa jest dzisiaj! Nie musicie poćwiczyć albo coś?

– To nie Opole, przyjacielu! Poza tym już ci mówiłem, że dzieci śpiewają jak aniołki! – Zadowolony z siebie Maciej wsunął dłoń w kieszenie obszernych spodni i uśmiechnął się przyjaźnie do Stasi, która właśnie na niego spojrzała. – To co? O piętnastej? Może wypożyczymy jakieś instrumenty z kółka muzycznego?

Ksiądz Wojciech jęknął w duchu. A potem odmówił błyskawiczną modlitwę, prosząc szefa wszystkich szefów, by uczestników planowanego koncertu miał w swojej opiece.

Kalina

No to jadę! – Kalina westchnęła teatralnie.

Z samego rana ucałowała zaspaną jeszcze Basieńkę, uraczyła Marka tysiącem porad, łącznie z tą dotyczącą tego, w jaki sposób ma oddychać w towarzystwie ich córki, sprawdziła szczelność okien i drożność przewodu wentylacyjnego, a na koniec zaczerpnęła tchu, by podzielić się z mężem listą potencjalnych zagrożeń czyhających na dziecko w czterech ścianach przytulnego mieszkania. Nie zdążyła. Marek bezceremonialnie wypchnął ją do przedpokoju, zarzucił na ramiona płaszcz i wcisnął w garść kluczyki. Ledwie zdołała wciągnąć botki i sięgnąć po smycz, choć to ostatnie za bardzo nie przypadło mu do gustu.

– Po co ci pies? – dopytywał.

Kalina wzruszyła ramionami.

– Do towarzystwa.

Nie chciała mu tłumaczyć, że w czasie jazdy lubi sobie pogadać, a z psem na tylnym siedzeniu przynajmniej wygląda to w miarę normalnie. Ludzie się do nich uśmiechali, pozdrawiali machaniem i cmokali do Młynka. Kiedy jechała sama, pukali się w czoło albo kręcili kółka w okolicy skroni. Nawiedzeni jacyś.

Już w samochodzie uprzedziła lojalnie swojego kudłatego towarzysza, że prawdopodobnie będą musieli użyć siły, by zapakować matkę do samochodu i przywieźć do Krakowa. Poprzedniego wieczoru wysłała Lucynie SMS-a z potwierdzeniem swojego przyjazdu. Matka odpisała, że nigdzie się nie wybiera, bo filetuje, i nigdy nie czuła się lepiej. Kalina zapytała więc, czy matka nie może filetować we własnym mieszkaniu, na przykład świątecznego karpia. Jediną odpowiedzią, jaką otrzymała, była emotikona z wyprostowanym środkowym palcem.

– Nie miałam pojęcia, że matka zna zastosowanie środkowego palca – zwierzała się Młynkowi Kalina, wyjeżdżając spod kamienicy i włączając się w sznur wolno sunących samochodów. – Nie miałam pojęcia, że ma telefon z funkcją emotek! Coś czuję, że wyciągnięcie jej z tego grona szydełkowców nie będzie takie proste, tym bardziej że Marek zatrzymał Basię w domu. Tobie wystarczyłoby zamachać przed nosem parówką. Poradź mi, czym mam zamachać matce, by chociaż zbliżyła się do samochodu? O, już wiem. Skłamię, że pani Eliza przyjechała do nas na tydzień, bo stęskniła się za maleńką! To powinno podzielać niczym czerwona płachta na byka.

Jadąc, obmyślała, jak ma wyglądać jej spotkanie z obrażoną rodzicielką. Przyjedzie do pensjonatu, powie, że jest, i co? Hmm, Marek miał rację. Powinna spędzić z nią trochę czasu, zabrać do restauracji, kawiarni albo góralskiej karczmy. Tylko jak zabrać na obiad kogoś, kto natychmiast zmodyfikuje recepturę serwowanych dań, skrytykuje kolor obrusa i ułoży nowe menu? Trudno, trzeba zaryzykować.

Na wszelki wypadek poproszę o stolik w jakimś odosobnionym miejscu, a obsłudze lokalu ze znaczącym spojrzeniem szepnę, że matka wraca do domu po pobycie w pewnym ośrodku, pomyślała Kalina. To powinno tłumaczyć jej zachowanie i zapobiec wyrzuceniu nas za drzwi.

Zerknęła na karteczkę z adresem pensjonatu, w którym zakwaterowano uczestników obozu „Z szydełkiem przez życie”, i wprowadziła dane do nawigacji. Elektroniczny przewodnik zapowiedział, że na miejscu znajdą się za czterdzieści pięć minut, więc sięgnęła do pokrętła i ustawiła stację, w której właśnie puszczała świąteczną piosenkę. Miała nadzieję na przyjemną przejażdżkę i szybki powrót do miasta. Na wieczór zaplanowała przetrząsanie blogów

kulinarnych w poszukiwaniu łatwego przepisu na sałatkę śledziową, którą Marek tak uwielbiał.

Kalina obejrzała się na posapującego na tylnym siedzeniu Młynka, ale zaraz ponownie skupiła uwagę na drodze. Niebo zaciągnęło się szarymi, skłębionymi chmurami, z których spadały pojedyncze, grube płatki śniegu. Z odbiornika dobiegały pierwsze takty dobrze znanego przeboju i wystukując rytm na kierownicy, zaśpiewała razem z wokalistkami:

– A kto wie, czy za rogiem...

Kiedy zajechała na zatłoczony parking przed pensjonatem U Mariolki, szalała taka śnieżycą, że miała problem, by dostrzec maski innych samochodów i zaparkować bez ofiar w ludziach i pojazdach. Przez dłuższą chwilę manewrowała autem, aż w końcu udało się je wcisnąć między zabudowany ścianką z pustaków kontener na odpadki a imponującą terenówkę. Wysiadła, otworzyła Młynkowi tylne drzwi i zapięła mu smycz. A potem z ponurą miną wpatrzyła się w zasnuite ołowianymi chmurami niebo, pomstując na pogodę. Śnieg? W grudniu? Serio?

– Droga powrotna nie będzie wesoła – zawyrokowała. – Chyba lepiej zrezygnować z jakichkolwiek przystanków po drodze, a wizyty w restauracjach, kawiarniach i innych przybytkach gastronomicznej rozpusty odłożyć na inną okazję. Nie podoba mi się ta pogoda. Nie podoba mi się ta śnieżycą! – Zamilkła i zaraz dodała: – To znaczy bardzo mi się podoba. Uwielbiam śnieg, ale wtedy, gdy siedzę na parapecie wykuszowego okna w naszym mieszkaniu, z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach i z nową książką na kolanach. Mogę bez końca obserwować wirujące w powietrzu płatki. Ale gdy czeka mnie długa podróż do domu, do śniegu mam stosunek ambiwalentny.

Jeszcze raz zerknęła w niebo i wyciągnęła język, by złapać kilka śnieżynek. Nie udało się, a na dodatek potknęła się o wystający schodek i z trudem odzyskała równowagę. W tej samej chwili usłyszała rechotliwy śmiech. Kalina wyprostowała się dumnie i zgromiła stojącą przy drzwiach osobę nieprzyjaznym spojrzeniem. W szalejącej zamieci nie widziała, z kim ma do czynienia, ale z zarysu sylwetki potrafiła wywnioskować, że to mężczyzna. Z gardła Młynka dobyło się chrypliwe warczenie. Kalina na wszelki wypadek skróciła smycz. Zwierzęca lojalność nie zna granic. Słowa „konsekwencje” też nie zna.

Nie bez wysiłku dotarła do wejścia i szarpnęła za klamkę. Przybierający na sile wiatr próbował wyrwać jej drzwi z ręki i tylko wsparcie niesympatycznego osobnika uratowało Kalinę przed przestawieniem szczęki. Wymamrotała pod nosem „dziękuję”, którego pewnie i tak nie dosłyszał, a potem wkroczyła do przytulnego hallu. Poczula uderzenie rozgrzanego powietrza przesyconego zapachem czegoś owocowego. Pociągnęła nosem, równocześnie zrzucając z głowy kaptur i otrzepując warstewkę śniegu, która przylgnęła do okrycia. Sądząc po wilgoci dywanu, na którym się zatrzymała, metoda ta była w tym miejscu powszechna.

Kalina rozejrzała się naokoło z zaciekawieniem. Niemal natychmiast podbiegła do niej kobieta z burzą liliowych loczków na głowie. Uśmiechnęła się przyjaźnie, ale zaraz potem jej zaniepokojone spojrzenie utkwilo w otrzepującym grzbiet Młynku.

– Dzień dobry! – Mocno potrząsnęła dłonią Kaliny. – Być może nie zwróciła pani uwagi, ale na stronie internetowej zastrzegamy, że nie przyjmujemy zwierząt.

– To swego rodzaju dyskryminacja. – Radecka-Piórecka zmarszczyła brwi. – Ale proszę się nie martwić, nie zamierzam nocować w państwie pensjonacie. Przyjechałam po matkę.

– Och, rozumiem. – Kobieta uśmiechnęła się szeroko, wyraźnie uspokojona.

Kalina pomyślała, że nigdy nie zatrzymałaby się w pensjonacie, gdzie tak nieprzychylnym spojrzeniem patrzy się na zwierzęta, ale nie powiedziała tego głośno. Choć ją korciło. Zamiast tego zagaiła uprzejmie:

– Pani Mariolka?

– Nie, dlaczego? – Właścicielka liliowych loczków posłała jej zdumione spojrzenie.

– Bo pensjonat nazywa się U Mariolki. – Kalina wzruszyła ramionami.

– Ach, to... – Kobieta wyglądała na zmieszaną. Nie podała jednak swojego imienia ani nie wyjaśniła gościowi, skąd wziął się pomysł na nazwę pensjonatu. Kalina pomyślała, że bez trudu znalazłaby dla tego przybytku odpowiedniejsze określenie. Pod Liliowym Loczkiem. Pod Zlekceważonym Psem. Albo: Nie dla Psa Pensjonat. – Po kogo pani przyjechała? – Chrząknięcie rozmówczynie przywołało Kalinę do rzeczywistości. A tak się już rozkręcała...

Spojrzała w skrzące się pod liliową grzywką niebieskie oczy.

– Po Lucynę Radecką.

– Och! – Twarz kobiety gwałtownie pobladła, a Kalinę natychmiast tknęło jakieś złe przecucie. Przełknęła głośno ślinę i mocno zacisnęła dłoń na uchwycie Młynkowej smyczy. – Bardzo mi przykro. Pani Radecka...

– O co chodzi? Co zmalowała?

– Nie, ona...

– Co ona? – zawarczała Kalina.

Liliowe loczki zadrżały nieznacznie, a ich właścicielka cofnęła się o dwa kroki.

– Przykro mi to powiedzieć, ale chyba nie żyje.

Pani Michalska

Pani Michalska pochyliła się z głośnym stęknieniem i wsunęła na lewą stopę kozak na grubej podeszwie. Poruszyła palcami w bucie, a następnie to samo zrobiła z drugą nogą. Zatupała. Zadowolona sięgnęła po moherową czapeczkę w bordowym kolorze, którą wydziergała dla niej Anna Jurczyk, i zdecydowanym ruchem naciągnęła ją na uszy. Jak zawsze pokiwała głową nad zręcznymi palcami sąsiadki, która z kawałka włóczki potrafiła wyczarować takie cudeńko. Nie dość, że ładne, to jeszcze ciepłutkie! Przecież najwięcej ciepła ucieka przez głowę, choć niektórzy mają problem, by objąć to swoim małym rozumkiem. No, ale jak czapki nie nosili, to pewnie przemrozili. Ona tam wołała o zdrowie dbać. Po ubiegłorocznych świątach spędzonych na szpitalnym oddziale powiedziała: nigdy więcej!

Starsza pani naciągnęła płaszcz, opatuliła się miękkim, kraciastym szalikiem i zerknęła w lustro. No, była gotowa do drogi. Sięgnęła po pozostawioną na komódce sfatygowaną portmonetkę i torbę wiszącą na kołku.

Wyszła na klatkę schodową. Ręka z kluczami zamarła w pół drogi do górnego zamka. Pani Michalska odwróciła się w kierunku półpiętra i mocno pociągnęła nosem. Zmarszczyła brwi. Powolotku zbliżyła się do schodów i pochyliła nad błyszczącymi stopniami. Ponownie niuchnęła.

– Konwalia. Fuj. Komuś pocięło z torby! – burknęła pod nosem, okręcając się na pięcie.

Wolno pokonała kilka schodków dzielących ją od wyjścia, po drodze lustrując skrzynki pocztowe w poszukiwaniu znieawidzonych ulotek. Tak była pewna, że nie znajdzie ani jednej sztuki, że kiedy na kaloryferze dostrzegła cały równiutki stosik, z wrażenia o mało nie fiknęła koziółka. Zgarnęła plik karteczek do trzymanej w ręku torby i z niechęcią spojrzała na wycieraczkę. Ktoś przesunął ją pod drzwi, a przecież zawsze leżała pod schodami, czekając, aż wracający z miasta lokatorzy wytrą o nią zabrudzone obuwie! Zirytowana pani Michalska przesunęła wycieraczkę na właściwe miejsce i wyszła przed blok.

Padał śnieg.

Starsza pani sarknęła w duchu, widząc grube, puszyste płatki osiadające na zmrożonym chodniku. Jeśli opady nie tracą na sile, wszystko raz-dwa pokryje się białą pierzynką. Kiedy wróci z miasta, będzie musiała złapać za miotłę i oczyścić przejście przed klatką schodową, aby mieszkańcy nie nadeptali na schodach! Pani Michalska odetchnęła głęboko, ale uśmiechnęła się pod nosem. Choć nieraz narzekała na ciężką harówkę i sztorcowała lokatorów bloku przy ulicy Weissa, w rzeczywistości lubiła tę pracę i uczucie, że jest potrzebna. Stojąc w oknie i popijając ciepłą herbatę, cieszyła się, że Kajetan bez trudu dociera do samochodu w tych swoich eleganckich półbucikach, a Monika nie ma problemu z pchaniem wózka, którym wciąż od czasu do czasu zabierała Piotrusia na spacer.

Śnieżycą przybierała na sile. Pani Michalska zerknęła w kierunku wzniesionego na wzgórzu klasztoru i stwierdziła, że nic nie widzi. Pochyliła głowę do przodu i powoli podreptała do rynku. Ulice wyludniły się, a kiedy weszła do kawiarni Pysia, przekonała się, że jest jedyną klientką.

– Kawusia? – zagadnęła wesoło stojąca za kontuarem kobieta.

– Przyszłam zapytać o pierniczki. Czy na pewno będą gotowe?

– Na pewno. Do odbioru w wigilijny poranek.

– Ale na pewno na pewno?

– Na pewno na pewno. Na sto procent.

– No to dobrze. – Pani Michalska uspokoiła się, opadając na wyściełane krzesło przy

stoliku pod ścianą i rozsypując szalik. – To teraz mogę wypić kapuczino.

– Już podaję.

Po kilku minutach przed panią Michalską pojawiła się filiżanka z parującą aromatyczną zawartością. Na widok pu-szystej pianki staruszka oblizała się łakomie. Złapała malutką łyżeczkę i zamieszała gorący napój ostrożnie, by nie zburzyć smakowitego kożuszka. Kobieta, która obsłużyła panią Michalską, uśmiechnęła się rozczulona i w tej samej chwili przyszpiliło ją surowe spojrzenie.

– Ale dekorowane będą?

– Dekorowane.

– Bez chemii.

– Bez...

– E-składników?

– Eeee...

– Z miodem, jak Bóg przykazał?

– Oczy...

– I z glutenem?

Kobieta wytrzeszczyła oczy i tylko pokiwała energicznie głową. Uspokojona pani Michalska siorbnęła kawę, opróżniając za jednym podejściem pół filiżanki. Skinęła w kierunku lady na znak, że jej smakuje.

– Takiego zamówienia to ja jeszcze nie miałam – wtrąciła obserwująca ją kobieta. – A mogę zapytać, na co pani tyle pierniczków?

– Skoro musisz – prychnęła w odpowiedzi staruszka. – To niespodzianka dla mieszkańców bloku. Spotkanie mamy.

– Pod jodełką pewnie – domyśliła się tamta.

– Pod jodełką to się pół Kalwarii zejdzie. Ludzie wszystko papugują. Jakby jedna obkleiła dupsko brokatem, to druga też zaraz by się tarzała! – sarknęła dozorczyńni. – Ale jak chcą, to niech przychodzą. Jedność musi być. Ale pierniczków dla wszystkich nie starczy...

– No nie wiem – mruknęła wesoło kobieta, sięgając po opróżnioną filiżankę.

Pani Michalska naciągnęła na uszy bordową czapeczkę i zmierzyła ponurym wzrokiem zawieję za oknem.

– No, iść muszę. Pasuje jeszcze odśnieżyć...

Rażno podreptała w kierunku ulicy Weissa. Po drodze wstąpiła jeszcze na pocztę (ta też świeciła pustkami) i do apteki. Gdy minęła plac handlowy i weszła między pierwsze bloki, w powietrzu wirowały już tylko pojedyncze płatki. Pani Michalska rozejrzała się naokoło, rejestrując kolorowe światełka na balkonie mijanego budynku i samotnie biegającego kundelka, który za punkt honoru wziął sobie oznaczenie wszystkich parkujących pod blokiem samochodów.

Dobrze, że już tak nie wali tym śniegiem, pomyślała zadowolona. Przyjemniej odmiatać, gdy do oczu nie wciskają się lodowate płatki...

Wyminęła śmietnik i skręciła w kierunku bloku.

Cóż to?

Chodnik przed klatką odmieciony?

Przetarła oczy i niepewnie zbliżyła się do wejścia. Może pomyliła budynki?

Nie no, piątka jak byk, ulica Weissa też się zgadza. I firanka w kuchennym oknie też jest.

Co tu się wyprawia?

Jakby w odpowiedzi skrzypnęły uchylane drzwi. Zasapany Wacław Malinowski ustawił szufłę przy wejściu i grzecznie uchylił czapki.

– Tak nam śniegu nawiało, że nie do uwierzenia! – zawołał wesoło do dozorczyń.
– No kto by pomyślał. W grudniu śnieg pada! – mruknęła w odpowiedzi.
– I tak sobie pomyślałem, że kochaną sąsiadkę odciążę! – kontynuował, nie wyczuwając sarkazmu w jej głosie. – Trzeba się oszczędzać! Latka już nie te!

Pani Michalska popatrzyła na sąsiada jak na wariata. Głośnie posapywanie i purpurowe policzki Waława Malinowskiego wyraźnie podawały w wątpliwość jego zdolność niesienia pomocy umęczonym staruszkom. Mimo to kiwnęła łaskawie głową i grzecznie potupała nogami, by zrzucić z obuwia przyklejony śnieg.

– Prawda, jak to fajnie mieć pomoc? – piszczał uszczęśliwiony mężczyzna.

Pani Michalska przewróciła oczami i potwierdziła, że owszem. Naprawdę świetnie!

Rozpromieniony Waław przepuścił ją w drzwiach i odczekał, aż wdrapie się po schodkach, a kiedy zaczęła majstrować kluczami przy zamku, sam również powlókł się na górę, głośnie oddychając przez usta i ocierając rękawem kurtki spocone czoło. Pani Michalska zatrzymała się w progu. Zerknęła w kierunku schodów, na których zniknął sąsiad, i bezszelestnie zamknęła drzwi. Ze schowka pod schodami wydobyła miotłę z długim trzonkiem, naciągnęła mocniej bordową czapczkę i ruszyła na podwórko. Po drodze parę razy pociągnęła nosem. Zapach konwalii wciąż był mocno wyczuwalny, ale i na to znajdzie się sposób.

Anna

Anna Jurczyk nie przestawała myśleć o dziecku. Pragnienie bycia matką atakowało ją za każdym razem, kiedy na ulicy spotykała kobiety z wózkami wypełnionymi sepleniącym szczebiotem. Potrzebę zostania matką odczuwała najmocniej zaś w te dni, kiedy spotykała się z Moniką i Piotrusiem. Z zazdrością obserwowała, jak chłopczyk tuli się do maminego brzucha, i nie mogła pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że coś ją ominęło.

Straciłam rok – uświadomiła sobie ze smutkiem w środowy poranek. Tego dnia wzięła wolne. Przed południem miała pójść na cytologię, a resztę czasu planowała poświęcić na porządki przedświąteczne i drobne przyjemności. – Mam czterdziestkę na karku i pozew rozwodowy upchnięty pod kupką staników i majtek. Żadnych perspektyw na ciążę, a jedyne mdłości, jakie odczuwam, to te na widok dotychczasowego męża!

Wizytę u ginekologa miała zaplanowaną dopiero na dziesiątą trzydzieści, ale nie mogła znieść towarzystwa Waldemara, który ostentacyjnie rozsiadł się przy kuchennym stole, reperując lampki choinkowe. Zadziwiająco, że wygrzebał je z tylko sobie znanego zakamarka piwnicy właśnie wtedy, gdy ona wyjęła z torby z zakupami pudełko nowych światełek! Narzuciła płaszcz, poprawiła fryzurę i pociągnęła usta jasnobrązową szminką. Udawała, że nie zauważa gniewnych spojrzeń męża.

W przychodni zdrowia jak zwykle panował harmider, ale i tutaj dało się wyczuć świąteczny nastrój. Kolorowe światełka na stojącej w hallu sztucznej choince rzucały na posadzkę wesołe refleksy. Pacjenci krążyli między okienkiem rejestracji a gabinetami lekarskimi, przystając, by zamienić kilka słów oraz życzyć sobie wzajemnie wesołych świąt. Anna zdjęła okrycie i przewiesiła je przez oparcie krzesła. Rozsiadłszy się wygodnie, sięgnęła po miesięcznik o zdrowiu. Starła się rozluźnić i nie myśleć ani o umówionym badaniu, ani o mężczyźnie, który czekał na nią w domu. Niedbale przerzucała kolejne strony periodyku, czując narastającą irytację.

Strona piętnasta: uśmiechnięty, bezzębny bobas o spojrzeniu błękitnym jak Morze Karaibskie.

Strona dwudziesta pierwsza: reklama preparatu multiwitaminowego dla przyszłych mam.

Strona dwudziesta piąta: artykuł o doborze optymalnych wkładek laktacyjnych.

Strona trzydziesta szósta...

Zirytowana zamknęła gazetę i wcisnęła ją pod stos ulotek o prostacie.

Po wizycie przystanąła przed budynkiem przychodni, zastanawiając się, gdzie teraz pójść. Na powrót do domu nie miała najmniejszej ochoty. Właściwie to dlaczego nie miałyby umówić się z Felicjanem na szybką kawę? Akurat sięgała po komórkę, by napisać do niego wiadomość, kiedy kątem oka zarejestrowała nagły ruch. Ktoś ją obserwował, a kiedy zerknęła w jego kierunku, szybko ukrył się za załomem muru!

Anna gotowała się z wściekłości. Doskonale wiedziała, że tylko jedna osoba była zdolna do tego, by śledzić ją w drodze do przychodni. Z trudem pohamowała się przed dopadnięciem przycupniętego pod ścianą Waldemara i wytargania go za uszy! Jak on śmiał? Co sobie myślał? Że przyłapie ją in flagranti z kochankiem? Na kozetce u lekarza? Zacisnęła pięści. I zęby, aby spomiędzy nich nie wydobyły się żadne niecenzuralne słowa!

Nagle jej twarz rozjaśnił ledwie dostrzegalny cień uśmiechu.

Och, ona mu pokaże!

Zachciało mu się zabawy w kotka i myszkę?

Chce ją śledzić?

Niech śledzi! Ona już zadba, by miał o czym myśleć!

Udając, że nie zauważa niechcianego towarzystwa, wydobyła komórkę i wykonała udawane połączenie, informując udawanego rozmówcę, że przygotowuje się do wyjątkowego spotkania. Jeszcze nigdy spokojna i opanowana Anna Jurczyk nie trąkotała tak radośnie do telefonu. I nic jej nie obchodziło, że wchodzący do budynku przychodni ludzie zerkają na nią z zaciekawieniem i prawdopodobnie zgłaszają siedzącej za szybą rejestratorce potrzebę zadzwonienia po tych z kaftanem bezpieczeństwa...

Zadowolona z siebie Anna zakończyła rozmowę, niedbałym ruchem wrzuciła komórkę do torebki, poprawiła nakrycie głowy i wyszła na ulicę. Rażnym krokiem ruszyła w kierunku miasta. Na wysokości remizy strażackiej pochyliła się, by poprawić zamki przy kozakach i przy okazji sprawdzić, czy nadal ma „ogon”. Kuśtykający Waldemar (ciekawe, co on znowu zmajstrował? – zastanawiała się w duchu) schronił się za pnem lichego drzewka.

Anna zachichotała, nieznacznie przyspieszając. Minęła bibliotekę miejską, Zespół Szkół im. Komisji Edukacji Narodowej i fotografa, po czym zawahała się. Aby złapać oddech, nieznacznie odwróciła się za siebie. Spłoszony Waldemar zanurkował w bramę prowadzącą na teren szkoły i przycupnął pod rozłożystym krzakiem. Jego czerwona czapka wyraźnie odznaczała się na tle ośnieżonych zarośli.

Po chwili namysłu Anna skręciła w stronę dawnego kina i ruszyła w dół ulicy Mickiewicza. Przy budynku liceum upewniła się, że mąż wciąż ją śledzi (Waldemar usiłował skryć się za granatowym oplem, ale czerwona czapka groteskowo wystawała ponad bagażnik samochodu), i bez najmniejszych wyrzutów sumienia przyspieszyła. Zrobiła kilka kroków na ulicy Broniewskiego, a potem zatrzymała się przed witryną sklepu. Wyeksponowane biustonosze, kuse majteczki i zwiewne halki wabiły uroczymi koronkami.

Jeden rzut oka za siebie i już była w sklepie. Bez pośpiechu przechadzała się pomiędzy stojakami z bielizną, od czasu do czasu zerkając w kierunku wielkiego przeszklonego okna. Kiedy za szybą dostrzegła zaczerwienioną z wysiłku twarz Waldemara, podeszła do ekspedientki i wskazała kilka seksownych kompletów. Każdy z nich długo oglądała, podnosząc na wysokość oczu i demonstrując stojącemu za oknem mężczyźnie ich finezyjne wykończenie. Na koniec w nagrodę za sprawnie przeprowadzoną akcją kupiła sobie czerwoną haleczkę z błyszczącej, chłodnej satyny. Płacąc, starannie odliczała banknoty, by Waldemar mógł się przekonać, ile kosztowało to kuse cudeńko. Była pewna, że jej mąż lada moment dostanie jakiegoś ataku!

Ho, ho, ho! – zaśmiała się w duchu. Aniu, byłaś bardzo niegrzeczna!

Ruszyła w kierunku wyjścia, wspaniałomyślnie zatrzymując się przy stojaku z rajstopami, aby życzyć sprzedającej wesołych świąt i dać Waldemarowi czas na szybką ewakuację spod okna. Zastanawiała się, czy wrócić już do domu, czy lepiej odwiedzić Felicjana. Tak naprawdę miała wielką ochotę na spotkanie, ale nie chciała sceny z udziałem męża, którego z pewnością właśnie doprowadziła do ostateczności. Zgubię go, pomyślała i rozochociona ruszyła w kierunku miasta.

Szybko się przekonała, że pozostawienie w tyle kuśtykającego Waldemara nie jest takie proste! Najwyraźniej zaaranżowana rozmowa połączona z kupnem kusej haleczki obudziły w mężczyźnie nowe pokłady energii. Już nawet nie próbował się kryć ze swoją obecnością i Anna poczuła pierwsze ukłucie niepokoju. Nie chciała, by trafił za nią do firmy Felicjana i narobił jej wstydu przy współpracownikach! Przemknęła przez rynek i ruszyła w dół ulicy Krakowskiej, nerwowo oglądając się za siebie. Dystans pomiędzy Anną a Waldemarem wyraźnie się zmniejszył. Kobieta chciała podbiec kawałek i umknąć gdzieś w siateczce wąskich ulic między domami, ale kiedy jej stopa niebezpiecznie poślizgnęła się na łacie śniegu, zrezygnowała z tego zamiaru. Mężczyzna wykorzystał to chwilowe wahanie i niemal się z nią zrównał. Uszu Anny dobiegło jego posapywanie, sama też była już zmęczona i zła. Żałowała, że pokusiła się o ten

dziwaczny wyścig uliczkami Kalwarii. Ostatkiem sił skręciła w lewo i wdrapała się po niskich schodkach prowadzących do jakiegoś budynku. Nie rejestrowała, gdzie jest, myślała tylko o tym, że mąż depta jej po piętach. Wpadła do środka i szybko zamknęła za sobą drzwi.

Przez osłaniającą wejście firankę starała się dojrzeć, co dzieje się na zewnątrz.

– Czym mogę służyć? – usłyszała nagle za plecami.

– Hmm, wpadłam, bo... szukam czegoś dla męża! – mruknęła w odpowiedzi pierwsze, co przyszło jej na myśl.

– Tak? A czy ma pani jakieś konkretne oczekiwania? Kolorystyka? Kwiaty?

– Kwiaty? – prychnęła. – Nigdy nie lubił kwiatów! Wie pan, to wyrzucanie pieniędzy w błoto!

– Hmm...

– Właściwie to wystarczy, że rzuci pan okiem na jego twarz i sam zrozumie, co to za człowiek! – stwierdziła.

– No dobrze, czy zechce mi pani zatem pokazać fotografię?

– Fotografię? – zdumiała się. – Nie potrzebuje pan fotografii! Proszę tylko spojrzeć! – Przesunęła firankę, by mężczyzna mógł zerknąć na spacerującego nieopodal Waldemara. Jej rozmówca zmarszczył brwi.

– No, ale jak to? Przecież on żyje!

– Niestety – zgodziła się. Z ponurą miną zasunęła firankę, odwróciła się i zatoczyła wzrokiem po dość ciemnym pomieszczeniu. Stojące w jego centralnej części trumny połyskiwały leciutko. Na rozstawionych pod ścianami stelażach pyszniły się imponujące wiązanki sztucznych kwiatów. Anna poczuła, że wstrząsa nią niekontrolowany śmiech. Zakrywała usta dłonią w wełnianej rękawiczce, ale i tak spomiędzy warg dobywały się warkotliwe chichoty.

Mężczyzna wyglądał na wstrząśniętego. Anna ostrożnie wycofała się w kierunku drzwi i złapała za klamkę.

– To ja się jeszcze zastanowię... – mruknęła. Wybiegła na ulicę i nie oglądając się na zasapanego Waldemara ani na zdumionego właściciela zakładu pogrzebowego, pognęła przed siebie.

Kalina

W chwili, gdy Anna Jurczyk nieświadomie wybierała trumnę dla wciąż żyjącego męża, w oddalonym o kilkanaście kilometrów pensjonacie U Mariolki Kalina Radecka-Piórecka usiłowała zdecydować, kogo najpierw zamorduje: własną matkę czy właścicielkę turystycznego przybytku przyklejonego do zbocza Lanckorońskiej Góry.

Właściwie Lucynie Radeckiej należała się palma pierwszeństwa. Według Kaliny nikt przed jej matką nie wpadł na szatański plan, by powitać własne dziecko wiadomością, że wyzionęło się ducha. Na szczęście przekazująca smutną nowinę właścicielka pensjonatu była mało przekonująca. Kalina szybko stwierdziła, że coś tu śmierdzi, i nie chodziło tylko o przypaloną rybę! Przyparta do muru pani nie-Mariolka wyznała prawdę. Zgodziła się na tę farsę, by chronić swojego gościa. Pani Lucyna Radecka drżącym głosem opowiedziała obsłudze, że córka zadaje się z podejrzanym elementem i prawdopodobnie jest niezrównoważona psychicznie.

Konfrontacja z matką niewiele wyjaśniła. Lucyna Radecka wkroczyła do hallu z wojowniczo wysuniętym szydełkiem i zaciętą miną. Na pretensje Kaliny wzruszyła ramionami.

– Nie powiedziałam, że z podejrzanym elementem, tylko że ty jesteś z charakteru podejrzliwa. A tego drugiego się nie wypieram. Ktoś, kto nie lubi świąt, nie może być stabilny emocjonalnie!

– Lubię świąta! – warknęła w odpowiedzi Kalina. – Nie lubię świąt z tobą! Wiesz dlaczego?

Matka wydeła wargi i powiedziała, że wszystko jedno. Odkąd odkryła techniki relaksacyjne związane z szydełkowaniem, już jej to nie rusza. A Kalina niepotrzebnie przyjeżdżała. Ona świetnie się bawi i nie zamierza wracać do domu. A przynajmniej nie tego dnia.

– A Wigilia? – zdumiała się córka.

– No właśnie: Wigilia! Akurat dzisiaj mamy wigilię dla uczestników kursu i nie zamierzam z niej zrezygnować tylko dlatego, że przypomniałaś sobie o starej matce! – fuknęła Lucyna i zanim Radecka-Piórecka zdążyła zareagować, odwróciła się na pięcie i zniknęła w wyłożonym czerwonym chodnikiem korytarzu.

Szybka konsultacja z Markiem zaowocowała ustaleniami, że Kalina pozostanie U Mariolki tak długo, jak będzie trzeba, by sprowadzić amatorkę techniki filet do domu. Radecka-Piórecka klęła pod nosem na czym świat stoi. Dziwaczne wymysły matki rozdzieliły ją na długie godziny z własną córeczką! Obiecała sobie jednak zaraz po imprezie jeszcze raz spróbować przekonać Lucynę do wyjazdu. Udając, że nie zauważa poirytowanych spojrzeń właścicielki liliowych loczków, pociągnęła Młynka w kierunku kanapy w rogu i tam spędziła kolejne godziny, podczytując pisemko dla rolników, gapiąc się w okno, za którym śnieg padał bez opamiętania, i przeglądając tysiące zdjęć Basieńki, jakie magazynowała w galerii smartfona. Raz wyszła przed budynek, by Młynek mógł załatwić „psie sprawy”, a kiedy wróciła do przytulnego kącika, na stoliku obok kanapy czekał kubek z herbatą. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do krzątającej za recepcją kobiety, ale ta udawała, że jej nie widzi. Pijąc gorący napój małymi łydkami, Kalina wpatrywała się w migające na choince światełka i wmawiała sobie, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy jednak Lucyna Radecka ponownie stanęła przed córką, Kalina zrozumiała, że przekonywanie jej do wyjazdu nie ma najmniejszego sensu.

– O, Kaaaliiinkaaa! – wybełkotała radośnie matka, chwytając się na niewysokich obcasach.
– A szo ty tu robiszszsz?

– Niech to szlag! – Córka zerwała się z kanapy, by podtrzymać matkę, a właścicielka pensjonatu pospieszyła z pomocą. Radecka-Piórecka posłała jej pełne wyrzutu spojrzenie. – To ma być tradycyjna wigilia?

– Tradycyjną każdy przygotowuje w domu! – broniła się kobieta. – Poza tym miała być ryba. Tylko że rozpadła się na patelni. I przypaliła. I chyba dowieźli nam przesoloną chałkę, bo wszystkich okropnie suszyło i spijali kompot. Tak spijali, że zabrakło i wtedy ktoś wpadł na pomysł, by go rozcieńczyć.

– Chyba winem! – prychnęła Kalina.

Kompot czy wino, Lucyna w żadnym razie nie nadawała się do podróży powrotnej. Choć Kalinę przez moment korciło, by zapakować matkę do bagażnika, przykryć kocem i odstawić do Krakowa. Jej myśli najwyraźniej znalazły odzwierciedlenie w wyrazie twarzy, bo właścicielka pensjonatu szybko wskazała drogę do pokoju Radeckiej.

Ustalono, że Kalina zatrzyma się w pokoju matki. Wręczono jej pachnącą naftaliną kołdrę i małego jaśka. Dla Młynka zaproponowano budę w ogrodzie. To był ten moment, kiedy wydawało się, że zanim młoda kobieta ukatrupi swoją matkę, zdejmie liliowy skalp z głowy właścicielki ośrodka. Na szczęście zakończyło się na wymianie morderczych spojrzeń i obietnicy podwójnej stawki za pokój. Liliowe loczki zniknęły za drzwiami, Młynek zwinął się w kłębek na skraju zaadaptowanego na posłanie dywanu, a Lucyna zachrapała donośnie. Kalina nakryła głowę jaśkiem i mocno zacisnęła powieki.

Z samego rana wracamy do domu! – pomyślała, czując, jak otula ją sen. Nagle zatrzeszczała podłoga. Kalina uniosła się na łokciu i zerknęła w kierunku, z którego dobiegał hałas. Stojący przy drzwiach Młynek okręcił się radośnie wokół własnej osi, wskazując jednoznacznie, na co ma ochotę.

Zuzanna

Przeciwnik nie miał najmniejszych szans.

Zuzanna Fijus z satysfakcją pochyliła się nad wyszorowanym klozetem. Poruszyła głową, by spojrzeć pod nieco innym kątem, i wydało jej się, że zauważa niewielką smugę. Natarła na nią plastikową szczotką, ale w tej samej chwili zabrzączał dzwonek przy drzwiach. Zuza westchnęła teatralnie, odkładając szczotkę do stojaka i zdejmując grube gumowe rękawice. Kogo niesie? I dlaczego ten ktoś nie wie, że przed świętami w domu jest huk roboty? I zawraca głowę?

Na progu stała pani Michalska. Pociągała nosem, jakby miała katar.

– Czujesz konwalię? – warknęła do Zuzanny. Zuza potrząsnęła głową i pomyślała z żalem, że z panią Michalską już rzeczywiście niewesoło. Przecież każdy wie, że konwalie to w maju... Straciła poczucie czasu, biedaczka! – roztkliwiła się w duchu i natychmiast zapomniała o rozdrażnieniu związanym z przerwana pracą. Otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła staruszkę do środka.

Pani Michalska skwapliwie wkroczyła do przytulnego mieszkania Fijusów i... natychmiast skręciła do łazienki. Zdumiona Zuzanna podążyła za nią. Starsza pani pociągnęła nosem, a potem spojrzała na arsenal środków czystości rozłożonych wokół muszli sedesowej. Zuzanna policzyła je w duchu razem z nią. Dziewięć różnych butelek.

– Sprzątam – bąknęła niewyraźnie, schylając się po koszyk, w którym trzymała środki czystości, oczywiście równiutko ustawione, od najmniejszego do największego. Zaczęła upychać w nim detergenty.

– Widzę – przytaknęła dozorczyńni. – Ale po co?

– Jak to po co? – oburzyła się Zuzanna. – Przecież idą święta! Rodzina Kajetana przyjedzie na świąteczny obiad, a zaraz po Gwiazdce na pewno będzie wizyta duszpasterska i przyjdzie ksiądz z ministrantami i...

– I będą się przeglądać w twoim sedesie? – zakpiła starsza pani.

– No nie, ale... – Zuzanna niepewnie zerknęła na toaletę. Z tej perspektywy wyraźnie widziała smugę kamienia przy brzegu. Poczula, jak swędzą ją dłonie, i zmusiła się, by stanąć do sedesu plecami i zaprosić nieoczekiwane gościa do kuchni.

Na miejscu zaproponowała starszej pani kubek zielonej herbaty. Pani Michalska spojrzała na nią podejrziwie.

– A co to znowu za siki? Nie masz porządnej, czarnej herbaty?

– Mam, ale zielona herbata świetnie wpływa.

– Na co wpływa?

– Na ciało. I umysł.

– Moje ciało ma się bardzo dobrze! – huknęła pani Michalska. – Mam w sobie więcej krzepy i energii niż wszyscy mieszkańcy klatki razem wzięci. Malinowski sapie jak lokomotywa, a chce... och, nieważne! – Dozorczyńni niecierpliwie zamachała ręką. – Daj już tę herbatę, jakoś to ścierpię.

Zuzanna uśmiechnęła się zwycięsko i sięgnęła po naczynia. Chwilkę później postawiła przed panią Michalską ceramiczny kubek, sama również upiła malutki łyżeczek i przysiadła na kuchennym taborecie po drugiej stronie stołu. Staruszka z ponurą miną wpatrywała się w herbatę. Na powierzchni unosiły się brunatno-zielone strzępki liści.

– Wygląda jak trawa, która wyszła królikowi spod ogona – skwitowała. Złapała za łyżeczkę, niepewnie rozejrzała się naokoło, w końcu spojrzała pytająco na gospodynię. – Gdzie masz cukier?

Zuzanna uśmiechnęła się przepaszająco.

– Zieloną herbatę najlepiej pić niesłodzoną. Cukier szkodzi. Zapycha tętnice, a stąd już niedaleko do chorób serca. Albo alzheimera.

– Wsadź sobie w tyłek alzheimera i choroby serca! Dawaj cukier!

– Ale...

– Mam ochotę na łyżeczkę cukru, a zachowujesz się, jakbym poprosiła cię o działkę amfy. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Myślisz, że nie wiem, co to amfa? Oglądam seriale kryminalne!

Przy tak postawionej sprawie Zuzannie nie pozostało nic innego, jak sięgnąć do kuchennej szafki i podsunąć gościowi cukierniczkę. Uczyniła to jednak ze smutkiem, myśląc, że starsza pani sama sobie szkodzi. Cukier. Czarna herbata. Pewnie też podjada między posiłkami i kupuje zupy z mrożonki. Potrzebuje opieki, pomyślała rozczulona Zuza, siorbiąc herbatę i wypytując panią Michalską, czy wpadła wyłącznie w poszukiwaniu konwalii.

– Oczywiście, że nie! – warknęła staruszka, wypluwając w złożoną dłoń zmizerniałe listki zielonej herbaty. Rozejrzała się niepewnie po kuchni, więc Zuzanna szybko podsunęła jej spodeczek. Pani Michalska z namaszczeniem umieściła na nim przeżute strzępki i przeszła do sedna sprawy. – Chodzi o Wigilię.

– W tym roku wszystko pójdzie jak po maśle – zapewniła Zuza. – Będzie pięknie. Kupiłam ozdoby na jodelkę – pochwaliła się, zniżając głos do szeptu.

– Naprawdę?

– Nic wielkiego – zastrzegła szybko gospodyni i dodała z błyskiem w oku: – Takie tam sześć kompletów bombek.

– Świetnie! – Pani Michalska zrobiła dziwną minę i ponownie upiła herbaty. – A ja mam światełka z ubiegłego roku. Co prawda połatane i nie wygrywają kolędy, ale czy to ważne? – Zuzanna zapewniła, że nie, choć jej mina mówiła zupełnie coś innego. Zaraz też zaczęła się zastanawiać, czy zdąży skoczyć do miasta po światełka, które nie są połatane. Na placu targowym powinni jeszcze stać handlarze choinkami, stroikami i świetlistymi reniferami, które w zamysle miały być słodkie, a przypominały zmutowanego Bambi. – Ale chyba rozumiesz, że nie chodzi o ozdoby? – upewniła się starsza pani. – Chciałabym, żebyśmy spotkali się w sąsiedzkim gronie i okazali sobie życzliwość.

– Oczywiście! – skwapliwie potwierdziła Zuzanna, myśląc, jak uradowana będzie pani Michalska, gdy zobaczy przystrojone przez nią drzewko. I potem, kiedy już wręczą mieszkańcom bloku prezenty. Aj! Nagle uświadomiła sobie, że nadal nie wymyśliła podarunku dla dozorczyń, i zganiła się w duchu. To było do niej niepodobne. Przemyśli sprawę, gdy tylko pożegna panią Michalską!

– Może jakiś mały poczęstunek? Coś świątecznego... Na przykład kubek kompotu z suszonych owoców? – dumiała staruszka.

– Jasne. Zajmiemy się wszystkim – obiecała Zuza, mając na myśli siebie, Annę, Marzenę i Monikę. – Słyszałam, że w tym roku spędza pani święta z Kwiatkami? – zagadnęła jeszcze, odprowadzając starszą panią do drzwi.

– Tak, Monika i Jakub zaprosili mnie na wigilię – przyznała pani Michalska, dyskretnie odpluwając w zaciśnięty kułak resztki brunatnych liści herbacianych.

– To cudownie! – rozpromieniła się Zuzanna. – Ale gdyby zmieniła pani zdanie, zapraszamy do siebie. Jestem przekonana, że przyrządzam smaczniejsze pierogi! – zapewniła, puszczając porozumiewawczo oko. A kiedy zamknęła już za gościem drzwi, uśmiech znikł z jej ładnej twarzy. Zuzanna naciągnęła gumowe rękawice i wtargnęła do łazienki. Z mściwym wyrazem twarzy natarła szczotką i butelką detergentu na biedny sedes. Zupełnie zapomniała o

upominku dla dozorczyńi.

Maciej

Spleśniała marchewka na ulicy. Samochód zaparkowany przednimi kołami na chodniku tak, że nie można było obok niego swobodnie przejść. A na koniec jeszcze brak ulubionych rogalików. Każdy powód do płaczu był dobry, a czwartkowy spacer Marzeny i Macieja pretendował do tytułu porażki roku. Wsłuchując się w łkania ukochanej i niezdarnie próbując ją objąć bez ofiar w nosach, zębach i innych częściach ciała, mężczyzna zadawał sobie pytanie, co go właściwie podkusiło, by proponować Marzenie przechadzkę po mieście. Przecież widział, że kobieta nie jest w szczytowej formie. Po prostu chciał dobrze. Podobnie jak w przypadku Stasi. I przy dogadzaniu paniom Kamińskim poniósł sromotną klęskę. Podwójną.

Koncert zakończył się katastrofą. Na samą myśl Maciek skręcał się ze wstydu.

Uczniowie 3a zostali wprowadzeni do świetlicy, w której zgromadzili się kalwaryjscy seniorzy. Ustawiono ich pośrodku wypłowiełego parkietu i uformowano w niezgrabne czwórki. Z wyznaczonego miejsca dzieci bojaźliwie wpatrywały się w zdumionych staruszków, których oderwano od cotygodniowych pogawędek przy herbacie i ciasteczku oraz partyjek szachów i remika. Stojący pod ścianą Maciej udawał, że nie dostrzega powątpiewającej miny Wojciecha. Wikary zaszył się między swoimi podopiecznymi, oparł łokcie o przykryty kraciastym obrusem stół i nerwowo drapał się po głowie. Już się tak nie drap, pomyślał kąśliwie Maciek, bo na czarnym łupież najlepiej widać. Po czym szepnął do dzieci:

– No, zaczynajcie!

Część dzieciaków zerknęła na niego spłoszona, inne od razu huknęły *Wśród nocnej ciszy!*, i to z takim entuzjazmem, że siedząca w pierwszym rzędzie kobieta strąciła z nosa okulary. Zrobiło się trochę zamieszania, ponieważ dwaj starsi panowie rzucili się jej do stóp, by okazać swą rycerskość i pomóc odzyskać zgubę, zderzyli się jednak głowami i pacnęli na parkiet, złorzecząc sobie bynajmniej nie świątecznie. Nieco zaangażowania wymagało także doprowadzenie dwóch rycerzy do ich miejsc siedzących, gdyż jednemu posłuszeństwa odmówiło kolano, a drugi zarzekał się, że zgubił złotą papierośnicę. Papierośnicy nie odnaleziono, a po czasie mężczyzna przyznał, że zgubił ją jeszcze w czasach wojny. Starsza pani odzyskała jednak swe okulary, a tymczasem druga grupa dzieci wyrwała się z odrętwienia i zdecydowała się przyłączyć do śpiewu... rozpoczynając kolędę od nowa! Na odgłos śpiewanej na dwa głosy pastorałki ksiądz Wojciech złapał się za głowę, z kolei dumny z siebie i swoich wychowanków Maciej zaczął wymachiwać ramionami, jakby dyrygował orkiestrą symfoniczną. Seniorzy wybałuszyli oczy na ten niecodzienny występ, co poniektórzy podśmiewali się pod nosem, inni tręcali się łokciami z porozumiewawczymi uśmiezkami, ksiądz zaś zerwał się zza stołu, jak gdyby chciał coś powiedzieć. Nie zdążył, bo widząc jego zamiar, Maciek szybko uciszył swoich wychowanków i huknął.

– A teraz Stasia zaśpiewa nam kolędę *Bóg się rodzi*.

– Ja? – zdziwiła się dziewczynka.

– Tak, prosimy. – Pokiwał głową zadowolony, że zapewnia córce Marzeny tak niecodzienną rozrywkę.

– Prosimy – odezwały się pojedyncze głosy z widowni.

Wojtek opadł na krzesło z jękiem.

Stasia wzruszyła ramionami, wyszła przed szereg i swoim cieniutkim, cichutkim głosikiem odśpiewała wskazaną przez nauczyciela kolędę. Maciej był zachwycony. Normalnie, gdybym był wrażliwszy, to coś by mi z oka pociekło, zaśmiał się w duchu. Kiedy dziewczynka śpiewnym szeptem zakończyła kolędę, pokazał jej, by dołączyła do grupy.

Właściciel zaginionej papierošnicy spojrzal nieprzytomnie na swojego sąsiada i zawołał:

– To co? Jednak nie śpiewa?

W tej samej chwili Maciej zrozumiał, że starsi państwo mogą mieć problemy ze słuchem, w wyniku czego niekoniecznie dociera do nich to, co śpiewają dzieci. Posłał bezradne spojrzenie w kierunku wikarego, ale Wojciech wydawał się bawić w najlepsze. Maciej zadumał się i nagle go olśniło. Zamachał rękoma, by przyciągnąć uwagę zebranych, a następnie oświadczył:

– A teraz dzieci przygotowują dla was rysunki.

Zdezorientowani wychowankowie spoglądali po sobie, a widownia zafalowała. Bynajmniej nie powodowana zachwytem.

– Jakie rysunki? – dociekała podejrzliwie właścicielka okularów.

– Jakie chcecie. Świąteczne. Aniołki. Bombki. Choinki – wyjaśniał wuefista.

– My tu nie mamy kredek – wtrącił szybko Wojtek, podnosząc się z miejsca i dołączając do uczniów 3a. Odwrócił się w kierunku swoich podopiecznych i szeroko uśmiechnięty zaproponował: – Podziękujmy naszym gościom za ciekawie i hmmm, pięknie wykonane kolędy!

Po sali poniosły się pojedyncze oklaski, a spłoszone dzieciaki umykały ku drzwiom, ścigane przez gniewny okrzyk pozbawionego papierošnicy staruszka:

– A kiedy będzie ten koncert? Dlaczego nie śpiewają? Halo! Ja o coś pytam!

O tym jakże wyjątkowym wydarzeniu rozmyślał Maciek, spacerując z Marzeną po miasteczku. Kobieta lekko pociągała nosem, a on, cóż, najprościej powiedzieć, że bujał w obłokach i rozmyślał, co jeszcze może zrobić, by poprawić humor jej i Stasi. Bo z tego, że poniósł spektakularną porażkę, doskonale zdawał sobie sprawę. Właśnie rozważał, czy zaprosić dziewczyny na pizzę, kiedy Marzena przystanęła i mocno tupnęła nogą.

– No, oczywiście! – prychnęła.

– Oczywiście – zgodził się na wszelki wypadek, by uniknąć dalszych żali i szlochów. Kobieta nie wyglądała jednak na udobruchaną, wprost przeciwnie, poczerwieniała ze złości, a wilgoć gromadząca się w kącikach jej oczu precyzyjnie wskazywała, w jakim kierunku potoczy się to dalej. Maciej westchnął i mocniej ścisnął jej dłoń. – Ale co oczywiście? – zapytał łagodnie.

– Robisz to specjalnie!

– To znaczy co robię?

Marzena ponownie tupnęła nogą, boleśnie uderzając się palcami o wystającą płytkę chodnikową. Niepowstrzymywane łzy potoczyły się po policzkach, znacząc wilgotnymi śladami poczerwieniałą z zimna skórę.

– Trzeci raz przechodzimy w pobliżu domu twojej matki!

– Naprawdę? – Zdumiony Maciej rozejrzał się naokoło. Miejsce, w którym stali, od jego rodzinnego domu dzieliło co najmniej pięćset metrów.

– I za każdym razem bierzesz mnie pod ramię i kierujesz w sąsiednią uliczkę! – wyła Marzena.

– Nie! – sprzeciwił się Maciej, który niczego takiego nie pamiętał.

– Taaak! – wydusiła jego towarzyszka, zaszlochała, sięgając do kieszeni po chusteczkę i nieumiejętnie rozsmarowując to, co pociekło jej z nosa. Mężczyzna zamierzał zabrać Marzenie skrawek białej ligniny i przetrzeć twarz, ale wyrwała mu rękę z taką siłą, jakby na jej miejscu stało dwóch rosnących osiłków z bramki w Energy 2000. – Robisz to specjalnie, bo boisz się, że natrafimy na twoją matkę! Nie chcesz, żeby mnie poznała! – Kobieta chlipała w najlepsze.

Maciek stropił się. Jeśli nawet pociągnął Marzenę w boczną uliczkę i ominął rodzinny dom stojący przy końcu ulicy Armii Krajowej, zrobił to zupełnie nieświadomie, zamyślił się i... Teraz spojrzal na kobietę zdumiony.

– Chcesz poznać moją matkę? W po...

– Mam w nosie twoją matkę! – warknęła i nie czekając na niego, ruszyła w kierunku przychodni zdrowia.

Zrezygowany Maciej poszedł za nią, ganiąc się w duchu za to, że buja w obłokach i sam nie wie, co robi. Słowa Marzeny uświadomiły mu jednak ważną rzecz: za kilka dni Wigilia. Z kim ją spędzi? Z kobietą, którą kocha i z którą chce założyć rodzinę? Czy z tą, która go urodziła i wychowała? Obie były matkami. Jedna jego własną, druga miała zostać mamą jego dziecka. Dwa światy. Być może podświadomie pilnował, by się nie przeniknęły?

Przyspieszył kroku i delikatnie pogłaskał Marzenę po ramieniu. Na wysokości remizy strażackiej pozwoliła w końcu wziąć się za rękę, a kiedy mijali stadion Kalwarianki, przytuliła się do niego i przeprosiła, że jest zołą. Maciek nie dosłyszał jej słów, bo znowu pogrążył się w myślach, dokonując obliczeń, jak długo jeszcze będzie zmuszony balansować na huśtawce tych humorów.

Monika

Przed południem Monika i Piotruś ubrali świąteczne drzewko.

Tegoroczna choinka Kwiatków w niczym nie przypominała surowych ozdób rodem z drogich poradników, jakimi niegdyś raczyła się młoda matka. Nie była również podobna do chudego, wyliniałego badyła teściowej. Była natomiast gęsta, zielona i kolorowa. Podczas jednego z grudniowych spacerów Monika i jej synek zawędrowali na plac, gdzie obok skrzynek z owocami i warzywami handlarze rozłożyli drzewka i pasujące do nich ozdoby. Czego tam nie zobaczyli!

Sprzedawano gęste zielone drzewka w każdym możliwym rozmiarze, oferowano choinki białe jak śnieg, srebrzyste jak szron, a nawet drzewka kolorowe przyozdobione błyszczącymi bombkami i sznurem migających lampek. Taką choinkę wystarczyło podłączyć do prądu, by cieszyć się gwiazdkowym klimatem, a po zakończonych świątach starannie owinąć strechem i odstawić do zapomnianego kąta. Obok drzewek stały uformowane w rozmaite kształty lampki ledowe: renifery, bałwanki i gwiazdy betlejemskie. Rzucone do kartonowego pudełka światełka choinkowe błyskały wszystkimi kolorami tęczy (w tym roku modne nie były już światełka wygrywające kolędę, które rok wcześniej zakupiła pani Michalska, ale srebrzyste i błękitne, wręcz surowe w swym pięknie żaróweczki ledowe), odbijając się figlarnie od poukładanych w sąsiednim kartonie bombek. A wszystko to otoczone niemożliwymi do zliczenia stroikami: na świąteczny stół, na cmentarz, z czerwoną poinsecją, z białą poinsecją, ze sztuczną poinsecją, z wąską świeczką, z grubą świeczką i bez świeczek również.

Monika podeszła z Piotrusiem do pudełka z bombkami i pozwalala mu wskazywać paluszkami te ozdoby, które najbardziej mu się spodobały. Kupiła pięć tuzinów i uśmieła się do łez, gdy synek zabawnie wykrzywił buzię do szklanych kul w kartonie. Zakupy uświetnił sznur kolorowych światełek i puszysty, błyszczący łańcuch. Wieczorem Jakub dostarczył choinkę i Monika z radosnym podnieceniem oczekiwała dnia, gdy w końcu udekorują drzewko.

Teraz z dumą wpatrywała się w połyskującą choinkę i drepczącego wokół niej chłopca. Piotruś wskazywał pulchnym paluszkami kolorowe ozdoby i próbował je nazywać. Ku zmartwieniu mamy nie był skory do rozmów i tak naprawdę znał tylko kilka podstawowych słów. Monika zamierzała odwiedzić z nim logopedę, ale mama Kwiatek natychmiast ją wyśmiała. To chłopiec, a chłopcy z reguły później mówią. Jakub również nie był rozmowny, co zresztą zostało mu do dziś. A ona osobiście знаła dziecko, które do trzeciego roku życia nie wypowiedziało ani jednego słowa, a gdy poszło do przedszkola, trajkotało jak katarynka. Czy Monika naprawdę musi tak wymyślać? Za dużo ksiązek, doprawdy, i potem takie głupie myśli człowieka nachodzą!

Od tamtej pory Monika nie poruszała tematu mowy Piotrusia w rozmowach z teściową, ale pomimo słów babci chłopca nadal odczuwała niepokój. Postanowiła, że po Nowym Roku umówi się na wizytę do specjalisty. Choćby po to, by usłyszeć, że jej synek rozwija się prawidłowo.

Wspomnienie matki Jakuba uświadomiło Monice, że ta ostatnio coś się nie pojawia. Owszem, nie dalej jak wczoraj widziała teściową podchodzącą pod blok i skręcającą ku wejściu do klatki, ale najwyraźniej w ostatniej chwili zmieniła zdanie, bo do mieszkania Kwiatków nie dotarła. Monika nawet się ucieszyła, bo właśnie z mizernym skutkiem wypróbowała przepis na kruche ciasto i nie miała ochoty na docinki kobiety. Również opiekunka Piotrusia podzieliła się z młodą matką niepokojącymi obserwacjami. Kiedy wracała z chłopcem z przedpołudniowego spaceru, jego babcia stała przed blokiem, ale na ich widok spłoszyła się i

czmychnęła za stojący nieopodal samochód. Dziwne, przyznała Monika, w której zakiełkowało złe przeczucie. Dopytywała, co teściowa robiła przed blokiem, ale niania zauważyła tylko długi drążek, jakby od miotły lub mopa. Może odlatuje, zażartowała dziewczyna, która nieraz była ofiarą zaczepek mamy Kwiatek i miała do niej dość jednoznaczny stosunek.

Monika otrząsnęła się z zamyślenia w samą porę, by zauważyć, że zachwycony Piotruś usiłuje skonsumować koniec błyszczącego łańcucha. Natychmiast porwała chłopca z podłogi, zabrała mu nietrafiony przysmak i sięgnęła po bluzę. Przepis na kruche ciasto był niewypałem, ale na szczęście w bloku mieszkała prawdziwa specjalistka od wypieków wszelakiej maści, która na pewno wspomże ją sprawdzoną recepturą!

W mieszkaniu Fijusów natknęła się na Marzenę. Kamińska nie wyglądała najlepiej: jej skóra przybrała niezdrowy odcień, a pod oczami pojawiły się wyraźne sińce. Przepraszała sąsiadki, że nie angażuje się w przygotowanie świątecznego spotkania dla sąsiadów, ale czyniła to jakoś bez przekonania, zasłaniając się ważnymi sprawami rodzinnymi i uparcie wbijając wzrok w czubki własnych butów. Monika zaniepokoiła się stanem Marzeny i zaczęła rozważać, czy ma on jakiś związek z Maciejem, ale w tej samej chwili Zuzanna zapytała ją o powód wizyty. Monika zarumieniła się lekko.

– Pomyślałam, że masz dobry przepis na kruche ciasto – powiedziała.

– Oczywiście, że mam! – przyznała Zuza, obrzucając koleżankę podejrzliwym spojrzeniem. – Ale od kiedy ty pieczesz? Przypominam, że na imieniny podałaś nam paskudne ciasto z supermarketu!

– Zuza! – syknęła zgorziona Marzena.

Zuzanna zrobiła zdziwioną minę.

– No co! Przecież było paskudne!

Marzena parsknęła śmiechem i szybko zawołała:

– Nie słuchaj jej! Wcale nie było paskudne! Ja bardzo lubię orzechowca!

Monika czuła, że jej policzki pokrywają się purpurą. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Pieczenie nie jest moją mocną stroną, ale z dobrym przepisem może coś sklecę.

– No może... – Mina Zuzanny wyrażała sceptycyzm, więc Monika postanowiła zagrać na współczuciu przyjaciółki.

– Nie bądź taka! Teściowa zaplanowała już całe wigilijne menu i wspaniałomyślnie pozwoliła mi przygotować ciasto. Miałam odmówić tylko dlatego, że nie potrafię piec? Przecież też chcę postawić na stole coś swojego! Nawet jeśli będzie to przypalona tarta!

Zuzanna skinęła głową.

– No dobra, ale jeśli faktycznie wyjdzie przypalona, to nikomu nie powiesz, że to mój przepis! – zastrzegła jeszcze.

Marzena pokręciła głową z niedowierzaniem, ale Monika uroczyście uderzyła dłonią na wysokość piersi.

– Masz moje słowo!

– Czyli wojenka między żoną a matką nadal trwa? Wydawało mi się, że już w ubiegłym roku wyjaśniłyście sobie wszelkie nieporozumienia – zdziwiła się Marzena. Obydwie z Zuzanną zaśmiały się, widząc minę młodej pani Kwiatek. Monika wyglądała, jakby przez przypadek przygryzła robaczywe jabłko.

– Ta wojenka, jak ją nazywasz, najwyraźniej nigdy się nie skończy – prychnęła.

– E, chyba przesadzasz! Twoja teściowa się zmieniła...

– Tak? – zaciętrzewiła się młoda matka. – To ciekawe, dlaczego wszystko musi robić po swojemu!

– Według mnie takie rzeczy można załatwić poprzez szczerą rozmowę – stwierdziła Marzena, która wciąż miała w pamięci nauki pani Michalskiej, ale równocześnie nie potrafiła ich zastosować w sytuacji, w jakiej sama się znalazła.

Monika puściła mimo uszu uwagę o zmianie, jaka miała się rzekomo dokonać w mamie Kawiatek, i obrzuciła przyjaciółkę pobłażliwym spojrzeniem.

– Nie zrozumiesz, dopóki oko w oko nie stanie z tobą matka zdecydowana rywalizować o uczucia ukochanego synka! A kiedy już stanie, ja ci tę rozmowę przypomnę! – zapowiedziała. – Bo to trzeba przeżyć! Prawda, Zuza? – Szturchnęła gospodynię łokciem, szukając poparcia.

Ta zamrugła oczami.

– Godzina w stu osiemdziesięciu stopniach przy włączonym termoobiegu – wymamrotała nieprzytomnie.

Przyjaciółki spojrzały na nią zdumione.

– Co?!

Zuza wzruszyła ramionami. Od kilku minut nie śledziła ich przekomarzań, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej pozbyć się koleżanek. Rozmowa na temat kruchego ciasta uświadomiła jej, że nie posprzątała w szafce, w której przechowywała kuchenne akcesoria do wypieków. Keksówek nie używała od kilku miesięcy. A jeśli się zakurzyły?

Złapała leżący na stole notesik i pospieszenie nakreśliła w nim kilka zdań, po czym wyrwała karteluszek i wcisnęła go Monice. Uśmiechała się przy tym promiennie.

– To naprawdę łatwy przepis! – wyjaśniła, wstając i wskazując sąsiadkom drogę do wyjścia. Zaskoczone kobiety pozwoliły odprowadzić się do drzwi, a kiedy te się za nimi zamknęły, przez moment stały nieruchomo, wsłuchując się w rumor wyrzucanych na podłogę blach, brytfanek, keksówek i tortownic.

– Chciałam jeszcze zapytać o foremkę do tarty – uświadomiła sobie Monika, przyciskając do ramienia zaspanego Piotrusia.

Marzena potrząsnęła głową i uśmiechnęła się blado.

– Nie radzę – mruknęła pod nosem.

Waldemar

Waldemar od rana snuł się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie nic do roboty. Przez chwilę oglądał telewizję, ale nogi zaczęły mu jakoś dziwnie skakać i zrezygnował. Potem przygotował sobie słabiutką herbatę i przetrząsnął złożony na parapecie stosik gazet w poszukiwaniu jakiegoś dziennika, ale najwyraźniej Anna kupowała wyłącznie kolorowe badziewia, którym się wydawało, że mogą dyktować milionom Polek, w co mają się ubierać, co jeść i jakie meble kupować do salonu! Strata pieniędzy, zdenerwował się Waldemar, nerwowo rozrzucając ułożone pisemka. W końcu wypił swoją herbatę na stojąco przy oknie, wpatrując się z krzywą miną w kołysany słabymi podmuchami wiatru wierzchołek jodełki.

Następnie podszedł do zlewu, aby oplukać szklankę, jednak zawahał się z dłonią na kurku. Po południu wypije jeszcze jedną, więc właściwie to szkoda wody. Odstawił naczynie na blat, splótł dłonie na plecach i ruszył na kolejny obchód mieszkania.

Za starych, dobrych czasów zawsze znajdował sobie coś do roboty. A to trzeba było zreperować lampkę nocną, a to skleić kubek, który spadł ze stolika i rozbił się w drobny mak. Dla Waldemara nie istniało pojęcie „do wyrzucenia”, ponieważ świetnie wiedział, że to, co zostanie wyniesione do kontenera na odpadki, trzeba będzie zastąpić nowym przedmiotem, wymagającym wydania ciężko zarobionych pieniędzy. Anna najwyraźniej hołdowała innej zasadzie, ponieważ poza jednym mizernym sznurem lampek, upchniętym w najciemniejszym kącie piwnicy, nie znalazł nic, czym mógłby zająć nerwowo drżące dłonie. Zreperowane lampki ostentacyjnie spoczywały obok nowych światełek przyniesionych przez jego żonę, kłując w oczy zwojem poszarzałych ze starości kabli i wypukłością niezgodnych z aktualnymi trendami jajowatych żarówek. Waldemar nie mógł na nie patrzeć. Zarzucił kurtkę, naciągnął na czoło czapkę i opuścił mieszkanie.

Przed blokiem natknął się na matkę Jakuba Kwiatka. Kobieta stała na chodniku na szeroko rozstawionych nogach, podierała się pod boki i ciężko sapiąc, wpatrywała się w rozkołysane drzewko. Na widok Waldemara przyjaźnie kiwnęła głową.

– Zastanawiam się, po co zasadzono tutaj to paskudne drzewko?

– Hmm? – Waldemar stanął za mamą Kwiatek i ponad jej ramieniem spojrzał na jodełkę. Nie pałał do niej sympatią, to fakt, szczególnie że to właśnie z powodu tej nieszczęsnej choinki Anna sprzeciwiła mu się po raz pierwszy. Ale nazwać ją paskudną? Choć gdy zmrużył nieco jedno oko i spojrzał na drzewko znad ramienia mamy Kwiatek, rzeczywiście prezentowało się ono lichy i nieładnie. – Nie wiem – przyznał w końcu.

– Powinno się ją wykopać – stwierdziła zadowolona z siebie kobieta. – Zajmuje zbyt duży kawałek trawnika i przyciąga kundla z całego miasta, które koniecznie muszą ją obsikać. Czuje pan? – Pociągnęła nosem.

– Nie. – Jurczyk pokręcił głową, ale pod wpływem przenikliwego spojrzenia matki Jakuba szybko dodał: – Mam katar.

– No, to wszystko tłumaczy – uspokojona mama Kwiatek ponownie skupiła uwagę na drzewku. Wskazała je palcem. – Teraz jest mała i... – Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, w końcu znalazła i rozpromieniona wypluła z siebie: – Cienka! Tak, cienka. Ale kilka lat i zacieni wszystkie okna z tej strony budynku! Nawet pańską kuchnię!

– E, tak wysoko to choinki chyba nie rosną. – Waldemar uśmiechnął się krzywo.

Mama Kwiatek posłała mu pełne politowania spojrzenie.

– A był pan kiedyś w lesie?

– Racja – przyznał strapiiony i natychmiast zachmurzył się na myśl o zacienionej kuchni.

Przecież wiadomo, że jak w kuchni zrobi się ciemno, to trzeba będzie świecić światło. Może nawet przez calutki dzień. A wtedy rachunki za elektryczność... Waldemar poczuł, że oblewa go pot. Zajęczał cichutko, zupełnie zapominając, że przecież i tak planował wyjechać wraz z Anną na Wyspy, więc problem mrocznej kuchni i horrendalnych rachunków za prąd wcale go nie dotyczył.

Tymczasem mama Kwiatek ponownie skupiła się na walorach estetycznych drzewka i teraz wymieniała jego niedoskonałości.

– Ani to gęste, ani specjalnie zielone! Od dołu obszarpane. Pień ma nie... nieregularny. A górne gałęzie obkidał jakiś ptak. Tfu, paskudztwo.

– Deszcz opłucze – mruknął Waldemar obojętnie. – A czy droga pani kojarzy, jak tam sprawa się ma z taryfami za elektryczność? Wprowadzili może jakieś ulgi?

– Hę? – Matka Jakuba spojrzała na niego jak na wariata. W tej samej chwili szcęknęła poruszana klamka. Przed blokiem pojawiła się okutana w płaszcz i ciepły szalik pani Michalska. Spod bordowej czapeczki na stojących spojrzały przenikliwe oczy.

– Dzień dobry! – huknęła. – Zebranie sąsiedzkie?

– Nie – zaprzeczyła mama Kwiatek ze słodziutkim uśmiechem.

– Właśnie, tak sobie pomyślałam, że to niemożliwe. Bo pani tu przecież nie mieszka – zauważyła dozorczyńni i przesunęła spojrzenie z drepczącej nerwowo kobiety na Waldemara. Jurczyk usiłował sobie przypomnieć, ile przed jego wyjazdem na Wyspy płacili za prąd, i dopiero po chwili spostrzegł, że stał się obiektem jej zainteresowania. Dygnął uprzejmie i wymamrotał powitanie. Pani Michalska skinęła głową.

– Rozmawiamy sobie o choince – wyjaśnił. – Bo pani Kwiatkowa mówi, że...

– To ja już chyba pójdę... – Mama Kwiatek zrobiła krok w kierunku wejścia do klatki schodowej, ale trzonek trzymanej przez dozorczyńnię miotły uderzył o chodnik tuż przed jej stopami. Przestraszona kobieta podskoczyła w miejscu.

Pani Michalska uśmiechnęła się uspokajająco.

– Moniki nie ma.

– Nie ma?

– Nie ma.

– To może... – Matka Jakuba usiłowała wyminąć dozorczyńnię, ale ta przesunęła się w bok, skutecznie broniąc wejścia do klatki.

– Piotrusia też nie ma.

– O, naprawdę?

Starsza pani przygryzła wargę, jakby zastanawiała się, co teraz zrobić. Zamachała przy tym materiałową torbą. Przenikliwe oczy pani Michalskiej zmrużyły się podejrzliwie. Nagle nachyliła się w kierunku kobiety i pociągnęła nosem. Waldemar osłupiał, a mama Kwiatek kwiknęła i odskoczyła do tyłu, przyciskając do piersi trzymaną siatkę.

– Ładne perfumy! – wychrypiała pani Michalska. – To konwalia?

– Nieee. – Matka Jakuba potrząsnęła głową. – Lilia.

Pani Michalska skrzywiła się, jakby zapach lilii był jej szczególnie niemiły, po czym wolno wycofała się w kierunku wejścia. Waldemar pomyślał, że jak na jeden dzień ma dość spacerów i pogawędek, szczególnie tak dziwacznych. Zdurniały te baby! Choinka, perfumy, może za chwilę wyciągną z kieszeni robótki i zaczną porównywać koronki, hafciki i inne duperszmelce? Machnął ręką i skręcił w kierunku bloku. Pani Michalska odsunęła miotłę, którą właśnie zgarniała z chodnika pojedyncze prószyny, i przepuściła go, ale kiedy mama Kwiatek ruszyła za nim, miotła z donośnym stuknięciem opadła tuż przed nią i przybrała postać osobliwego szlabanu. Starsza pani sapnęła niecierpliwie, ale na dozorczyńni nie zrobiło to

najmniejszego wrażenia. Uśmiechnęła się promiennie i zamachała szczotką.

– Szkoda, że wędrowała pani taki kawałek na daremno! – Pokręciła głową ze smutkiem. – A w ogóle to jak zdrówko? Planuje pani już tegoroczną wigilię? Będą pierogi? – dopytywała.

Waldemar odwrócił się w drzwiach w samą porę, by zobaczyć, jak twarz mamy Kwiatek przybiera barwę przejrzałego pomidora. Gwałtownie zamachała trzymaną w rękę torbą i już jej nie było! Przez krótką chwilę obserwowali oddalające się plecy kobiety, po czym pani Michalska uniosła rękę w geście pozdrowienia.

– Miłego dnia, pani Kwiatkova! – zawołała wesoło.

Waldemar wzruszył ramionami, wszedł do klatki i rozpoczął wspinaczkę po schodach. Na półpiętrze zerknął przez ramię i zamarł w bezruchu. Dozorczyńni zbliżyła twarz do wypucowanych na błysk szybek w drzwiach wejściowych i lustrowała je z groźnie zmarszczonymi brwiami, na koniec zaś... przysunęła zaczerwieniony od chłodu nos i kilkakrotnie niuchnęła! Tego dla Jurczyka było już za wiele! Potrząsnął głową na znak, że nie odpowiada za dziwactwa mieszkańców bloku przy ulicy Weissa, i szybko wrócił do mieszkania.

Kalina

Kalina poruszyła się i jęknęła. Po nocy spędzonej na twardej podłodze czuła każdą, nawet najmniejszą kosteczkę. Przytulony zadkiem do jej kolan Młynek głośno oddychał przez sen. Kobieta uniosła się na łokciach i spojrzała w oślepiające białą okno. Najwyraźniej sypało przez całą noc, bo na parapecie zebrała się gruba warstwa puszystego śniegu, a pojedyncze płatki przykleiły się do szyby i plastikowych futryn. Na myśl o powrocie do Krakowa przy takich warunkach drogowych Radecką-Piórecką dopadło zniechęcenie.

Marek i Basieńka na pewno już wstali, rozmyślała smętnie. Basia wypila mleko i dokazuje na macie w dużym pokoju. Ciekawe, czy za mną tęskni? Obudziła się rano i zobaczyła, że nie ma przy niej mamy – Kalina rozzaliła się na dobre. A wszystko przez moją własną matkę, która tak bardzo wczuła się w atmosferę Gwiazdki, że bydłatko ze stajenki pomyliła z Egri Bikavér!

Wspomnienie ekscesów Lucyny uświadomiło młodej kobiecie, że w pokoju panuje niepokojąca cisza. Żadnego posapywania, żadnego pochrapywania czy pogwizdywania przez nos. Żadnego bulgotu, furkotu czy mlaskania. Spanikowana Kalina zerwała się na równe nogi, bezceremonialnie budząc oburzonego psa. Co ta matka znowu zmalowała? Chyba nie udusiła się oparami przetrawionego alkoholu?

Łóżko pod ścianą było puste. Starannie zaścielone, z wygładzoną narzutą i kolorowymi poduszkami ułożonymi jak od linijki. Kalina zakłęła pod nosem. Lucyna zniknęła. Pozostało po niej tylko srebrzyste szydełko złowrogo wbite w kłębek krwistoczerwonego kordonka.

Po kilku minutach Kalina i Młynek wyruszyli na poszukiwanie zaginionej amatorki techniki filet. Przechodząc przez hall, Radecka-Piórecka rzuciła okiem za oszklone drzwi i dostrzegła luksusowy autokar odjeżdżający właśnie z parkingu przed pensjonatem. Tknęło ją złe przecucie.

Niepewnie rozejrzała się wokoło, a nie widząc w najbliższym otoczeniu nikogo, kto mógłby udzielić jej informacji na temat aktualnego położenia Lucyny, podeszła do kontuaru recepcji i delikatnie brzdęknęła dzwonkiem. Chwilę później u wylotu korytarza pojawiła się właścicielka. Na jej widok Kalina zmartwiała. Najwyraźniej miniona noc nie była dla liliowych loczków łaskawa!

– Szukam matki – wyjaśniła.

– Na dzisiaj zaplanowano wycieczkę do pobliskiej Kalwarii Zebrzydowskiej. Na zboczu góry Żar znajduje się klasztor ufundowany przez Mikołaja Zebrzydowskiego w... – wyrecytowała mechanicznie. Kalina ponownie brzdęknęła dzwonkiem, w wyniku czego kobieta gwałtownie zamrugnęła oczami i spojrzała na Radecką-Piórecką przytomniej. – Właśnie odjechali. Oczywiście tylko ci, którzy byli w stanie zwlec się z łóżka. – Westchnęła.

– A matka?

– Była rześka jak skowronek. – Właścicielka pokręciła głową. – Zostawiła dla pani wiadomość. Ma pani wracać do Krakowa i w ogóle się nią nie przejmować. Przecież i tak ma pani w nosie depresję własnej matki, która marzyła o pierwszych świętach spędzonych z ukochaną, wyczekaną wnusią.

Kalina wzniosła oczy do nieba.

– Ojcem nie musi się pani przejmować – dodała kobieta. – Na pewno w jakimś przytułku przyczepną go na noc wigilijną.

– Zabiję – mruknęła Kalina. – Kiedy wrócę z tej wycieczki?

– Powrót zaplanowano na późne godziny popołudniowe. Zje pani śniadanie?

– Ja... – Z wahaniem spojrzała na Młynka. – Może przejdę się po miasteczku i znajdę jakąś piekarnię?

– Chodźcie. – Kobieta skinęła na nich i wskazała wejście do jadalni. – Normalnie nie przyjmujemy zwierząt, ale po tej nocy chyba zmienię pensjonat w hotel dla psów. Żaden zwierzak nie zrobi większego bałaganu niż te bestie na dwóch nogach! – wycedziła i głos jej się załamał.

Kalina zacisnęła dłoń na smyczy i posłusznie ruszyła za liliowymi loczkami do jadalni. Nalała sobie do kubka kawy, usiadła za stołem i skubiąc kromkę chleba, obserwowała, jak właścicielka porządkuje pomieszczenie. Kobieta miała rację. W pokoju panował wprost niewyobrażalny rozgardiasz. Śnieżnobiałe obrusy znaczyły wyraziste ślady odcisniętych butelek i szklanek, między stolikiem pod ścianą a dorodną palmą na dywanie wykwitła purpurowa plama. Natomiast butelka, z której najwyraźniej wylało się wino, została wetknięta w donicę i nakryta miniaturową czapeczką Świętego Mikołaja. Obrazu dopełniała naderwana firanka smętnie zwisająca z jedynej ocalałej żabki. Kalina przyglądała się temu oszołomiona, bijąc się z myślami. Najchętniej zaraz po śniadaniu wróciłaby do Krakowa, do Marka i Basi, ale z drugiej strony nie chciała zostawiać matki bez nadzoru. Wiadomo to, jakie imprezki gotowi organizować uczestnicy kursu szydełkowania w wigilię Wigilii? Jeszcze Lucyna wyląduje na jakimś prowincjonalnym posterunku i będzie zmuszona wyglądać pierwszej gwiazdki zza przyrdzewiałych krat!

Na samą myśl Kalinę wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. Właścicielka pensjonatu posłała jej badawcze spojrzenie, więc młoda kobieta uśmiechnęła się uspokajająco.

– Skoro i tak muszę czekać na matkę, chyba przejdę się po miasteczku. Nigdy tu nie byłam, a wydaje się ładne.

Twarz sprzątajacej wyraźnie się rozjaśniła. Lekko kiwnęła głową w kierunku okna.

– Mamy piękny rynek. A ruiny zamku są naprawdę malownicze. Zwłaszcza teraz, w zimowej szacie – powiedziała z dumą w głosie.

Kalina cmoknęła na psa i skinęła na pożegnanie. Chwilę później zmierzała w kierunku zabytkowego rynku. Otulone bielą otoczenie było doprawdy bajkowe, ale trudno jej było to w pełni docenić, bo zaprzętały ją ponure myśli. Zastanawiała się, co powiedzieć matce, by ta zechciała wrócić z nią do domu.

Kajetan

Noc w mieszkaniu Fijusów nie przebiegła spokojnie.

Dług u Milewskiego seniora spędzał Kajetanowi sen z powiek. Nic więc dziwnego, że Fijus przewracał się z boku na bok, wzdychając żałośnie. A jakby tego było mało, kręcąc się na swoim skrawku wersalki, obudził Zuzannę i naraził się na jej gniewne fukanie. Zuza była oazą spokoju, która szeroki, życzliwy uśmiech potrafiła przywołać nawet podczas składania kondolencji, ale wybudzona z głębokiego snu zmieniała się we wściekłą harpię. Zerwała z nieszczęśliwego Kajtka całą kołdrę i lodowatym tonem poleciła mu pójść do kuchni. Niech zaparzy sobie jakichś ziółek na uspokojenie, a nie kręci się jak bąk! Jakich ziółek, zapytał smętnie Kajetan, niezdarnie obciążając rękawy piżamy. Byle jakich, jak dla niej może sobie nawet piołunu popić, tylko niech idzie wreszcie i pozwoli ludziom spać!

Strapiony Fijus przesiedział resztę nocy na twardym kuchennym taborecie, wtulając zziębnięte plecy w słabo grzejący kaloryfer i siorbiąc słabą herbatę. Nic więc dziwnego, że o poranku nie dopisywał mu humor. W końcu zniecierpliwiona żona wepchnęła mu do ręki torbę na zakupy i poleciła pójść do pobliskiego marketu po sprawunki. Niech się na coś przyda, a nie płacze pod nogami, wzdychając jak pokutująca dusza!

Rozzalonej Kajtek poczłapał do sklepu. Wrzucając do wózka kolejne artykuły spożywcze, uświadomił sobie, że Zuzanna nie dała mu pieniędzy. Będzie zmuszony pokryć rachunek z ciężko uciulaną gotówką dla Milewskiego! Oblewając się zimnym potem, szybko skierował wózek do kasy i wyładował wiktuały na ruchomą taśmę. Kiedy kasjerka podliczała sprawunki, w napięciu wpatrywał się w wyświetlacz kasy fiskalnej.

Trzydzieści sześć złotych i piętnaście groszy.

Kajtek kwiknął. Kobieta siedząca w boksie kasowym podejrzliwie zmarszczyła brwi.

Zapłacił, pozbierał siatki z zakupami i noga za nogą powlókł się w kierunku bloku na ulicy Weissa. Humor, który już wcześniej mu nie dopisywał, popsuł się doszczętnie. Na kupce odłożonej dla Milewskiego zostało już tylko cztery tysiące sto dziewięćdziesiąt złotych. Kajtek przeciął asfaltowy plac, na którym w każdą środę rozkładali się handlarze, mrużąc niezrozumiale pod nosem. Skąd, do cholery, weźmie pieniądze dla szefa?

Zmartwiony spojrział w zaciągnięte szarymi chmurami niebo i odmówił krótką modlitwę. „Pomóż mi, Boże. Całe życie uczciwie pracowałem i nigdy nie wziąłem cudzej złotówki. Nie mogę skończyć jako złodziej defraudator!” – wymamrotał.

W tej samej chwili jego rozbiegane spojrzenie zahaczyło o zaparkowaną nieopodal furgonetkę. Na jej boku ktoś wypisał wielkimi czarnymi kulfonami „Żywy karp”, a tuż poniżej przyczepiono kawałek sfatygowanej tekturki – „Zatrudnię pracownika”. Serce Kajtka zabiło ciut mocniej, ale brwi nieznacznie się zmarszczyły. Przystanął niezdecydowany i jakby z wahaniem zerknął w skłębione chmury. Cóż, normalnie nie rozważałby nawet zatrudnienia u handlarza ryb, ale obecną sytuację trudno było nazwać normalną, prawda? Poprosił Boga o pomoc, a ten zesłał mu odrapaną furgonetkę. Jeśli znajdzie w niej możliwość zarobienia dodatkowych pieniędzy, to...

Kajetan był zdesperowany.

Odbył rozmowę z właścicielem furgonetki i dowiedział się, że ten potrzebuje pomocy, bo etatowy pracownik w ostatniej chwili zostawił go na lodzie. Kajtek miał pracować w przeddzień Wigilii do wieczora i nazajutrz do południa – i dostać za to sto złotych do ręki. Na takie warunki Fijus w pierwszej chwili się obruszył i zamierzał zaprotestować, ale w końcu odpuścił. Czas naglił, innych widoków na zdobycie gotówki nie miał, a i Zuzannie lepiej zejść z oczu w tym

przedświątecznym szale.

Kiwnął głową i oświadczył, że się zgadza.

– Ale co ja tu będę robił? – zapytał tknięty nagłym niepokojem. – Chyba nie będę tym biednym rybkom... – Wykonał charakterystyczny gest w okolicy szyi.

– Nieee! – Właściciel się zaśmiał. – Tym zajmuję się osobiście. Ty masz nagoniać klientów i jeśli będzie ruch, łowić ryby w basenie.

Kajtek zerknął w kierunku wielkiej balii i głośno przełknął ślinę. Równocześnie wymacał w kieszeni woreczek, w którym nosił całą zebraną dla Milewskiego kwotę, i przypomniał sobie, że została ona uszczuplona przez sprawunki Zuzanny. Nie ma co grymasić, samo się nie zarobi, westchnął w duchu.

Odwrócił się w kierunku nowego szefa i zamarł.

Mężczyzna wyciągał w jego kierunku wielki pluszowy skafander.

– C-co to jest? – wykrztusił Fijus.

– Kostium – padła uprzejma odpowiedź. – W przebraniu karpia będziesz nagoniał amatorów rybek!

Kajtek poczuł, jak kręci mu się w głowie. Już, już zamierzał obrócić się na pięcie i odejść, kiedy ponownie wymacał woreczek. Pod wpływem jego dotyku banknoty cichutko zaszeleściły, zupełnie jakby się śmiały z tego, który tak pieczołowicie je gromadził. Kajetan westchnął i sięgnął po skafander.

Stasia i Marzena

Stasia ubierała choinkę, ale czynność, na którą czekała z takim utęsknieniem, nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Mechanicznie wieszła kolorowe kule, nie zważając, że na jednej gałązce tłoczy się pięć bombek, a druga jest goła jak święty turecki. Wodziła czujnym spojrzeniem za Marzeną, która posapując jak lokomotywa, szorowała parapety i polerowała okienne szyby. Uwadze dziewczynki nie uszło ani to, że od czasu do czasu matka nadyma policzki i galopem biegnie do łazienki, ani to, że zza jej drzwi dobiegają odgłosy gwałtownych wymiotów.

Nie jest dobrze, pomyślała przerażona, sięgając po złotą szyszkę. Zbliżyła się do choinki, by zawiesić ją na którejś z wyższych gałązek, i nieopatrznie wdepnęła wprost w pudło ze szklanymi ozdobami. Zmiażdżone bombki zachrzęściły pod stopami, ale zamyślona Stasia nie zwróciła na to uwagi. Podobnie jak Marzena, która właśnie wróciła do pokoju, ocierając wierzchem dłoni spierzchnięte wargi.

– Nie cierpię zapachu tego płynu – rzuciła tonem wyjaśnienia.

Stasia kiwnęła głową, głośno przetykając ślinę. Mama wyglądała okropnie. Była blada i rozczochrana. Jej czoło lśniło od potu, a pod oczami pojawiły się sine podkowy. Tak, Stasia była spostrzegawczym dzieckiem.

Marzena wróciła do okna i wdrapała się na niewysoki stół. Bez przekonania maziła białą szmatką po szklanej tafli, równocześnie obserwując w niej odbicie osowiałej Stasi. Ona wie, przemknęło jej nagle przez myśl. Wie i nie wygląda na zachwyconą! O Boziu, ale się porobiło! – myślała zgnębiona, fukając płynem na szybę.

W pokoju panowała przytłaczająca cisza przerywana odgłosem postukujących o siebie bombek i świstem przesuwanej po szybie szmatki, więc natarczywy terkot dzwonka panie Kamińskie powitały z westchnieniem ulgi. Marzena otarła dłonie o nogawki jeansów (trochę przyciasnych w ostatnim czasie) i poszła otworzyć. W progu stała pani Michalska.

– Przyszłam zobaczyć, jak się macie przed świętami – mruknęła pod nosem, zdejmując w przedpokoju kozaki i badawczo rozglądając się naokoło. – Mogę skorzystać z łazienki?

Marzena skinęła głową przyzwalająco, myśląc, że to dziwne przychodzić do kogoś i od razu tarabanić się do łazienki. Ale pani Michalska miała swoje lata, z pewnością pęcherz już nie ten. Choć po prawdzie to i Marzena miewała ze swoim problemy. Szczególnie ostatnio. Zerknęła podejrzliwie na drzwi, zza których dochodziły dziwne hałasy. Zupełnie jakby ktoś przetrząsał szafkę ze środkami czystości... Zaraz jednak potrząsnęła głową, by odgonić te absurdalne myśli, i zawołała do Stasi, by zrobiła sobie przerwę. Wstawi wodę na herbatę, czy pani Michalska też się napije?

– Byle nie zieloną – zaskrzeczało zza drzwi i zasapana sąsiadka wychynęła do przedpokoju.

Kobiety przysiadły przy kuchennym stole i bez słowa mieszały gorące napoje. Marzena z ulgą wyprostowała długie nogi i odpięła guzik przy jeansach. Pani Michalska wsypała do kubka trzy kopiaste łyżeczki cukru i spojrzała na młodą matkę badawczo.

– Kiedy jej powiesz?

Marzena wybałuszyła na nią oczy.

– Jak...? Skąd? – wybełkotała.

Pani Michalska uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Trudno nie zauważyć. No to kiedy?

Marzena skuliła się nad kubkiem herbaty i posłała staruszce nieszczęśliwe spojrzenie.

– Nie wiem.

– Nie możesz tego przed nią ukrywać! Przecież raz-dwa będzie wszystko widać jak na dłoni. A Stasia? Jest mądrą dziewczynką i na pewno szybko się domyśli!

– Już się domyśla. – Marzena westchnęła, siorbiąc gorący napój. – I nie wygląda na zachwyconą. Boję się!

– Głupia jesteś! – fuknęła pani Michalska, dosypując do kubka czwartą łyżeczkę cukru. – Przecież właśnie teraz potrzebujesz troski i wsparcia najbliższych!

– Wiem – przyznała niechętnie kobieta. Zamyśliła się i po chwili wymamrotała: – Jutro, powiem jej jutro.

– Dobra decyzja. – Pani Michalska skinęła głową. – Nie będzie łatwo, ale wszystko się ułoży. I ty na pewno poczujesz się lepiej, że nie musisz tego ukrywać!

– Ma pani rację – przyznała Marzena i nagle poczuła, że zrobiło się jej dziwnie lekko. Uśmiechnęła się do sąsiadki przyjaźnie. Starsza pani obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Zemdlilo mnie przy myciu okien. To przez ten płyn. Nie cierpię zapachu konwalii!

– Konwalii, mówisz? – Oczy pani Michalskiej zalśniły podejrzliwie. – Ja też jej nie cierpię! No cóż, będę się już zbierać, chciałam jeszcze do Kwiatków zajrzeć. A ciebie będę mieć na oku!

Marzena poczuła się nieswojo. Odniosła wrażenie, że słowa dozorczyńni były dziwnie dwuznaczne.

– Dobrze, dobrze.

– Masz się oszczędzać! Po jakiego grzyba myjesz okna w grudniu? – ciskała się sąsiadka.

– Tylko od środka – broniła się Kamińska. – Odbite paluchy i takie tam – mamrotała. Staruszka wzruszyła ramionami, sięgając po kozaki.

– Firanką zasłonisz i nie będzie widać. No, idę, do jutra!

Marzena zamknęła drzwi za sąsiadką i pokręciła głową z lekkim uśmiechem. Pani Michalska to doprawdy osobliwa kobieta. Surowa w obejściu, ale równocześnie serdeczna i ciepła w środku. Miała wielkie serce, choć nie bardzo chciała to pokazywać. Marzena weszła do dużego pokoju i spojrzała na przycupniętą przy choince Stasię. Dziewczynka wyglądała jak kupka nieszczęścia, klęczała przy pudełku ze zdeptanymi bombkami i pociągała nosem. Na ten widok kobieta pokręciła głową i przykucnęła przy córeczce. Objęła jej szczupłe ramiona i cmoknęła w czoło.

– Nie przejmuj się, kochanie – szepnęła. – Nasza choinka i tak jest przepiękna. Nie potrzebujemy więcej bombek. I wiesz co? To będą wyjątkowe święta! A jutro podzielę się z tobą ważną nowiną! – wyjawiała nie wiedzieć czemu.

– Jaką? – Stasia mocno pociągnęła nosem.

– Taką, która zmieni całe nasze życie. – Kobieta się uśmiechnęła. – Ale dzisiaj nic nie powiem. Muszę się przygotować. Wytrzymasz?

Dziewczynka kiwnęła głową, a Marzena uniosła się z klęczek z głośnym stęknieniem. Obrzuciła niechętnym spojrzeniem butelkę z konwaliowym płynem i szybko szarpnęła firanką, zasłaniając taflę okna zwojem białej materii. Pani Michalska ma rację. Po jakiego grzyba myć w grudniu okna? Przecież Jezus narodzi się tak czy siak, nawet jeśli na szkle pozostanie wyraźny odcisk czyjegoś kciuka.

Zebrała środki czystości i ruszyła w kierunku łazienki, myśląc, jak to dobrze, że w końcu wyjawi Stasi swoją małą tajemnicę! Nie wiedziała, że dziewczynka słyszała jej rozmowę z panią Michalską i zinterpretowała ją po swojemu.

Monika, Marzena, Anna i Zuzanna

W sobotnie popołudnie cztery przyjaciółki z ulicy Weissa umówiły się w mieszkaniu Kwiatków, by dokonać ostatecznych ustaleń dotyczących spotkania pod jodełką i spakować prezenty dla mieszkańców bloku. Na tę okazję Monika przygotowała szarlotkę na kruchym spodzie według przepisu Zuzanny. Jej skromnym zdaniem szarlotka wyglądała oszałamiająco. Może tak samo będzie smakować?

Piotruś siedział na dywanie i bawił się klockami. Monika włączyła lampki na choince i teraz na chłopca padała kolorowa poświata, nadając mu nierzeczywisty wygląd.

Pierwsza na spotkanie przybyła Marzena. Monika obrzuciła koleżankę szybkim spojrzeniem i stwierdziła w duchu, że kobieta nie wygląda najlepiej. Najwyraźniej te problemy rodzinne, którymi zasłaniała się Kamińska, były poważniejsze, niż można by przypuszczać. Do tego Marzena wyraźnie unikała jej wzroku i odzywała się półsłówkami. Monika zasłoniła się koniecznością przygotowania kawy i uciekła do kuchni, modląc się w duchu, by pozostałe kobiety przyszły jak najszybciej.

Jej modlitwy zostały wysłuchane, ponieważ ledwie złapała za rączkę czajnika, rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Do przedpokoju najpierw weszła delikatnie uśmiechnięta Anna, a zaraz za nią wtaranbiła się Zuzanna. Sąsiadka spod piątki dzierżyła stos pudeł, rulonów kolorowych papierów i wstążek, puzderek z brokatem, ozdobnych dziurkaczy i innych artykułów papierniczych. Na samym szczycie tej dziwacznej kupy chybotął się znany już kobietom piórnik. Monika pomyślała, że Zuzanna nad wyraz poważnie podchodzi do kwestii pakowania prezentów, i wyciągnęła rękę, aby jej pomóc.

– Dam sobie radę! – warknęło spomiędzy papieru w czerwone kokardki a dziurkacza z płatkami śniegu. Monika niepewnie zerknęła na Annę, a ta przewróciła zabawnie oczami. Gospodyni nie pozostało więc nic innego, jak nakierować Zuzannę na drzwi do dużego pokoju i wrócić do parzenia kawy.

Kiedy wniosła poczęstunek, Zuzanna rozkładała swoje skarby na stoliku kawowym, dlatego na tacę zabrakło już miejsca. Każda wzięła więc swój kubek w dłoń, a patera z szarlotką została umieszczona na kolanach Marzeny. Zuzanna starannie rozlokowała ozdoby, wyprostowała się, spoglądając na nie z góry, zmarszczyła brwi, przesunęła nieco szpulę czerwonej wstążki, by nie zasłaniała szafirowej, po czym zadowolona z siebie odsapnęła. Teraz jej uwagę przyciągnęło ciasto. Pochyliła się nad talerzem, wciągnęła w nozdrza zapach cynamonu i skinęła aprobuszując głową. Prostując się, zerknęła na Marzenę i zamarła.

– Jezu, co ci się stało?

W pokoju zapadła nienaturalna cisza. Jedyнным odgłosem było radosne gaworzenie Piotrusia, który właśnie przeskakiwał klockami po najniżej zawieszonych bombkach. Monika przełknęła głośno ślinę i spojrzała na Annę. Anna nerwowo zacisnęła dłoń na kubku i kątem oka zerknęła na Marzenę. A Marzena tak spurpurowiała na twarzy, że z powodzeniem mogła konkurować z najbardziej jaskrawą czerwoną wstążką kupioną przez Zuzę u „Chińczyka”. W końcu uśmiechnęła się jednym kącikiem ust i wymamrotała:

– Ostatnio nie czułam się najlepiej.

– Wybacz, ale to widać gołym okiem. – Zuzanna uniosła brwi.

Monika miała ochotę kopnąć ją w kostkę.

– Wszystko w porządku, ale nie chcę o tym mówić. To znaczy chcę, ale jeszcze nie mogę. Obiecuję, że jutro wszystko wam opowiem. Po spotkaniu pod jodełką, dobrze?

Skinęły głową na znak zgody. Zuzanna upiła łyk kawy, nie spuszczać wzroku z Marzeny.

Nagle uśmiechnęła się szeroko.

– Teraz przynajmniej wiemy, że nie udawałaś choroby przy ostatnich spotkaniach i naszej małej akcji prezentowej nie masz głęboko w...

– Zuza! – warknęła Monika.

– ...w nosie. No co? – Zuzanna posłała gospodyni zdumione spojrzenie.

– Pakujmy już te prezenty, dobrze?

– Oczywiście! – zaszczębiotała Zuzanna i w jednej chwili pozbyła się kubka z kawą i uniosła dwa rulony papieru. – Bierzmy się do pracy, drogie panie! Zrobiłam listę. Dla kobiet mamy papier w złote gwiazdki i szafirową wstążkę, a dla panów...

Monika przewróciła oczami i spojrzała znacząco na koleżanki. Ogarnięta szaleńczo pakowania upominków Zuza demonstrowała tymczasem nożyczki z karbowanym ostrzem i pieczętą z napisem „Ho, ho, ho, wesołych świąt!”. Chcąc nie chcąc pozostałe kobiety odstawiły gorące napoje oraz talerzyki z szarlotką i zsunęły się z wygodnych siedzisk na dywan. Zuzanna przybrała minę radosnego elfa i sięgnęła do worka po pierwszy prezent.

Monika

Po dwóch godzinach zadowolone mieszkanki bloku przy ulicy Weissa spojrzały na swoje dzieło. Wszystkie upominki zostały starannie zapakowane (Zuzanna pilnowała, żeby było naprawdę starannie), przewiązane wstążkami i opisane na kolorowych karteluszka. Następnie włożono je do wielkiego jutowego worka i ukryto w szafie w przedpokoju Fijusów. Gospodyni zamknęła szafę na klucz, klucz przewiesiła przez łańcuszek na szyi i ukryła pod bluzką. Oczywiście prezenty można było schować w szafie Moniki, ale Zuzanna nie chciała o tym słyszeć. Zamierzała mieć worek na oku, poza tym wnękowa szafa Kwiatków była nowoczesna, z przesuwными drzwiami. Jak w takiej cokolwiek ukryć? Podeprzeć drzwi kijem od mopa?

Po zapakowaniu worka do szafy kobiety wróciły do mieszkania Moniki, pomogły Zuzannie posprzątać resztki ozdobnych materiałów i rozsiadły się nad świeżą kawą i szarlotką. Raz-dwa ustaliły szczegóły spotkania pod jodełką.

Zuzanna zaproponowała, by pod drzewkiem postawić stół, a na nim skromny poczęstunek. Nic wielkiego! Każda przyniesie po jednym placku, do tego może trochę sałatki, kompot z suszonych owoców i gorące napoje w termosach. Odśpiewają kolędę, pogawędzą, pośmieją się (Zuzanna nie miała wątpliwości, że będzie im do śmiechu), a na koniec wręczą sąsiadom prezenty.

Czy wszystko ustalone? Zuzanna zawahała się. Miała wrażenie, że o czymś zapomniała, ale nie potrafiła powiedzieć, o co chodzi. A przyznać się, że ona, taka doskonała i świetnie zorganizowana, o czymś nie pamięta? To nie wchodziło w rachubę! Podniosła się więc z kanapy z szerokim uśmiechem i oświadczyła, że wraca do swoich makowców. Pozostałe kobiety również zaczęły zbierać się do wyjścia i po chwili Monika z Piotrusiem zostali sami.

Kobieta zerknęła na zegarek i stwierdziła, że do powrotu Jakuba ma jeszcze trochę czasu. Specjalnie wysłała męża do znajomych, by swobodnie zorganizować spotkanie z przyjaciółkami. Zuzanna postąpiła najwyraźniej tak samo, bo kilka godzin wcześniej Monika spotkała wychodzącego z bloku Kajetana. Fijus wyglądał na zmieszanego, pospiesznie przemknął obok niej, ściskając pod pachą szeleszczącą reklamówkę, a ona nie pierwszy raz pomyślała, że mąż Zuzy jest bardzo zabawnym człowieczkiem.

Młoda kobieta podeszła do okna, by poprawić firankę, i zakłęła pod nosem. Alejką od miasta dreptała mama Kwiatek.

Podenerwowana Monika nie mogła znaleźć sobie miejsca. Przysiadła na dywanie obok Piotrusia i zaczęła przestawiać kolorowe klocki. Chłopczyk posłał jej podejrzliwe spojrzenie i bezceremonialnie odebrał swoją własność, więc podniosła się i poczłapała do kuchni. Wstawiła wodę na kawę i pokroiła resztę ciasta. Potem zajrzała do lodówki i policzyła jajka, przełożyła masło do maselniczki, przetała blaty, wypłukała szmatkę i rozwiesiła ją na kaloryferze. Cały czas nasłuchiwała kroków na schodach i brzdęku kluczy, ale nic takiego nie nastąpiło. Kiedy minął dobry kwadrans, a teściowa nie zjawiała się w mieszkaniu pod numerem ósmym, Monika zakradła się do przedpokoju i przytknęła ucho do drzwi wyjściowych. Cisz. Dziwne, pomyślała, bardzo dziwne.

Nacisnęła klamkę i ostrożnie uchyliła drzwi. Wytknęła głowę na klatkę schodową i nadstawiła uszu. Gdzieś z dołu dobiegł ją osobliwy dźwięk. Plask, stuk, plask, stuk, chlup. Plask, stuk, plask, stuk, chlup, chlup. Monika zmarszczyła brwi. Co to wszystko znaczy? Obejrzała się na synka, a widząc, że z zapamiętaniem buduje wieżę z klocków, przemknęła w stronę schodów i przechyliła się nad balustradą. Z wrażenia aż wstrzymała dech.

Na półpiętrze ujrzała teściową. Zasapana mama Kwiatek zmywała posadzkę, dziarsko

wymachując mopem i rozsiewając wokół siebie zapach konwalii. Monika zmarszczyła brwi, próbując znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie dla tego, co widzi, ale nie potrafiła. Bezszelestnie wróciła do mieszkania i cicho zamknęła za sobą drzwi. Zamyślona przeszła do pokoju i spojrzała na Piotrusia. Chwilę później podeszła do chłopca z ciepłą bluzą.

– Chodź, kochanie. Zrobimy sobie spacer.

Kiedy wyszli na klatkę schodową, Monika uśmiechnęła się do synka i przyłożyła palec do ust.

– Zrobimy babci niespodziankę. Bądź cichutko! – powiedziała, gdy ruszyli schodami w dół. Tymczasem posapująca mama Kwiatek dotarła już na parter i złożyła wiaderko z mopem w kącie. Odwrócona plecami do schodów z zapamiętaniem polerowała szybę w drzwiach wyjściowych. Nucila przy tym wesoło i zupełnie nie zwracała uwagi, co dzieje się wokół niej. Monika w ostatniej chwili zasłoniła Piotrusiowi buzię i przytrzymała go w miejscu, by nie pobiegł do babci. Obserwowała, jak teściowa odkłada butelkę ze spryskiwaczem i sięga do materiałowej torby. Na widok sterty ulotek upychanej do skrzynki pocztowej, oniemiała.

– Biedna, stara pani Michalska nie potrafi dopilnować roznosicieli ulotek! – Teściowa zachichotała pod nosem, wtykając palce w szpary skrzynki i wciskając głęboko sterty kolorowych karteczek. Monika chrząknęła, ale starsza pani nie zwróciła na nią uwagi. Dopiero kiedy, podśpiewując, odwróciła się w kierunku schodów i schyliła po leżącą pod nimi wycieraczkę, dostrzegła synową i wnuka. Zamarła w dziwnym ukłonie, z wytrzeszczonymi oczyma i czerwoną z wysiłku twarzą. Monika wypuściła nagromadzone w płucach powietrze i pokręciła głową bez słowa. Mama Kwiatek zacisnęła palce na wycieraczkę i powoli się wyprostowała. Przywołała sztuczny uśmiešek i rzuciła matą do wycierania obuwia pod drzwi wyjściowe. Przez moment szurała prawą stopą, aby znaleźć dla niej odpowiednie miejsce, aż w końcu obróciła się ku wstrząśniętej Monice.

– Dzień dobry! – zaćwierkała.

– Co mama tu robi? – wycodziła młoda kobieta.

– Tu? Och, nie wiem... Pomyślałam, że wpadnę i uzgodnię szczegóły związane z Wigilią.

– I zamierza mama uzgadniać te szczegóły za pośrednictwem skrzynki pocztowej?

– Co?

– No bo jak inaczej wytłumaczyć tę stertę powciskanej na siłę makulatury?

– To nic takiego. Spadło i leżało, więc podniosłam.

– Ach, spadło i leżało. – Monika skinęła głową.

– Tak. Poczęstujesz mnie kawą, skoro już wpadłam? – zaszczębiotała mama Kwiatek, łaskocząc Piotrusia pod brodą. – Śtęskniłam się zia moim ślicznym chłopczykiem. Ublałeś już choinkę?

– Tak. – Monika splotła ramiona na piersi i spojrzała wojowniczo na teściową. – Ale niech mi tu mama nie odwraca kota choinką, tylko mówi jak na spowiedzi, co wyprawia na klatce schodowej!

– Przecież mówiłam, że wpadłam uzgodnić... – oburzyła się w odpowiedzi starsza pani. Monika triumfalnie wskazała wiaderko stojące w kącie.

– Aha, a przy okazji zdecydowała mama, że umyje u mnie podłogi?

Mama Kwiatek zamrugnęła powiekami raz i drugi, po czym westchnęła, splotła dłonie na podolku i spojrzała na Monikę niewinnie.

– Ech, skoro już się wydało, to powiem...

– No ja myślę...

– Zdecydowałam się pomagać – obwieściła mama Kwiatek dumnym głosem.

– Że co? Komu pomagać?

– Pani Michalskiej. Wzięłam sobie do serca to, co powiedziałaś. Że jest stara, samotna i zniedołężniała. Na spotkaniu lokatorów wysunęłam propozycję, że trzeba nieboraczkę pomóc, bo jest już całkiem nieporadna. Sąsiedzi byli zachwyceni – podkreśliła nie bez dumy.

Monika poczuła, że wszystko wokół niej wiruje.

– Zaraz, zaraz! Jakie spotkanie lokatorów? Jacy sąsiedzi?

– Ach, nie było cię wtedy...

– A z jakiej paki była tam mama? Przecież tu nie mieszka? – Młoda pani Kwiatek miała ochotę tupnąć ze złości nogą, ale wiedziała, że w tej sytuacji wskazane jest opanowanie. Do pewnego stopnia, oczywiście. – Nie ma mama prawa mieszać się do życia naszej blokowej społeczności i wmawiać ludziom, że pani Michalska jest zniedołężniała. Nic takiego nie powiedziałam! Tłumaczyłam mamie, że to starsza i samotna osoba, która potrzebuje naszej serdeczności i wsparcia. Nie miałam na myśli odbierania jej jedynej rzeczy, którą kocha!

– Mopa? – prychnęła mama Kwiatek.

– Nie! Troski o klatkę schodową i jej mieszkańców!

– Nic się nie stanie, jeśli od czasu do czasu ktoś ją wyręczy. Dziwię się, że ty, taka serdeczna i kochaniutka, sama o tym nie pomyślałaś!

– Och, niech mnie mama nie wnerwia, bo nie odpowiadam za siebie!

– No co? – zapytała niewinnie teściowa.

– Pomocą nazywa mama ładowanie do skrzynek lokatorów sterty ulotek przytaszczonych w torbie Bóg wie skąd? Och, już ja się poznałam na mamy serdeczności, i to nie raz! I już wiem, dlaczego kręci się mama koło bloku, ale nas unika!

– Nic podobnego! – Policzki starszej pani pokryły się purpurą. Zrobiła nieduży krok w kierunku synowej i wnuka, ale Monika zastąpiła jej drogę.

– Nie, to nie jest dobry pomysł. Niech mama wraca do domu. Nie byłabym w stanie pić spokojnie kawki i uśmiechać się słodziutko po tym, co widziałam!

– Odmawiasz mi gościny? – zdumiała się mama Kwiatek. W jej oczach błysnęła złość. – Od początku czułam, że ta staruszka stanie między nami i zepsuje święta. I co dalej? Co zrobisz, kiedy nie będzie w stanie wysikać się bez pomocy albo wziąć do ręki łyżki z zupą? Kiedy jedynym ratunkiem będzie dla niej dom starców? – zapytała, nie potrafiąc ukryć triumfalnego tonu.

Monika poczuła wilgoć gromadzącą się w kącikach oczu. Przełknęła wielką gulę, która dławiała ją w gardle, i powiedziała cicho:

– Niech mama lepiej pomyśli, co zrobię, kiedy sama nie będzie w stanie samodzielnie się wysikać.

– Ja? – Starsza pani Kwiatek zdębiała i napuszyła się, jakby sikanie było czynnością poniżej jej godności.

– Tak, tak. – Monika skinęła smutno. – Starość dopadnie wszystkich. Szybciej, niż byśmy chcieli.

Mama Kwiatek posłała synowej urażone spojrzenie i uczyniła gest, jakby zamierzała wspiąć się na schody. Monika pokręciła głową.

– Nie, ja mówiłam poważnie. Niech mama wróci do domu i przemyśli sobie, czy jest w stanie zasiąść z nami do wigilijnego stołu bez próby podtapiania pani Michalskiej w talerzu z barszczem. Nie życzę sobie awantur i fochów. Ani w naszym mieszkaniu, ani potem na spotkaniu z sąsiadami pod jodełką – obwieściła, po czym pokonała kilka schodów, podeszła do drzwi, uniosła wycieraczkę i umieściła ją w stałym miejscu, tuż pod schodami. – A wycieraczka ma leżeć tutaj i niech mamę ręka boska broni, jeśli ruszy ją choćby małym palcem u stopy...

Roztrzęsiona Monika złapała Piotrusia za łapkę i zaczęła wspinać się po schodach, nie

zaszczywszy teściowej ani jednym spojrzeniem. Mama Kwiatek pozbierała klamoty i jak niepyszna poszła w swoją stronę. Po drodze wyrzuciła do kontenera na odpadki mopa, wiaderko i butelkę z konwaliowym płynem.

– Jeszcze pożałujecie – mamrotała pod nosem.

Anna

Niezdecydowana Anna stała na klatce schodowej.

Po opuszczeniu mieszkania Kwiatków miała pójść do miasta. Namówiła Felicjana na popołudniowy spacer, ale teraz z obawą zerknęła na swoje eleganckie skórzane kozaczki na gładkiej podeszwie. Nie chciała fiknąć koziołka podczas przechadzki, jednak jeszcze gorsza wydawała się perspektywa powrotu do mieszkania, aby zmienić obuwie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miała ochoty tam wracać. Przebywanie w czterech ścianach z Waldemarem przyprawiało ją o ból głowy. Te małe świdrujące oczka rzucające pełne wyrzutu spojrzenia! Te żalobne westchnienia! I ta przytłaczająca duchota, bo Jurczyk niechętnie wietrzył mieszkanie, wiążąc jego wychłodzenie z wyższymi opłatami za ogrzewanie! Wracając do domu, Anna za każdym razem ostentacyjnie otwierała wszystkie okna, by pozbyć się mdlącego zapaszku, i walczyła z pokusą, by nie wykrzyknąć mężowi, że przecież i tak nie dokłada się do rachunków, więc o swoje ciężko zarobione funty może być spokojny!

W końcu, westchnąwszy w duchu, zawróciła do mieszkania. Ostrożnie uchyliła drzwi, aby nie przyciągnąć uwagi męża, i na palcach zakradła się do szafki z butami. Nerwowo szarpała za suwak przy lewym kozaku, który jak na złość wciągnął właśnie podszewkę i nie zamierzał ułatwiać jej zadania. Spocona i czerwona na twarzy Anna pociągnęła z całej siły i w efekcie zatoczyła się do tyłu, przewracając stojący w kącie wazon. Rumor turlającego się po podłodze naczynia wywabił z kuchni Waldemara.

I tyle w temacie dyskrecji, pomyślała Anna, gramoląc się z podłogi.

Jurczyk najwyraźniej konsumował podwieczorek. W rękę trzymał połówkę bułki posmarowanej cienko masłem i kubek z herbatą. Na widok Anny ożywił się.

– Przyszłaś już?

Nie, przyleciałam, sarknęła w duchu. Głośno jednak powiedziała:

– Wróciłam tylko zmienić buty.

Przysiadła na brzegu szafki i bez dalszych oporów zsunęła kozaki. Waldemar dreptał nad nią niezdecydowany, rozsiewając wokół okruchy bułki.

– Muszę powiedzieć ci coś ważnego! – wypalił w końcu. Anna posłała mu niechętnie spojrzenie. Nie miała najmniejszej ochoty na „coś ważnego” Waldemara. Wiedziała jednak, że jeśli go nie wysłucha, przez całe spotkanie z Felicjanem będzie ją dręczyło, czego mąż mógł od niej chcieć. Tymczasem mężczyzna zauważył jej wahanie i ruszył do kuchni. – Poczekaj chwileczkę! Nie wychodź! – dobiegło stamtąd po chwili.

Anna westchnęła i sięgnęła po wygodne botki. W tej samej chwili zauważyła, że zaczepiła zamkiem o rajstopy. Oczko już pięło się w górę. Krzyknęła do Waldemara, że idzie się przebrać, i pospieszyła do swojego pokoju. Szybko zmieniła rajstopy, a skoro zmieniła rajstopy, to przebrała także sukienkę. Poprzednią zdobiły niezliczone mikroskopijne ślady kolorowych brokatów, którymi Zuza hojnie obsypała podarunki dla sąsiadów. Anna rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, przerzuciła przez ramię płaszcz i wyszła do przedpokoju.

Z wrażenia potknęła się o rozrzucone botki i o mało co ponownie nie wylądowała na podłodze. Z niedowierzaniem wpatrywała się w Waldemara.

Jurczyk klęczał przy drzwiach do kuchni, trzymając w wyciągniętej ręce bukiet róż. Róże były już nieco przywędnięte i w przypiływie wisielczego humoru Anna pomyślała, że albo tak długo zwlekał z ich wręczeniem, albo kupił przecenione. Bardziej prawdopodobny wydawał się drugi scenariusz, ale Anna nie miała czasu tego dłużej roztrząsać, musiała bowiem skupić się na nieprawdopodobnej scenie, w której przyszło jej wziąć udział.

Zauważyła, że na kraciatą flanelową koszulę Waldemar narzucił swoją ślubną marynarkę, która była już mocno zużyta i przyciasna. Do kołnierzyka koszuli przylgnął okruch bułki. Jedną dłoń mężczyzna zaciskał na wiązance kwiatów, drugą przyłożył do serca, ale najwyraźniej marynarka uciskała go zbyt mocno, bo z ulgą ją opuścił. Obrazu dopełniał kawałek szaroróżowej pięty wychylający się z niedużej dziurki w skarpetce.

Anna nie wiedziała, co robić. Czuła, że gdzieś od środka wzbiera w niej śmiech, wiedziała jednak, że byłby on zupełnie nie na miejscu. Wodziła spanikowanym spojrzeniem to po klęczącym mężczyźnie, to po przyciasnym przedpokoju. W końcu zrobiła jedyną rzecz, jaka przysła jej do głowy i była względnie normalna. Schyliła się i zaczęła ustawiać rozrzucone buty.

Najwyraźniej przyciasna marynarka dawała się Jurczykowi mocno we znaki, bo zawołał na bezdechu:

– Czy zostaniesz moją żoną?

Tego dla kobiety było już zbyt wiele. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, wypuściła trzymane w ręku botki i klapnęła na pupę z głośnym rechotem. Jurczyk obrzucił ją urażonym spojrzeniem, więc starała się opanować, jednak za każdym razem, gdy jej wzrok padał na niebezpiecznie napięte guziki marynarki, okruch bułki i przywiednięte róże, wybuchała śmiechem. W końcu wydukała z trudem:

– Prze...przecież nią... nią... je-je-jestem!

– No przecież wiem. Ale czasem o tym zapominasz – odparł sucho Waldemar. Zaraz jednak przypomniał sobie, że skoro już klęczy na twardej posadzce przedpokoju, ścisną kłujące róże i maltretuje się przyciasną marynarką, powinien porzucić pretensje i skupić się na romantyczniejszej części swojej misji. Ponownie przybrał przymilny ton. – Pytam, czy nadal nią zostaniesz.

– Co? – spytała osłupiała Anna. – Co ty sobie znowu wymyśliłeś?

– Ja to wszystko przemyślałem... – Jurczyk wepchnął jej wiązankę i wstał z klęczek. Równocześnie odpinał guziki marynarki i usiłował zderzyć ją z siebie. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że skoro przedłożył już swoją prośbę, nie ma sensu męczyć się w ciasnym ubraniu. Jednak jak na złość marynarka nie zamierzała ułatwić mu zadania i w pewnym momencie po prostu się w niej zakleszczył.

Kiedy Anna ruszyła z kwiatami do kuchni, poczłapał za nią z dziwacznie wygiętymi do tyłu ramionami.

– Przemyślałeś sobie – mruknęła Anna, ładując kwiaty do wazonu i odkręcając kurek z zimną wodą.

– Tak. – Jurczyk skinął głową, ciężko siadając na taborecie i ocierając spocone czoło. – Nie możemy wyrzucić kilkunastoletniego związku na śmietnik ot tak! Bez próby postawienia go na nogi! – zagrzmiął.

Anna posłała mu pełne politowania spojrzenie.

– Ty to najpierw zajmij się rękami! – parsknęła, podchodząc i bezceremonialnie zrywając z niego marynarkę.

Jurczyk pisnął, pomasaował się po uwolnionym ramieniu i spojrzał na żonę jak zbity pies.

– Ręce mam, dzięki Bogu, zdrowe. Mogę ciężko pracować. Możemy zbudować dom. Mam oszczędności. Sama go urządzisz – powiedział chytrze. – Nie będę się wtrącał. I możemy mieć to dziecko, jeśli nadal ci zależy.

– Serio? – Anna uśmiechnęła się. – Bo widzisz... pięćset plus nie dostaniemy. Za wysokie dochody – zakpiła.

– Nie musiałabyś pracować – stwierdził po chwili milczenia Jurczyk. Najwidoczniej dokonał jednak szybkich kalkulacji, bo zaraz dodał: – Ale gdybyś chciała, na pewno bym ci nie

zabraniał. Lżej by nam było. I gdybyśmy mądrze gospodarowali...

– Ach... – Anna poczuła, że dusi się od śmiechu. Ostatni raz musnęła dłonią przybarwioną na rdzawo płatki róż i sięgnęła po płaszcz. – Powiem szczerze, że twoja wizja jest dla mnie niepokojąca. A teraz wybacz, ale mam spotkanie.

W oczach Waldemara błysnęła złość, ale zdołał stłumić wybuch gniewu. Zamiast tego uśmiechnął się do Anny prosząco.

– Ale przemyśl to sobie, co? Nie musisz tak od razu występować o rozwód... Szczególnie z orzeczeniem o winie – zaskamlał.

Tu cię mam! – pomyślała Anna. Nie odpowiedziała jednak nic, bała się bowiem, że parsknie Jurczykowi śmiechem w twarz. Skinęła lekko głową i niemal truchtem wybiegła z kuchni. Zadowolony z siebie Waldemar rozsiadł się za stołem i przysunął sobie drugą połówkę bułki i pojemnik z masłem. A co mi tam, pomyślał i rozochocony posmarował pieczywo nieco grubiej. Nie co dzień człowiek klęczy przed własną żoną i prosi, by nią pozostała. Taka chwila naprawdę zasługiwała, żeby uczcić ją solidniejszą warstewką masła!

Tymczasem Anna wybiegła z klatki schodowej (po drodze minęła wymachującą mopem mamę Kwiatek, ale nie zatrzymała się nawet, by powiedzieć jej „dzień dobry”) i pognąła w kierunku stadionu Kalwarianki, przy którym umówiła się z Felicjanem. Już z daleka dostrzegła jego samochód, więc dopadła do pojazdu, szarpnięciem otworzyła drzwiczki i wskoczyła na przednie siedzenie. Co jakiś czas wrywał się jej nerwowy chichot i siedzący za kierownicą mężczyzna spozjrzał na nią zaskoczony.

– Co się stało? – zapytał w końcu. – Co cię zatrzymało?

– Nie uwierzysz – wykrztusiła z trudem Anna. – Przyjmowałam oświadczyzny od własnego męża.

Felicjan uśmiechnął się słabo i pokręcił głową.

– Oj, to twoje poczucie humoru! Uwielbiam je!

Anna wybuchnęła śmiechem.

Kalina

Lanckorona zachwyciła Kalinę! Natychmiast zdecydowała, że gdy tylko wszystko się zazieleni i nadejdą cieplejsze dni, wróci do miasteczka z Markiem, Basią i Młynkiem. Usiądą na ławce przy rynku albo na jednym z tych fikuśnych siedzisk z pomalowanych na niebiesko palet! Będą patrzeć na drewniane domki, z których okien na ulicę wyglądają anioły, pić kawę albo opychać się rogalikami kupionymi w tamtej piekarni za rogiem! Urzeczona Kalina kręciła się po wąskich, brukowanych uliczkach, na których z rzadka pojawiały się samochody. Młynek niuchał wzdłuż krawężnika, szukając śladów swych lanckorońskich pobratymców, przez ulicę przemknął rudy kot z czerwoną obrozą, a z domu na rogu dobiegał dźwięk pierwszej kołody. Nie radosnej piosenki, jakimi stacje radiowe tworzyły okologwiazdkowy klimat już od połowy listopada, ale właśnie najprawdziwszej kołody.

Po wycieczce po wąskich zaułkach i zakupieniu ciepłej bułki kobieta skróciła nieco smycz i zaczęła piąć się w kierunku zamkowych ruin. Nie spieszyła się. Autokar z miłośnikami szydełkowania miał wrócić dopiero po południu, a i spacer wśród ośnieżonych drzew okazał się czystą przyjemnością. Droga była dobrze utrzymana i szeroka, Młynek radośnie nurkował nosem w śniegowej pierzynie, a pomiędzy drzewami od czasu do czasu ukazywały się widoki położonych w dole wsi i miasteczek. W pewnej chwili Kalina uświadomiła sobie, że patrzy na kalwaryjski klasztor, i zatęskniła za Zuzanną i Kajetanem, z którymi serdecznie się zaprzyjaźniła. Z Kajetanem nieco mniej, bo wciąż patrzył na nią ciut podejrzliwie i dopytywał, czy na pewno nie musi skorzystać z łaźienki.

Postanowiła, że gdy tylko wróci do pensjonatu, zadzwoni do Zuzy i złoży jej świąteczne życzenia. Nie chciała tego robić teraz, bo właśnie zbliżała się do zamku, a poślizgnięcie na obluzowanym kamieniu i twarde lądowanie w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi pieczarze to ostatnia rzecz, o jakiej marzyła. To dopiero by było: Gwiazdka z nogą na wyciągu! O ile w ogóle by ją znaleźli! A matka? Och, na pewno wiedziałyby, jak to skomentować! Chciałaś atrakcji i wrażeń, to masz! Cierp teraz, skoro odmówiłaś udziału w świętach po mojemu!

Na myśl o Lucynie Kalina poczuła dziwny niepokój. Uświadomiła sobie, że nazajutrz jest Wigilia, a matka zamiast lepić z szaleńczym błyskiem w oku pierogi i dyrygować ojcem, w którym kącie pokoju powinien postawić choinkę, siedzi sobie w najlepsze gdzieś na odludziu, wymachuje szydełkiem, spija podejrzane trunki, zachwyca się sztuką sakralną i skacze po karniszach, zrywając firanki. Jakim cudem zdąży wszystko przygotować?

Kalina, która rękami i nogami broniła się przed kolejną rodzinną wigilią w mieszkaniu Radeckich, na zboczu Lanckorońskiej Góry, wśród ośnieżonych drzew i zabytkowych ruin zamku, niespodziewanie zatęskniła za jej atmosferą! Przypomniała sobie gipsowego Jezuska w żłóbku ze sklejki, którego co roku ustawiała pod drzewkiem, pierogi z kapustą i grzybami i wystające spod obrusu sianko, które w rzeczywistości okazało się słomą i kłuło ojca w brzuch za każdym razem, gdy pochylał się nad talerzem. Poczula na języku smak prawdziwego czerwonego barszczu, który Lucyna przyrządzała jak nikt, i przysięgłaby, że w powietrzu na moment zawisł zapach smażonego karpia. Ale to przecież niemożliwe. To z miasteczka pewnie przyfrunęły te apetyczne zapachy, ktoś przygotowuje smakołyki na wigilię albo po prostu ma dziś pyszny obiad.

Kalina westchnęła, ostatni raz okręciła się dookoła, by podziwiać pozostałości po średniowiecznym zamku, i powoli zaczęła zsuwać się ze zbocza. Zamki zamkami, wycieczki wycieczkami, a teraz trzeba sprowadzić Lucynę do domu. Kalina potwornie tęskniła za Basią i Markiem. Oddałaby wszystko, by móc ich teraz przytulić. Zerknęła przelotnie na wyświetlacz komórki i z przerażeniem stwierdziła, że zwiedzanie Lanckorony zajęło jej kilka godzin. Lada

moment matka powróci z wycieczki do Kalwarii, szybkim krokiem ruszyła więc w kierunku pensjonatu.

Zuzanna

Telefon Kaliny oderwał Zużę od piekarnika. Właśnie nachylała się nad świeżo upieczonymi makowcami, wdychając ich słodko-migdałowy zapach. Zadowolona pokiwała głową. Ciasto pięknie wyrosło, ale w sumie nie spodziewała się niczego innego. Od lat przygotowywała makowce według sprawdzonego przepisu, który w jej rodzinie był przekazywany z matki na córkę. Co roku piekła cztery podłużne wałeczki nadziane masą z maku i bakalii, idealnie zaokrąglone i zwinięte tak ciasno, że nawet po pokrojeniu i ułożeniu na ozdobnej paterze pięknie się prezentowały. Najmniejsze ziarenko maku nie miało odwagi sprzeciwić się woli Zuzanny Fijus!

Nie spuszczać oka z leżących w piekarniku makowców, Zuzanna po omacku sięgnęła po komórkę i odebrała połączenie. Na dźwięk głosu Kaliny rozpromieniła się i natychmiast zaczęła dzielić się z przyjaciółką najnowszymi wieściami.

Czy Kalina wie, że ponownie organizują spotkanie pod jodełką? A jak Kalinie idą przygotowania do świąt? Upiekła już coś? Umyła okna? Zapakowała prezenty dla Marka, Basi i Młynka? No właśnie? Jak się mają Marek i Basia? Czy Basieńce rosną już zęby? Czy Kalina jej oby nie rozdrabnia za bardzo jedzenia? A propos jedzenia, co Kalina przygotowuje na wigilijną wieczerzę? A choinkę już ubrali? A prezenty spakowane? Pytała już? Co kupiła Markowi? A co sama dostanie? Bo ona, Zuzanna, to chyba wycieczkę do Paryża albo na jakieś Karaiby...

Kiedy Kalinie w końcu udało się wtrącić trzy słowa, dosłownie trzy, i rzucić na wydechu, że właśnie jest w Lanckoronie, Zuza o mało nie oszalała ze szczęścia. Podskoczyła w górę jak mała dziewczynka i poleciła pani detektyw stawić się na kawę. Ledwie wyartykułowała zaproszenie, uświadomiła sobie, że jej samej nie bardzo jest ono na rękę. Oj, ma przecież jeszcze tyle pracy... Musi polukrować makowce, ugotować kompot dla rodziny i dla sąsiadów, sprawdzić obrusy, zagonić Agatę do ubierania choinki, wypolerować łyżeczki od herbaty i miskę Nudy, zamoczyć fasolę, odkurzyć dywan w dużym pokoju, zrobić śledzie i wyprasować świąteczne ubrania dla całej ich trójki plus piękną, szafirową kokardę dla suczki. I oczywiście musi to wszystko zrobić sama, bo Kajetan szwenda się nie wiadomo gdzie!

Na szczęście również Kalina zaczęła wymawiać się brakiem czasu i koniecznością przeprowadzenia delikatnej, a jednocześnie bardzo ważnej misji. Zuzanna nie wnikała, o jaką misję może chodzić, złożyła Radeckiej-Pióreckiej życzenia świąteczne i wymusiła na niej obietnicę, że po Nowym Roku odwiedzi Fijusów wraz z całą rodziną.

– Co do terminu, to się jeszcze dogadamy – zastrzegła na koniec. – Bo nie wiem, kiedy wyruszamy w tę podróż...

Po zakończeniu rozmowy Zuza uchyliła piekarnik, zaczerpnęła haust ciepłego, przesyconego świątecznym aromatem powietrza i uśmiechnęła się pod nosem. No, makowce gotowe! Pora na przystrojenie choinki! Idąc do pokoju córki, kobieta zmarszczyła lekko brwi. Pochłonięta pakowaniem prezentów dla sąsiadów i przygotowywaniem łakoci zupełnie zapomniała o mężu! Teraz z nagłym niepokojem uświadomiła sobie, że Kajetan przepadł dobre kilka godzin temu! Gdzież on się podziewał?

Zuzanna wtargnęła do pokoju nastolatki, raz-dwa rozporządziła co, gdzie i jak ma zostać przystrojone, po czym zadowolona z siebie wróciła do kuchni, by przygotować lukier na makowce. Zbliżyła się do miski z owocami i zamarła w bezruchu.

Gdzie są cytryny? Przecież kazała Kajtkowi kupić pół kilograma cytryn!

Przekonana, że mąż upchnął nieszczęsne owoce cytrusowe w tylko sobie znanym zakamarku, przetrząsnęła lodówkę i wszystkie szafki kuchenne. Dokładnie obejrzała parapety,

zerknęła na balkon i do schowka pod zlewem, gdzie trzymali kosz na śmieci. Z lekkim wahaniem uchyliła piekarnik i pociągnęła nosem, jakby spodziewała się znaleźć zwęglone pozostałości owoców, a na koniec posunęła się nawet do spenetrowania legowiska oburzonej Nudy.

Wszystko na nic. Cytryny przepadły.

– Nie kupił! Oczywiście, że nie kupił! – warknęła Zuzanna, zapominając o wcześniejszym niepokoju związanym z nieobecnością męża. – Napisze się takiemu kartkę, drukowanymi literami i jeszcze podkreśli każdą pozycję dwa razy, a i tak nie kupi! I co teraz? Jak ja zrobię lukier do makowca bez świeżych cytryn?

Inna gospodyni z pewnością przetrząsnęłaby kuchenne szafki w poszukiwaniu torebki z gotowym lukrem, ale Zuzanna Fijus nie zamierzała zniżać się do tego poziomu. Jej makowce były pieczone ze swojskich jaj, nadziewane własnoręcznie wykonaną masą z dwukrotnie zmielonego maku i bakalii. Nie mogły zostać oblane lukrem ze sklepu, który zalatywał przypalonym plastikiem! Nie zamierzała też ograniczać się do posypania wypieków cukrem pudrem tylko dlatego, że niektórzy mają głowę na wakacjach!

Kajtek

Głowa Kajetana Fijusa z pewnością nie znajdowała się na wakacjach, jak podejrzewała jego żona. Tkwiła w dusznym kokonie rybiej głowy i pracowała wytrwale, kombinując, jak zdobyć pozostałą kwotę dla Milewskiego seniora, by wyrównać niechlubne zadłużenie. W chwili kiedy Zuzanna nadziewała płaty żółciutkiego drożdżowego ciasta smakowicie pachnącą masą makową, Kajtek przemierzał kalwaryjskie ulice opatulony pluszowym skafandrem i nawoływał:

– Ryba, świeży karp! Ryba, świeży karp!

Slogan ten wydawał mu się bardziej wyświechtany niż kościółkowa marynarka wujka Wieśka z Libiąża, ale nie zamierzał się wtrącać. Po pierwsze, to nie była jego sprawa. On miał do wykonania zadanie, za które zainkasuje zapłatę. A po drugie... jeszcze by mu kazali stworzyć coś bardziej kreatywnego, a on miał ważniejsze rzeczy na głowie. Musiał na przykład wymyślić, jak umknąć czujnemu oku Zuzanny w wigilijny poranek...

Na samo wspomnienie o żonie oblały go zimne poty, co w połączeniu z przyciasnym, nieprzepuszczającym powietrza skafandrem dało dramatyczne efekty. Kajetan czuł, że ocieka lepką wilgocią, a na dodatek zaczęło go potwornie swędzieć w okolicy lewej łopatki. Próbował się podrapać, ale to wcale nie takie łatwe, gdy zamiast rąk ma się dwie płetwy! Zaszył się więc na placu zabaw koło biblioteki i usiłował chwycić w obleczone pluszem wypustki jakąś gałąź, ale bez powodzenia. W końcu zrezygnowany oparł się o ogrodzenie z siatki i kilka razy przesunął plecami w górę i w dół. Uporczywe swędzenie minęło, a zadowolony Kajtek pomyślał, że dobrze jest pooglądać programy przyrodnicze na Animal Planet i przyjrzeć się zwyczajom zwierząt.

Z chwilą, kiedy ostatni raz przesuwiał obleczoneymi w plusz łopatkami po ogrodzeniu, kątem oka zauważył wolno sunący ulicą radiowóz. Siedzący w nim policjanci przyglądali się jego poczynaniom podejrzliwie. Kiedy wóz zatrzymał się przy krawężniku, Kajetan stwierdził, że nie ma co czekać na rozwój sytuacji. Szczególnie że ta konkretna mogła się dla niego zakończyć wezwaniem karetki pogotowia, piżamą z tasiecmkami i nocką w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie. Oderwał plecy od siatki i wrzasnął ile sił w płucach:

– Ryba, świeży kaaaarp!

I pognął w kierunku rynku tak szybko, jak tylko pozwalały mu obleczone w plusz nogi i majtający między nimi zupełnie niekarpiowaty ogon. Jestem skrzyżowaniem karpia z welonką, pomyślał Kajtek i wybuchnął śmiechem.

Krażył ulicami, kręcąc się głównie w miejscach, w których pojawiali się dokonujący ostatnich sprawunków kalwarianie, i nawoływał do zakupu świeżych ryb. Zainteresowanych kierował do stoiska na placu targowym. Profilaktycznie unikał tylko supermarketu, w którym zakupy robiły Zuzanna i jej przyjaciółki. Zazwyczaj patrzono na niego życzliwie. Dorośli pokazywali go swoim pociechom, a starszki klepały go po plecach, dopytując, czy ubrał już choinkę. Raz tylko przyczepił się do niego jakiś pijaczek i nie chciał przyjąć do wiadomości, że ryby nie mają kieszeni, więc nie mogą poratować „dwoma złotymi, bo suszy”. Nieusatisfakcjonowany niedoszły konsument wziął sobie za honor wycelowanie czubkiem zdezelowanego trzewika pod rybi ogon i gonił przestraszonego Kajetana wokoło rynku, dopóki nie potknął się o wystającą kostkę brukową i nie zaległ w topniejącym śniegu. Kajtek oddalił się na bezpieczną odległość, schronił za drzewem i z ukrycia obserwował, czy napastnik podnosi się o własnych siłach. Kiedy tamten chwiejnym krokiem ruszył w kierunku pobliskiego monopolowego czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę, Fijus odetchnął z ulgą i podjął swoją wędrowną podróż z nawoływaniem do zakupu:

– Ryba, świeży kaaarp!

Od tej pory praca szła gładko, raz tylko zdarzyło mu się zagapić na wystawę jakiegoś sklepu, co natychmiast wykorzystał wolno biegający kundelek. Zanim mężczyzna się zorientował, było już po wszystkim. Piesek zwał czym prędzej, a Kajtkowi pozostała wilgoć w lewym buciku oraz poczucie, że został w jakiś sposób zlekceważony...

Kiedy mijał budkę z lodami włoskimi, zauważył, że przygląda mu się jakaś rodzina. Mama gestykulowała energicznie, a tata z powagą kiwał głową. Obok jak mała piłeczka podskakiwał na oko pięcioletni smyk. Kajtek zatrzymał się i posłał w ich stronę zachęcające spojrzenie. Jeśli szukają świeżej rybki, on już ich pokieruje we właściwe miejsce!

Kobieta podbiegła do niego i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Czy mogę o coś zapytać?

– Oczywiście! – Kajetan skinął rybią głową i nie czekając, wyrecytował wyuczoną na pamięć formułkę: – Świeży karp, osiemnaście pięćdziesiąt za kilogram! Najlepsza cena i jakość w mieście!

– Och. – Jego rozmówczyni wyraźnie się spłoszyła. – Nie potrzebuję ryby, ale widzi pan... synek chciałby sobie z panem zrobić pamiątkowe zdjęcie. Zapłacimy – dodała szybko.

Kajtek zmarszczył brwi. W obleczonej pluszem głowie trybiki zaczęły się obracać w szaleńczym tempie. Gdyby chodząc po ulicach, nie ograniczał się do nawoływania do zakupu świeżej ryby, ale dodatkowo oferował zdjęcie za pięć złotych, zyskałby dodatkowy zarobek. A jeśli sprytnie to rozegra, również właściciel rybnego stoiska zanotuje wyższy utarg. Na samą myśl Fijus uśmiechnął się błogo. Kobieta spoglądała na niego wyczekująco.

– To jak?

– A kupi pani rybę? – odpowiedział pytaniem.

Twarz kobiety wydłużyła się.

– Ale ja już mam rybę.

– No to pani zamrozi na sylwestra. – Wzruszył płetwami. – Skafander to firmowa własność – wyjaśnił służbowym tonem, którym zazwyczaj przekazywał Milewskiemu sprawozdania finansowe. – Więc zdjęcia z... – zawahał się na moment – Panem Rybką są zarezerwowane dla konsumentów naszych karpia.

Kobieta obejrzała się na podskakującego radośnie synka i skinęła na niego ręką.

– Niech będzie. Gdzie te karpie?

Kajetan objaśnił lokalizację stoiska, zainkasował pięć złotych za zdjęcie i ustawił się za plecami podekscytowanego chłopca. Po chwili zadowolona rodzinna powędrowała w kierunku placu targowego, by sfinalizować zakup ryby, a Kajtek z nową energią podjął wędrówkę po kalwaryjskich ulicach, nawołując:

– Ryba, świeży karp! Tylko u nas zdjęcie z Panem Rybką na pamiątkę rodzinnej Wigilii!

Zainteresowanie było większe, niż przypuszczał. Wieść o pluszowej rybce wędrującej po miasteczku i oferującej pamiątkowe zdjęcie rozniosła się po Kalwarii lotem błyskawicy. Podekscytowane dzieciaki ciągnęły rozbawionych rodziców na spacer, byle tylko napotkać tę osobliwą postać. W niejednej kalwaryjskiej zamrażarce miały zalegać w te święta niewykorzystane ryby!

Problemem okazało się tylko gromadzenie zarobionych pieniędzy. Pozbawiony kieszeni skafander nie ułatwiał sprawy, więc zrezygnowany Kajetan wrzucał monety do skarpetki i dzielnie znosząc niedogodności, kuśtykał po ulicach. Dokuśtykał w końcu także w okolice furgonetki, gdzie przedstawił zaintrygowanemu handlarzowi swój plan. Mężczyzna był tak zadowolony wzrostem sprzedaży, że bez sprzeciwu przystał na pomysł Kajetana, a nawet głośno wyrażał podziw dla jego kreatywności.

Jednak Fijus już go nie słuchał. W kolejce przed furgonetką dojrzał sąsiadkę z trzeciego

piętra i obróciwszy się na pięcie, z paniką w oczach rzucił się do ucieczki.

Wojciech

Ksiądz Wojciech wrócił na plebanię po wizytach u chorych parafian i z błogim uśmiechem rozmasował zziębnięte dłonie. Pani Genia znacząco popukała się po czole i sięgnęła po czajnik.

– Ksiądz to ma kuku na muniu, jak Pana Boga Kocham. Na rowerze? W taką pogodę?

Wikary uśmiechnął się lekko i przyjął z rąk obruszonej gospodyni kubek rozgrzewającej herbaty z malinami i suszonym kwiatem lipy. Bóg dał mu dwie zdrowe nogi, więc z chęcią je wykorzystywał, pedałując na swoim nieco wysłużonym „góralu”. Świątek, piątek, wiosna, lato, jesień, a jeśli mróz puszczał, a drogi i chodniki utrzymane były we względny porządku, nawet i zima – przez okrągły rok kalwarianie mogli podziwiać pędzącego przez miasto Wojciecha. Niektórzy to się nawet podśmiewali, że własnego księdza Mateusza mają, tylko – Bogu dzięki – przestępczość dużo niższa niż w Sandomierzu. Dziś również wybrał się do parafian na rowerze i przez własne roztargnienie zostawił w jednym z domów grube rękawice.

Teraz obejmując dłońmi pękaty kubek, przeszedł do swojego mieszkania i przysiadł na wersalce obok przyjemnie pomrukującej Mery. Kotka natychmiast wykorzystwała okazję i wgramoliła się na jego kolana.

Wojciech popijał herbatę, czując, jak przyjemne ciepło rozlewa się po ciele. Kusila go krótka drzemka, ale leżący nieopodal stosik zeszytów przypominał, że przed wyjściem do chorych nie dokończył sprawdzania prac. Nie miał najmniejszej ochoty zostawiać obowiązków na święta, więc westchnął cichutko i sięgnął po pierwszy zeszyt – 3a. Klasa Stasi. Wyjątkowo lubił te dzieciaki, choć zazwyczaj tak dawali do wiwatu, że wychodził z ich lekcji spocony jak mysz. Niedawno Julka Kowalska pokazała mu jakieś czasopismo o urodzie i zapytała, czy sukienka Matki Boskiej została uszyta z materiału z dodatkiem poliestru.

Wikary przypomniał sobie bladeść oraz niecodzienne zachowanie Stasi, więc szybko przerzucił kupkę, by znaleźć właściwy brulion. Oczami przebiegł treść zadania i pokręcił głową ze smutkiem. Dlaczego z nią nie porozmawiałem? – wyrzucał sobie, sięgając po kurtkę.

Zdumiona pani Genia wychyliła się z kuchni.

– Ksiądz znów wychodzi? Gdzie księdza niesie? – gderała.

– Sprawy parafialne – rzucił krótko w odpowiedzi i już go nie było. Tym razem machnął ręką na rower i szybkim krokiem ruszył w kierunku ulicy Weissa. Po drodze zadzwonił do Macieja i poprosił, by ten czekał na miejscu. Dość tego, zapowiedział stanowczo, dzieci nie mogą cierpieć z powodu głupoty i tchórzostwa dorosłych!

Początkowo zamierzał pójść prosto do Marzeny, ale na widok rzęsiście oświetlonych witryn sklepu samoobsługowego do głowy wpadł mu zaskakujący pomysł. Uśmiechnął się pod nosem, wszedł do środka i zaczął ekspedientkę w zielonym fartuszk, trochę niezdarnie przedkładając swój zamysł. Chwilę później kroczył w kierunku ulicy Weissa, ściskając w kieszeni nieduży pakunek.

Podenerwowany Maciek już na niego czekał. Zatrzymali się na klatce schodowej przed drzwiami Marzeny. Kobieta wyszła do nich opatulona grubym, kosmatym swetrem. Ksiądz Wojciech pomyślał, że matka Stasi jest żywą antyreklamą stanu błogosławionego. Wyglądała, jakby przejechał po niej rozpędzony walec. O ile taki w ogóle potrafi się rozpędzić.

Marzenę zaskoczyła późna wizyta wikarego. Spoglądała pytająco to na Maćka, to na Wojtkę i zażądała wyjaśnień, więc ksiądz sięgnął za pazuchę i wydobył zwinięty w rulon zeszyt Stasi. Otworzył go na właściwej stronie i podetknął pod nosy przyszłych rodziców.

– Czytajcie – polecił stanowczym tonem.

Marzena i Maciej przebiegli wzrokiem napisane przez dziewczynkę zadanie. Wychowawca zaklął pod nosem tak szpetnie, że aż brwi wikarego wygięły się w łuk, a wstrząśnięta Marzena wyrwała mu zeszyt i odeszła z nim w przeciwny kąt korytarza. Ciężko opadła na schody i podparła dłonią głowę z taką miną, jakby dźwigała na niej cały świat. Zaczęła głośno czytać:

– „Moja mama jest bardzo chora i pewnie niedługo umrze. Wiem, że już prosiłam w czasie modlitwy o tom różową sukienkę z falbankami która wisi na wystawie, ale teraz mi na niej nie zależy. Proszę cię panie boże spraw, żeby mama wyzdrowiała. Ja już straciłam tatę i teraz nie mogę zostać bez mamy, bo wtedy nie będę miała w ogóle rodziców. A wtedy trafia się do domu dziecka albo do jakiegoś starego małżeństwa jak Ania z Zielonego Wzgórza. Tu u nas w Kalwarii nie ma takiego starego małżeństwa. Jest tylko pani Michalska ale ona nie ma męża, a do tego jest czarownicą i filuje. Panie Boże odkąd wiem, że mama jest chora nie mogę spać w nocy i strasznie się boję. Mama nic mi nie powiedziała, bo na pewno nie chce mnie martwić, ale przecież ja nie jestem głupia i widzę, że źle się czuje i strasznie dyszy. Jak pies pana Kaczkowskiego tak dyszał, to pan Kaczkowski powiedział, że jest w stanie agonalnym. Więc mama jest w stanie agonalnym i nie wiem, czy ci się uda coś zdziałać, ale bardzo cię proszę chociaż spróbuj! Stasia”. – Zszokowana spojrzała przeciągle na Macieja.

Ksiądz Wojciech kiwnął głową, wskazując zeszyt.

– Jest jeszcze postscriptum...

Kamińska gwałtownym ruchem przerzuciła kartkę i parsknęła śmiechem.

– „A jeśli jest za późno na zmianę prośby, to chcę żebyś wiedział, że ta sukienka wisi na wystawie sklepu koło pawilonu”.

Maciej wzruszył ramionami.

– Przynajmniej wybrała taki sklep, że Bogu blisko z kościoła.

– Bóg jest wszędzie. – Wojtek uniósł brwi. – Nawet między wieszakami sklepu koło pawilonu. Ale chyba muszę porozmawiać z dziećmi na temat modlitw. Muszą wiedzieć, że nie są one ograniczone jak szanse w loteryjce! – Uśmiechnął się krzepiąco do pobladłej Marzeny. – Cóż, tyle z mojej strony. Myślę, że wiecie, co zrobić. Będę się zbierał.

– Nie wejdzie ksiądz na herbatę? – zapytała cicho kobieta, podając mu zeszyt.

– Innym razem. Coś mi mówi, że długi wieczór przed wami. Aaa, zapomniałbym! – Sięgnął do kieszeni i wydobył plastikowe pudełeczko, w jakie nieraz pakowano ciastka w cukierni. – To może się wam przydać. Wiem, że czasami słowa nie chcą precyzyjnie przejść przez gardło...

Na dłoni Marzeny wylądowała para malutkich bucików z kolorowymi kokardkami. Kobieta wpatrywała się w nie jak urzeczona. Kiedy spojrzała na Wojtka, jej oczy załśniły takim blaskiem, że aż zaparło mu dech w piersi. Może jednak z tym stanem błogosławionym to prawda?

– Dziękuję – szepnęła, ściskając mu rękę. – Drugi raz ratuje ksiądz naszą rodzinę.

– Dla przyjaciół wszystko – odparł. – Poza tym liczę na profity przy chrzcinach.

Żart wikarego rozluźnił atmosferę. Marzena przetarła wierzchem dłoni wilgotne oczy, Maciek przełknął dziwną dławiącą kulkę, która stanęła mu w gardle, a Wojciech wskazał drzwi opatrzone czwórka.

– Do boju.

Kiedy przyszli rodzice zniknęli we wnętrzu pokoju, zaczął nieśmiało podsłuchiwać. Po chwili dobiegł go szmer głosu Marzeny.

– Stasiu, mamy dla ciebie ważną nowinę...

Lucyna

Autokar powoli wturlał się na wybrukowany kostką podjazd, sapnął i stanął z lekkim szarpnięciem. Lucyna Radecka drgnęła. Droga między Kalwarią Zebrzydowską a Lanckoroną nie trwała dłużej niż kilkanaście minut, ale kobieta zdążyła się zdrzemnąć. Nie była przyzwyczajona do nocnych ekscesów, o nie! Poza tym tutaj, w otoczeniu lasu, spało się jej po prostu wybornie. Najchętniej nie wychodziłaby z łóżka i wetowała sobie te wszystkie lata, gdy zrywała się o świcie, by biec do piekarni na rogu po świeże bułeczki, odwiedzić pobliski plac handlowy w celu upolowania jaj prosto od kury (jej mąż mówił na nie obkidańce) czy po prostu wypić kawę w ciszy poranka. Ale jeśli powiedziało się A i przyjechało na obóz miłośników szydełkowania, trzeba powiedzieć też B i w nim uczestniczyć. Nawet jeśli zrobiło się to z powodu własnej dumy i komuś na przekór.

Lucyna poczuła, że po brodzie ścieka jej strużka śliny, więc szybko ją starła. Potem spojrzała na pokiereszowane dłonie. Cóż, koordynacji ruchowej nie miała już takiej jak kiedyś. Nieraz szydełko omsknęło się nie tam, gdzie trzeba. I tak radziła sobie lepiej niż Krystyna z kieleckiego, która już pierwszego dnia dźgnęła sąsiadkę w oko. Poszkodowana wyładowała na SOR-ze, a Krystyna zaczęła nerwowo chichotać i chichotała tak dopóty, dopóki nie przyjechał po nią wnuk. Dwa dni później.

Lucyna uświadomiła sobie, że nie ma już województwa kieleckiego, i nagle poczuła się stara. Niezdarnie zaczęła gramolić się do wyjścia. Przez głowę przemknęła jej myśl, że właściwie mogłaby wrócić już do domu. Zbliżała się Wigilia. Jak na dobrą gospodynię przystało, była na to przygotowana zawartością półtorej zamrażarki. Wystarczy ubrać choinkę i upiec jakiś dobry placek. W sumie to stęskniła się za mieszkaniem na Ruczaju i za swoim mężem. No i za Basieńką!

Pełna zapachu przepchnęła się do drzwi. Właśnie kładła stopę na ostatnim stopniu, gdy kątem oka dostrzegła córkę. Kalina stała u stóp schodów prowadzących do pensjonatu. Jedną rękę zaciskała na smyczy Młynka, drugą na uchwycie walizki. Walizki Lucyny.

Pani Radecka poczuła, jak ogarnia ją złość. Zapomniała o pokiereszowanych dłoniach, Krystynie z kieleckiego i czekającej na przystrojenie choince. Widziała tylko przygotowaną walizkę i córkę oczekującą, by zapakować matkę do samochodu jak krnąbrnego przedszkolaka, który nie chce po dobroci opuścić placu zabaw. Po moim trupie, sarknęła w myśli. Jeszcze nie zdziecinniałam, żeby mnie musieli pakować do walizki i do auta. Sama zdecyduję, kiedy zechcę wrócić do domu. Uniosła dumnie głowę, rozejrzała się czujnie, a widząc, że obrócona do niej plecami Kalina kontempluje architekturę pensjonatu, zanurkowała w lewo, roztrącając pozostałych uczestników wycieczki.

– Dokąd idziesz? – zapytała Małgosia z Nowej Huty.

– Na spacer do lasu – warknęła niezbyt grzecznie Lucyna. – Mdli mnie po zapachach klasztornych, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Niezatrzymywana przez nikogo dotarła na skraj leśnej dróżki, którą kilka dni wcześniej spacerowali po zboczach Lanckorońskiej Góry. Dziarsko ruszyła przed siebie, ale po mniej więcej dwudziestu krokach obejrzała się za siebie i z niepokojem pomyślała, że ktoś może zdradzić Kalinie, gdzie ona jest, a wtedy córka ruszy za nią do lasu i raz-dwa odnajdzie na tej ścieżce. Taka ewentualność nie przypadła Lucynie do gustu, więc kiedy napotkała rozgałęzienie, skręciła w inną ścieżkę, potem w kolejną i kolejną, aż w końcu maszerowała już ledwie widoczną nitką ukrytą między krzakami. Z nagłym niepokojem pomyślała, że taką dróżkę mogły wydeptać tylko zwierzęta, i obróciła się za siebie.

Lepiej zawrócę na turystyczny szlak, pomyślała i okręciła się na pięcie. Jednak chociaż szła i szła, nie natrafiała na szerszą dróżkę.

– Zaszłam dalej, niż myślałam – powiedziała i drgnęła, gdy jej głos odbił się od świerkowych pni. Temperatura powietrza podniosła się, a z chmur siąpił drobny deszczyk. I tyle z białych świąt, pomyślała Radecka, trącąc czubkiem buta rozmiękłą grudę. Do rana nic nie zostanie! Jednak to nie topniejący śnieg był w tym momencie jej największym problemem. Kobieta zatrzymała się pod jakimś łysym krzakiem i czujnie rozejrzała na boki. Ledwo widoczna ścieżka, którą szła od pewnego czasu, nagle znikła! Zupełnie jakby wyparowała albo roztopiła się wraz z brudnym, zdeptanym śniegiem!

Lucyna głośno przełknęła ślinę. Las z każdej strony wyglądał tak samo. Chociaż nie... Tam na prawo jest jakby jaśniej. Dostrzegła prześwit między drzewami. Może to polana? A jeśli polana, to z pewnością prowadzi do niej jakaś dróżka.

Radecka zaczerpnęła tchu i rozpoczęła wspinaczkę po dość stromym, zalesionym wzniesieniu. Idąc, rozmyślała, do jakich paskudnych rzeczy skłania ją córka. Gdyby nie Kalina, Lucyna siedziałaby teraz w ciepłutkiej kuchni, smażyła kapustę z grzybami albo nawlekała na żyłkę pierniczki, wyglądając nadejścia Wigilii i spotkania z ukochaną wnusią. Zamiast tego uprawia biegi survivalowe po lesie, szukając zagubionej ścieżki i z niepokojem zerkając w szybko ciemniejące niebo.

I o co tyle krzyku?

O jeden malutki strój renifera? Słodziutki taki? Nie Lucyny wina, że na widok Basi dostaje kociokwiku połączonego ze ślinotokiem. Że natychmiast przed oczyma stają jej różowe falbaniaste sukieneczki z milionem kokardek, słodkie buciki i opaski na włosy z kwiatuśkami. Jeszcze do niedawna podśmiewała się z koleżanek i sąsiadek, które z obłędem w oczach pochylały się nad wózkami, a teraz sama miała ochotę zanurzyć ukochaną wnuczkę w słodką bezę niemowlęcej garderoby!

Jeden kostium, a tyle pretensji.

Mogła lepiej zaszyć ten otwór na ogon...

Rozżalona Radecka szarżowała przez zarośla w kierunku prześwitu między drzewami, ale nie przybliżyła się do niego ani o metr. Gniew pchał ją do przodu, podpowiadał, gdzie stawiać stopy, których krzaków i pni łąpać się zziębniętymi dłońmi. Dotarła do szczytu pagórka i zobaczyła, że dalej wznosi się kolejny. Obróciła się zniechęcona, chciała zatupać ze złości stopami, ale pośliznęła się na roztopionym śniegu, wylądowała z głuchym łoskotem na pośladkach i zaczęła zsuwać się w dół zbocza.

Krzyknęła. Próbowwała wczepić się dłońmi w podłoże, ale zsuwała się i zsuwała, wprost na groźnie majaczący w dole świerk. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak uderza czołem w chropowaty pień, wydając przy tym dziwnie puste „puk”, i pod wpływem tej wizualizacji zaczęła się śmiać. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie, zjeżdżając na sankach, wtarabaniła się w grubą wierzbę i cudem przeżyła tę konfrontację. Dziś sanek nie posiadała, ale miała za to jakieś siedemdziesiąt kilo więcej i kruche kości, na które ostrzyła sobie zęby osteoporoza. Mimo to zaśmiewała się do łez i kiedy jakimś cudem zahaczyła o korzeń i wyhamowała tuż przed świerkowym pnem, zaczęła spazmatycznie łąpać powietrze i ocierać wilgotne policzki. Ale kiedy spróbowała podnieść się na nogi, już nie było jej do śmiechu. Kostka wygięła się pod dziwnym kątem i puchła w oczach. Lucyna nie byłaby w stanie dokuśtykać do pensjonatu, nawet gdyby ten znajdował się za najbliższym zakrętem. Będzie zdana na ludzi, którzy wyruszą jej na ratunek. Tylko czy w ogóle komuś przyjdzie do głowy szukać zagubionej uczestniczki obozu dla miłośników dziergania koronkowych serwetek techniką filet?

Lucyna Radecka głośno przełknęła ślinę i uświadomiła sobie, że życzeniu Kaliny stało się

zadość: zapowiadały się emocjonujące święta! A jak poleży tu trochę dłużej, to i trup się znajdzie...

Kalina

Kalina obrzuciła krótkim spojrzeniem podjeżdżający autokar i przygryzła wargę. Choć sama przed sobą nie chciała tego przyznać, denerwowała się spotkaniem z matką i tym, jak Lucyna zareaguje na spakowaną walizkę. Nastroju nie poprawiał także padający deszcz. Przez ostatnie dni Kalina czuła magię nadchodzącej Gwiazdki i na myśl, że ta zostanie splukana lodowatą mżawką, miała ochotę tupnąć ze złości nogą.

– Przynajmniej jedno święta w roku są białe – mruknęła pod nosem. – Szkoda, że nie te...

W tej samej chwili topniejący śnieg zsunął się po dachu pensjonatu U Mariolki i opadł na trawnik tuż za plecami Kaliny. Radecka-Piórecka podskoczyła w miejscu i przerażona obejrzała się za siebie. Przez chwilę lustrowała wzrokiem świątecznie udekorowaną fasadę budynku (mikołaj z obleśnym uśmiechem wspinający się po sznurkowej drabince), po czym powróciła do obserwowania stopniowo wyludniającego się autokaru. Na parkingu tłoczyli się amatorzy szydełkowania. W radosnym zgiewku wymieniali się opiniami na temat kupionych pod klasztorem dewocjonaliów i skonsumowanych do kawy kremówek papieskich dowiezionych prosto z Wadowic. Kalina zmarszczyła brwi. Autobus opustoszał, kierowca obejrzał się za siebie, jakby sprawdzał, czy żaden zagubiony pasażer nie utknął między siedzeniami, po czym zamknął drzwi i zaczął manewrować potężnym pojazdem. Przepędzeni deszczem i wilgocią uczestnicy wycieczki spieszyli do przytulnego pensjonatu, ale wśród nich nie dostrzegła Lucyny.

Kalina poczuła niepokój.

Złapała za ramię przechodzącą kobietę.

– Przepraszam, czekam na matkę. Lucyna Radecka, kojarzy pani? Taka troszkę przysadzista, kasztanowe włosy...

Zapytana potrząsnęła głową przecząco i stanowczo uwolniła się z uścisku Kaliny. Kolejne zagadywane osoby również nie potrafiły udzielić konkretnych informacji na temat jej matki. Znają ją, oczywiście, była na wycieczce, wsiadała do autokaru, a przynajmniej tak się im wydawało, ale co potem się z nią stało? Radecka-Piórecka poczuła, że zgrzyta z nerwów zębami. Wtedy podeszła do niej niewysoka blondynka i wskazała pobliski zagajnik.

– Pani matka poszła się przewietrzyć. Zemdliło ją...

Kalina poczuła tak wielką ulgę, że miała ochotę uściskać nieznajomą. Zanim usłyszała o zagajniku, w jej głowie zdążyły zagnieździć się potworne myśli. Jak chociażby ta o matce błądzącej po klasztornych piwnicach, załamującej ręce i szepcącej: „Teraz na pewno tęsknicie za świętami z mamusią!”.

Skinęła blondynce głową, przestawiła ciężką walizkę Lucyny pod drzwi, a sama zaczęła się przechadzać po parkingu. Młynek wykorzystał okazję, by oznaczyć po swojemu wszystkie krzaczki, a Kalina rozmyślała o niedawnej rozmowie z Zuzanną. Pograżyła się w myślach do tego stopnia, że nie zauważyła upływającego czasu. Kiedy zreflektowała się, że zapada zmrok, poczuła kolejne ukłucie niepokoju. Zrobiła więc to, co zazwyczaj robiła w sytuacjach kryzysowych: zadzwoniła do Marka.

– Nie ma jej! – wypaliła bez wstępu.

– O czym ty mówisz, hrabianko? Kogo nie ma?

– Matki! Polazła do lasu, nie wiem, po jakiego grzyba, i wcięło ją!

– Jakiego grzyba? Teraz nie ma żadnych grzybów...

– No to mówię, że nie wiem, po co polazła. Na złość pewnie, żeby wpaść do jakiejś jamy i wzbudzić w nas wyrzuty sumienia!

– W nas? – zaśmiał się Marek.

– No dobrze, we mnie! – warknęła Kalina. – I nie uśmiechaj się tym swoim uśmiezkiem zatytułowanym „A nie mówiłem”!

– Ale ja...

– Przecież słyszę! Nie kłóć się ze mną, tylko powiedz, co ja mam zrobić! Przecież te lasy mogą się ciągnąć kilometrami, hektarami!

– Wątpię – odrzekł trzeźwo. – Nie panikuj, to nie Puszcza Kampinowska! Może skręciła nogę i czeka gdzieś na pomoc. Nie dałaby rady odejść daleko. Wiele mogę o niej powiedzieć, ale nie to, że ma dobrą kondycję!

– O, zdziwiłbyś się, kochany! – mruknęła Kalina. – Nie wiedziałeś jej na otwarciu Lidla w Łagiewnikach. Dystans między przystankiem tramwajowym a drzwiami sklepu pokonała w trzydzieści sekund. Po drodze zaliczając podwójne światła i zderzenie ze znakiem drogowym.

– Wróć do pensjonatu i poproś o pomoc. Nie możesz jej szukać sama.

– Dobrze. – Kalina wypuściła z płuc nagromadzone powietrze. – Może Młynek ją wytropi? Po oparach alkoholu na przykład?

– Powodzenia. – Marek zaśmiał się sucho. – Informuj mnie, co się dzieje.

Kalina zakończyła połączenie i pospieszyła do pensjonatu. Pięć minut później naprędce zorganizowana ekipa poszukiwawcza wyruszyła w kierunku dróżki, na której ostatni raz widziano Lucynę. Na przodzie szła Kalina. W jednej ręce ścisnęła uchwyt Młynkowej smyczy, a w drugiej nie wiedzieć po co ostre szydełko.

Waldemar

Waldemar Jurczyk rozparł się w fotelu, przeskakując pilotem po kanałach telewizyjnych. Uczucie zadowolenia, jakie towarzyszyło mu po niedawnym wystąpieniu przed Anną, powoli wypierała irytacja. W tej cholernej telewizji nic nie ma, utyskiwał w myślach. W Wigilię to przynajmniej *Kevina* człowiek obejrzy, a tak to tylko reklamy, reklamy i reklamy! Papka dla bezmózgich bezkręgowców wodząca na pokuszenie i skłaniająca do wydawania ciężko zarobionych pieniędzy. Nie weźmie w tym udziału! Zagniewany Waldemar wcisnął czerwony guzik na pilocie i przez chwilę bezmyślnie wgapił się w czarny ekran. Tylko co tu teraz robić?

Cisza mieszkania, zakłócana jedynie jednostajnym szumem pracującej lodówki, działała mu na nerwy. Może by tak pójść na spacer? Przejść się po kalwaryjskich ulicach, obrzucić spojrzeniem znajome kąty? Być może po raz ostatni, bo kiedy wyjadą już z Anną, nie będzie po co wracać...

Ten argument na nowo wprowadził Jurczyka w dobry nastrój. Mężczyzna narzucił kurtkę, na stopy włożył znoszone trzewiki, a na uszy naciągnął czapkę. Co prawda na dworze temperatura wzrastała, ale Jurczyk nie zamierzał ryzykować. Dobrze wiedział, że aby chorować, trzeba mieć zdrowie i pieniądze. Na wszelki wypadek owinął jeszcze szyję grubym szalikiem i zadowolony przejrzał się w lustrze. Był gotowy do wyjścia.

Kiedy znalazł się na ulicy, mocno pociągnął nosem. Powietrze było wilgotne, a temperatura bardziej przywodziła na myśl przedwiośnie niż grudniowy wieczór. Waldemarowi to nie przeszkadzało. Świąteczny klimat miał za nic, potrafił za to docenić korzyści związane z ociepleniem. Mniejsze wydatki na ogrzewanie, brak soli drogowej wżerającej się w obuwie...

Przypomniał sobie, jak w pierwszych latach po ślubie Anna wklepywała w twarz krem chroniący przed mrozem, i wstrząsnął nim niekontrolowany dreszcz. Na szczęście szybko jej wytłumaczył, że gdyby matka natura uważała, że te kilka stopni poniżej zera szkodzi kobiecej cerze, z pewnością stworzyłaby inną skalę temperatur. W końcu sama była kobietą, czyż nie?

Znacznie mniej odpowiadała mu mżawka. Po kilkudziesięciu metrach nieprzyjemna wilgoć przyłgnęła do jego twarzy i ubrania. Mimo to parł do przodu, kierując się w stronę jednego z kalwaryjskich supermarketów. Chociaż od jego powrotu minęło kilka dni, nie miał dotychczas okazji, aby tu zajrzeć. Teraz wkroczył do ciepłego wnętrza sklepu, nie zauważając przerażonych spojrzeń, jakie wymieniły siedzące w boksach kasjerki. Szybko przeszedł wzdłuż regału ze słodyczami (byle co, na które szkoda pieniędzy) i półek ze zdrową żywnością (wymysły dla nowobogackich), zmierzając w kierunku stoiska z owocami i warzywami. Tam najpierw obrzucił oburzonym spojrzeniem skrzynkę pomidorów malinowych (Dwadzieścia jeden złotych za kilogram? Chyba podkładali pod nie nawóz ze złota), a następnie zadowolony pochylił się nad pudełkiem z przecenionymi bananami. Pospieszenie dokonał obliczeń, uśmiechnął się przebiegle, po czym załadował do jednorazówki nadgniłe owoce, upewniwszy się uprzednio u krzątającej nieopodal pracownicy, że nie doliczą mu za foliówkę ani grosza. Ukontentowany ruszył przed siebie, zatrzymując się przy wybranych półkach, i to kiwając, to kręcąc głową nad cenami oglądanych artykułów, dotarł w końcu do lady z wędlinami.

Tu został zaatakowany przyjaznym uśmiechem przez ekspedientkę (Wszystkimi sposobami próbują złapać klienta, krwio pijcy!) i zachęcony do skorzystania z degustacji wędlin. Waldemar obrzucił podejrzliwym spojrzeniem papierową tackę z cienkimi plasterkami apetycznie pachnącej kiełbasy i z wahaniem sięgnął po wykałaczkę. Wsunął wędlinę do ust, przeżuł, delektując się całkiem dobrym smakiem, i z namysłem spojrzał na tackę. Ekspedientka zachęciła go kolejnym uśmiechem.

– Może spróbuje pan jeszcze szyneczki? – zaproponowała.

– Może – zgodził się łaskawie Waldemar i sięgnął po różowy plasterek. Zaciskając palce na kawałku drewnianka, posłał kobiecie za ladą podejrziwe spojrzenie. – Ale nie trzeba za to płacić?

– Nie trzeba – potwierdziła. – Mamy dziś przedświąteczne degustacje dla klientów. – Konfidencjonalnie zniżyła głos do szeptu, nachylając się w kierunku Jurczyka. – Na pieczywie spróbuje pan weki z mąki bezglutenowej. Podobno zdrowsza, ale szczerze? Dla mnie smakuje jak papier. Co innego szynka, smaczna, soczysta...

– Smaczna – przyznał z ożywieniem Waldemar, oglądając się w kierunku stoiska z pieczywem. Weka z mąki bezglutenowej jakoś go nie nęciła, za to świąteczna wędlina już bardziej.

Tymczasem za Jurczykiem zaczęła formować się kolejka i ekspedientka chrząknęła zakłopotana. Mężczyzna wyciągnął rękę ku wykałacze z kielbasą i zawahał się.

– Na pewno za darmo?

– Na sto procent. – Kobieta zgrzytnęła zębami. Obrzuciła szybkim spojrzeniem zniecierpliwionych klientów i spojrzała wyczekująco na Jurczyka. – Podać coś?

– Woreczek – odparł zadowolony Waldemar.

Odebrawszy z rąk sprzedawczynie kawałek folii, bez ceregieli zawinął weń całą tackę z degustacyjną wędliną i odprowadzany wzrokiem przez osłupiałą ekspedientkę bez dalszej zwłoki pomaszzerował do kasy. Na miejscu oświadczył, że nadpsute banany są za mało przecenione i wysypał kiść owoców na taśmę boksu, aby zademonstrować zatrważającą liczbę czarnych plamek. Był gotów wskazywać poblądłej kasjerce każdą z nich, dopóki nie uzyska satysfakcjonującej go ceny. Pracownica sklepu dobrze знаła Jurczyka i wiedziała, że żadne pertraktacje z tym mężczyzną nie mają najmniejszego sensu, bez szemrania zgodziła się więc na podaną kwotę. Banany i tak najdalej za godzinę wylądowałyby w koszu, a smród awantury urządzonej przez upierdliwego klienta towarzyszyłby im aż do zamknięcia sklepu.

Zadowolony Waldemar opuścił market, ściskając w ręku jednorazówkę z przecenionymi bananami i porcją degustacyjnych wędlin. Zdecydował, że po drodze odwiedzi jeszcze sklep za kościołem. Może i tam natrafi na podobną akcję? To by dopiero było! Napęlić lodówkę na święta zupełnie za darmo!

Mijając Pysię, rzucił okiem w oświetlone drzwi i zamarł. Stanowiąca obiekt jego dumy reklamówka upadła na chodnik z cichym plaśnięciem.

Wytracony z równowagi przylgnął do szyby i zatopił wzrok w siedzącej za stolikiem parze. Kobieta śmiała się serdecznie, odrzucając do tyłu głowę, mężczyzna jedną ręką lekko ścisnął jej dłoń spoczywającą na blacie. Jurczyk przełknął głośno ślinę. Skonstatował, że gdzieś w nim budzi się do życia coś dziwnego. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego, nie znał tego uczucia i wcale mu się ono nie podobało.

Kalina

Akcja poszukiwawcza trwała już od dobrych kilkadziesiąt minut, a Kalina zdążyła się dowiedzieć, kto niedawno zmarł, komu urodziło się dziecko i o czym był ostatni odcinek *M jak Miłość*. Nie miała pojęcia, że ten serial nadal jest emitowany, ale poczuła coś na kształt radości. Pewne rzeczy się nie zmieniają, pomyślała i z większą energią zaczęła szturchać szydełkiem bezlistne zarośla.

– Niech tak pani nie szturcha, bo jak się szanowna mamusia schowała w krzaczkach za potrzebą, to będzie niewesoło... – zauważył jeden z mężczyzn.

Radecka-Piórecka skinęła głową i złapała leżący przy ścieżce kij. W lesie panowały już ciemności, ale kręgi światła pochodzące z trzymanyh przez mężczyzn latarek tańczyły wesoło po dróżce. Mężczyzna, który zabronił Kalinie szturchać szydełkiem, odchrząknął zakłopotany i zagaił:

– Lepiej niech pani szanowną mamusię zawoła.

– Sam niech pan woła szanowną mamusię – zaproponowała pogodnie Kalina. – Bo jeśli usłyszysz mój głos, wpelnie do najciemniejszej jamy...

– O ile ma jeszcze siłę się ruszać! – prychnął idący na przodzie mężczyzna w czerwonej kamizelce.

Kamila zagapiła się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Nooo. – Drugi mężczyzna kiwnął głową. – Nie wiadomo. Mogła wejść do ruin zamku i zlecieć ze skarpy.

– Na łeb na szyję – dopowiedział właściciel czerwonej kurtki. Młoda kobieta przełknęła głośno ślinę i mocniej zacisnęła dłoń na Młynkowej smyczy. Gdzieś z ciemności dobiegło ją krzepiące sapanie zalatujące pochłoniętym na szybcika plasterkiem wiejskiej kiełbasy.

– Głupoty gadacie – sarknął trzeci z mężczyzn, mocno pociągając nosem. Kalina spojrzała na niego z wdzięcznością. I ze współczuciem. To straszne tak przed Wigilią dostać kataru i nie czuć smaku oraz zapachu tych wszystkich wspaniałych potraw. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że ona prawdopodobnie też ich nie poczuje. Ani nawet nie zobaczy! Chyba że odpali Facebooka i przejrzy zdjęcia na profilach znajomych!

Otrząsnęła się z ponurych myśli i przysunęła bliżej trzeciego mężczyzny. Usiłowała spojrzeć mu w twarz.

– Pan nie uważa, że moja matka spadła ze skarpy na łeb na szyję? – dopytywała z rozpaczą w głosie.

Jej rozmówca zaniósł się suchym śmiechem.

– Tego nie powiedziałem! Miałem na myśli, że wcale nie musiała pójść do zamku, żeby zlecieć...

Radecka-Piórecka oklapła jak zbyt szybko wyjęte z piekarnika ciasto biszkoptowe. Noga za nogą wlokła się za wesoło gawędzącymi mężczyznami, pociągając nosem i wspominając cudowne dni spędzone z matką.

Wycieczkę do Częstochowy, na którą Lucyna zapakowała jej reklamówkę kanapek z jajami na twardo. Kiedy rozochocona Kalina zajęła miejsce w autokarze i zabrała się do rozpakowywania drugiego śniadania, po pojeździe poniósł się charakterystyczny smrodek, a zaraz po nim oburzone pytanie nauczycielki, kto zaneczyścił powietrze. Nigdy wcześniej i nigdy później nie udało się Kalinie wytrzymać bez jedzenia siedmiu godzin...

I te pamiętne wakacje w Zakopanem, gdy Lucyna chciała zrobić małej Kalince ładne zdjęcie na tle Tatr, więc postawiła roztrzęsioną dziewczynkę na siedzeniu zaparkowanej na

Gubałówce dorożki. Przystawiając aparat do oka, nie wiedzieć czemu cmoknęła: „No to wio”. Kalina wróciła do Krakowa z obandażowaną głową i zdjęciem Giewontu, na którym jej samej nie było...

A okres po niedoszłym ślubie z Cieplakiem, gdy na przemian pasła ją tortem ślubnym i utyskiwała na wpłacone zaliczki? Doprawdy, Kalina miała wiele powodów, by tęsknić za matką...

Radecka-Piórecka poczuła, jak coś szczypie ją w nosie, i zrozumiała, że jest bliska łez. Czuła narastającą panikę. Była z dala od domu i ukochanej córeczki, za którą potwornie tęskniła, gdzieś w środku ciemnego lasu i niech sobie Marek mówi, że to nie Puszcza Kampinowska! Lucyna powinna czekać przy dróżce, nerwowo przestępując z nogi na nogę, ale nie czekała! Być może zleciała z zamkowej skarpy, być może z innego pagórka, to nieistotne! Ona, Kalina, nie mogła jej znaleźć i... czy w Wigilię działają zakłady pogrzebowe?

Zatrzymała się na szczycie jakiegoś wzniesienia, zacisnęła pięści i krzyknęła:

– Niech cię szlag, mamo!

W tej samej chwili gdzieś w dole zaszeleściły zarośla, a po chwili dobiegł stamtąd lekko drżący głos Lucyny:

– No w końcu! Myślałam, że nikt już po mnie nie przyjdzie!

Kalina wydała z siebie stłumiony okrzyk i wykonała ruch, jakby chciała skoczyć w dół zbocza, ale na szczęście za rękę złapał ją mężczyzna w czerwonej kurtce, który nie wiedzieć skąd zmaterializował się nagle u jej boku. Stała więc tylko i mrużąc oczy, usiłowała cokolwiek dostrzec w ciemnościach przełamanych słabym blaskiem latarek. Po chwili wiedziała już, że Lucynie nic nie jest. Skręcona kostka, pęknięta gumka w spodniach dresowych i urażona duma miały być jedynymi konsekwencjami szusowania po zboczach Lanckorońskiej Góry.

Kalina przywiązała smycz do drzewa i ostrożnie zsunęła się na pupie po kamienistym stoku. Kiedy dotarła do matki, przekonała się, że mężczyźni zajęli się już wszystkim: odpowiednie służby zostały zawiadomione, kostka Lucyny usztywniona, a ona sama popijała gorącą kawę z termosu, szcękając zębami o metalową zakrętkę. Kalinie pozostało przykleknąć przy matce i wziąć ją w ramiona. Trwały tak przez chwilę obojętne na krzątających się wokół mężczyzn.

Kiedy po jakimś czasie uczestnicy akcji poszukiwawczej wracali do pensjonatu, Radecka-Piórecka szła tuż obok noszy, na których umieszczono Lucynę, i ścisła ją za rękę. Myślała, jakie to dziwne i zupełnie pozbawione sensu, że najbliższych docenia się dopiero w chwili zagrożenia. Matka najwyraźniej myślała o tym samym, bo uśmiechnęła się przebiegle i zapytała:

– No, teraz to chyba nie zostawisz starej matki na święta?

– Nie zostawię – przyznała Kalina.

– Bo wiesz, ja na tej stopie to jeszcze długo nie stanę...

– Wiem, wiem. – Córka kiwnęła głową. – Urządzimy takie święta, że mucha nie siada.

Gdzie schowałeś ten kostiumik dla Młynka?

– Chyba w komodzie...

– A złotą gwiazdę?

– Nie jestem pewna. – Radecka zmarszczyła brwi i spojrzała podejrzliwie na idącą obok córkę. – Po co ci to? Zamierzasz ją powiesić?

– Wprost przeciwnie – odparła tamta wesoło. – Jesteś unieruchomiona i potrzebujesz pomocy. I ja chętnie ci pomogę. Posprzątać.

Lucyna wylała z siebie potok pełnych oburzenia słów, dosadnie artykułując, gdzie ma taką pomoc, Kalina jej już jednak nie słuchała. Właśnie wyszli na rześście oświetlony parking, a

ona z niedowierzaniem wpatrywała się w idącą w jej stronę postać. Młynek zaskowytał tęsknie i szarpnął smyczą. Radecka-Piórecka ścisnęła i puściła dłoń matki, a potem biegiem ruszyła przed siebie. Po chwili zatoneła w znajomych ramionach i z całej siły przytuliła do siebie tłumoczek w różowym kombinezonie.

Przed Wigilią

Tego wieczoru mieszkańcy bloku przy ulicy Weissa kładli się do łóżek w poczuciu, że nadchodzi szczególny dzień. Wielu z nich zachowało gdzieś w sobie tę dziecięcą radość życia, która na myśl o zbliżających się świętach delikatnie łaskotała w żołądku jak skrzydła motyla. Oczywiście zdarzało im się głośno narzekać na skumulowane obowiązki i wydatki, ale często za maską szorstkości kryło się ciche zadowolenie z wyjątkowości tych dni. Czasem objawiało się ono zanuconą pod nosem kolędą, czasem ukradkiem pogłaskaną choinkową gałązką, ale zazwyczaj lekceważącym machnięciem ręki i stwierdzeniem: „A niech się dzieci cieszą”.

Budynek pogrążył się w ciszy, jednak nie wszyscy zasnęli spokojnym snem.

W mieszkaniu pod dziesiątką Wacław Malinowski posłał ukradkowe spojrzenie pochrapującej obok żonie, po czym bezszelestnie podniósł się z łóżka i na palcach zakradł się do kuchni. Delikatnie pociągnął ku sobie drzwiczki lodówki i pełnym nadziei spojrzeniem obrzucił jej półki. Na widok dorodnego kawałka boczku oczy mężczyzny zabłyśły, zaraz jednak uświadomił sobie, że to nie uszłoby mu płazem. Zamiast tego szybko zgarnął z półki dwa jajka na twardo i słoik z majonezem, ze stojącego nieopodal chlebaka porwał przyschniętą bułkę grahamkę i zawiąawszy swoje skarby w brzeg bluzy od piżamy, zniknął za drzwiami łazienki.

Również w mieszkaniu pod dziewiątką nie zaznano tej nocy spokojnego snu. Waldemar przewracał się z boku na bok, usiłując wyrzucić z pamięci obraz widzianej w kawiarni pary. W końcu poddał się i zgramolił z pośłania, uderzając przy okazji małym palcem w stojącą obok łóżka walizkę.

W mieszkaniu Kwiatków z bezsennością zmagala się Monika. Najpierw krążyła między małżeńskim pośłaniem a łóżeczkiem synka, następnie przysiadła na podłodze, opierając się plecami o ciepły kaloryfer, i patrzyła na stojącą nieopodal choinkę. Martwiła się, jak będzie wyglądać tegoroczna Wigilia. Czy Mama Kwiatek przemyśli swoje zachowanie i zaakceptuje obecność pani Michalskiej?

Zmęczony Kajetan zasnął, zanim zdążył przyłożyć głowę do poduszki. Spał mocno i spokojnie, tylko od czasu do czasu jego nogi wykonywały dziwny ruch, jakby przed kimś uciekał. Jedno z takich wierzgnięć ostatecznie wybiło ze snu Zuzannę. Choć prawdę mówiąc, Zuza i tak nie mogła spać. Najpierw główkowała, czy wszystko przygotowała jak trzeba, a potem leżała rozmarzona z ramionami splecionymi za głową i dumiała, w jakiej postaci otrzyma wymarzony prezent. Czy Kajtek kupił już bilety i zapakuje je w ozdobne pudełko? A może wręczy jej świnkę skarbonkę z gotówką i powie, by sama wybrała, gdzie chce wyruszyć? Tak, świnka byłaby bardziej romantyczna! – stwierdziła Zuzanna, przeciągając się błogo i tuląc do boku śpiącego męża. Mogłaby zapakować do walizki koronkowe bodystocking i... Gwałtowny wymach łokciem wycelowany wprost w żołądek na moment pozbawił ją tchu. Jęcząca Zuza odwróciła się na drugi bok i zwinęła w kłębek. Po kilku minutach zapadła w lekką drzemkę. Na pograniczu jawy i snu oglądała przystrojoną choinkę, wachała złociste makowce polane połyskliwym lukrem z sokiem ze świeżych cytryn i nakładała czerwoną filcową czapeczkę. Nagle szeroko otworzyła oczy i z mocno bijącym sercem wpatrywała się w ciemność. Przypomniała sobie to, o czym zapomniała! Świąteczne nakrycia głowy, piękne ozdoby, wypchany po brzegi worek. Tyle że brakowało w nim jednego prezentu. Tego najważniejszego.

W mieszkaniu Kamińskich światła paliły się do późna. Marzena i Maciej długo rozmawiali o nadchodzących miesiącach, czyniąc tak naprawdę pierwsze ustalenia dotyczące wspólnego życia. Oboje byli niebywale podnieceni i przekrzykiwali się pomysłami. Od czasu do czasu Marzena przypominała sobie psa pana Kaczkowskiego i parskała śmiechem. Nie, nie

życzyła biednemu zwierzęciu źle, wprost przeciwnie, bardzo tego kundelka lubiła. Ale już sama myśl, że została porównana do dyszącego psa w stanie agonalnym... Kiedy już zamknęła za Maciejem drzwi, ruszyła do pokoju Stasi. Tam długo stała nad łóżkiem dziewczynki, wpatrując się z rozrzwinięciem w jej spokojną twarzyczkę. Hormony, sarknęła w duchu, kiedy pierwsze łzy potoczyły się po policzkach. Sięgnęła do kieszeni i głośno wyczyściła nos, wykorzystując w tym celu znaleziony rachunek telefoniczny.

Pod jedyneką pani Michalska spała mocno, chrapiąc bynajmniej nie jak dama. Prrrrr, fiuuuu, prrrrr, fiuuuu! – niosło się nad wersalką, okrągłym stolikiem z jednym tapicerowanym krzesłem, ustawionymi równiutko pod lustrem w przedpokoju kozakami na grubej podeszwie i nad dziesiątkami apetycznie pachnących pierniczków rozłożonych na kuchennym blacie. Pierniczków z cukrem i glutenem, jak Bóg przykazał.

Ta noc była ciemna i ponura. Księżyc skrył się za skłębionymi chmurami. Mroku nie rozjaśniał nawet otulający wszystko śnieg, który pod wpływem rosnącej temperatury zmieniał się w strumyczki leniwie ciurkającej wody. Czapa śniegu pokrywająca gałązkę niedużej jodełki rosnącej pod kalwaryjskim blokiem zsunęła się na ziemię z głuchym pacnięciem.

Budynek przy ulicy Weissa zatonął w ciemnościach. Przycupnięta pod parkanem postać jakby tylko na to czekała. Wybiegła z cienia i przecięła pokryty mokrym śniegiem trawnik, a następnie przyłgnęła do chropowatego pnia. Błysnęło ostrze, jodełka złamała się z bolesnym trzaskiem. Pochylony nad choinką intruz niespokojnie rozejrzał się naokoło, ale hałas nie dotarł do uszu pogrążonych w śnie mieszkańców bloku. Teraz wystarczyło złapać za pień i pociągnąć drzewko między budynki i dalej, do miasta.

Ponura noc dobiegła końca, ustępując miejsca równie ponuremu porankowi. Mieszkańcy bloku budzili się powoli. Parzyli poranną kawę, odczuwając radosne podekscytowanie na myśl o czekającym ich wieczorze i planując prace, które musieli jeszcze wykonać. Na kuchenkach gazowych i elektrycznych stawiali garnki ze smakowicie pachnącym barszczem z grzybami i moczonym całą noc jaśkiem. Od czasu do czasu zerkali w okno, pomstując na pogodę i znikający w szybkim tempie śnieg. Tam, gdzie dotychczas nie ubrano choinki, sięgano teraz do schowków po przykurzone pudła z kolorowymi bańkami i szeleszczącymi łańcuchami, machano gąbkami nad plastikowymi gałązkami, kichając w oparach kurzu i miętowego ludwika. Gdzieniedzie uchylano drzwiczki lodówki, przełykano gromadzącą się w ustach ślinkę i uciekano w panice, słysząc złowieszcze: „Zostaw, to na święta!”.

Pani Michalska naciągnęła na uszy bordową czapkę i nucąc wesoło, pchnęła drzwi wyjściowe. Zatrzymała się na chodniku przed klatką, mierząc spojrzeniem cienką warstewkę topniejącego lodu i zastanawiając się, czy powinna wyjąć szufłę. Nagle podniosła wzrok i zamarła. W piersi poczuła bolesne ukłucie, które zaraz wyparł palący gniew. Tupnęła stopą obutą w kozak na grubej podeszwie i zaklęła głośno.

Mieszkańcy bloku, których okna wychodziły na podwórko, odsuwali firanki i spoglądali na nią, jak miota się wściekle po zdeptanym trawniku i wyklina.

– I niech ci pień w dupie wyrośnie! – wykrzykiwała.

Całkiem się biedacze w głowie poprzewracało, kiwali głowami zgnębieni. A potem podążali wzrokiem za niedużą postacią w bordowej czapce i z wrażenia aż tracili dech. Jeszcze nigdy podwórko przed blokiem przy ulicy Weissa nie było tak ponure i smutne. Kawalek lichego trawnika znaczyły łaty brudnego, na w pół roztopionego śniegu, a w jego centralnej części oskarżycielsko sterczał roztrzaskany pień po jodełce.

Zuzanna

Zuza wypadła z mieszkania, jak stała – w szlafroku i kapciach. Gdzieś między pierwszym piętrem a parterem zgubiła lewy pantofel i podskakując na jednej nodze, musiała zawrócić, aby go poszukać. Na podwórko dotarła zasapana i zgnębiona. Przez chwilę wstrząśnięta wpatrywała się w pozostałości po jodełce, a potem delikatnie położyła dłoń na ramieniu zgarbionej staruszki. Pani Michalska obrzuciła ją krótkim spojrzeniem. Oczy miała lekko zaczerwienione, ale wzrok twardy.

– To jakaś nowa moda czy do reszty zdurniałas? – sarknęła. – A może dawno nie miałaś zapalenia płuc?

Zuza wzruszyła ramionami. Chciała powiedzieć, że miała ważniejsze sprawy niż szukanie czystych majtek, ale coś ścisnęło jej gardło. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Dopiero po chwili odchrząknęła i wychrypiała:

– To straszne! Taka ładna choinka!

– Jak kulawy zajac! – odrzekła staruszka.

Zuza straciła rezon. Nie tego się spodziewała.

– Taka soczyście zielona – spróbowała ponownie.

– Ofajdana przez gołębie.

– Nooo tak – przyznała niechętnie Zuzanna. – Może od czasu do czasu, ale przecież nadawała naszemu podwórku świeżości. I to przez cały rok. Trudno się pogodzić z taką zbrodnią...

– Trudno to się załatwić po gorzkiej czekoladzie – zripostowała pani Michalska. Zuza zamarła, wpatrując się w dozorczynię z uchylonymi ustami, aż ta upomniała ją z krzywym uśmiechem. – Mucha ci wpadnie. Jest tak ciepło, że na pewno jakaś cholera nie śpi.

Zuza posłusznie zamknęła usta i bez słowa stała u boku pani Michalskiej. Zrozumiała, że wbijając słowne szpilki, staruszka broni się przed własnymi uczuciami. Strata jodełki musiała ją zboleć, jednak nie chciała pocieszenia i zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Pewnych rzeczy nie można odwrócić. Choinka zniknęła i już nie zaszumi, nie okryje trawnika cieniem wątlých gałązek... Zuzanna poczuła, jak wilgotnieją jej oczy, i chlipnęła.

Pani Michalska wpatrywała się w pień jodełki zamyślona. Słyszając chlipanie młodej kobiety, odwróciła się zirytowana.

– No i czego beczysz? Takie jest życie! W jeden dzień stoisz prosto, choć gołąb sra ci nad głowę, a w drugi ktoś powala cię na ziemię i niszczy!

Zuza przełknęła ślinę, nie wiedząc, czy pani Michalska mówi o nieszczęsnym drzewku, czy o całym ludzkim gatunku. Słowa staruszki bynajmniej jej nie uspokoiły i po chwili rozsłochała się na dobre. To do końca zirytowało dozorczynię, która machnęła na nią rękę, obrzuciła ostatnim spojrzeniem strzaskany pień, otarła nos rękawem kurtki i uczyniła ruch, jakby zamierzała odejść. W ostatniej chwili klepnęła zapłakaną kobietę w ramię.

– Zawsze znajdzie się ktoś, komu przeszkadza, że ludzie robią coś dobrego. Zabolęła kogoś nasza jodełka, oj, zabolęła – mruknęła i głos nieznacznie się jej załamał.

– Mieliśmy się dzisiaj spotkać... – załkała Zuza. – Ugotowałam kompot!

– I spotkamy się – prychnęła pani Michalska. – Byle łamaga z toporkiem nas nie powstrzyma.

– Ale już nie będzie ładnie. – Młoda kobieta się skrzywiła. – No jak śpiewać kolędy nad... tym! – Z furią wskazała pień.

– Ważne, że razem! Nie musi być ładnie! – rzuciła na odchodnym starsza pani.

Zuzanna absolutnie się z nią nie zgadzała.

– Ależ musi! Przecież ja kupiłam piękne ozdoby! I nowe światełka. I jak mamy wręczyć te wszystkie prezenty, skoro nie ma choinki? Mam je położyć pod... pod... – rozgorączkowana rozglądała się po podwórku – ...pod trzepakiem?

Pani Michalska zawróciła i podeszła do Zuzy tak blisko, że niemal stykały się nosami.

– Dziwne, że nie martwisz się, jak połamiemy się opłatkiem!

– Noo... – Zuza przełknęła ślinę, uciekając wzrokiem gdzieś w bok. – Bo my...

– Bo wy – wykrzyknęła wzburzona pani Michalska – w ogóle nie rozumiałyście, o co w tym wszystkim chodzi! Naprawdę widzisz tylko kolorową otoczkę? Prezenty? Brokat i kokardy?

Wstrząśnięta Zuzanna wolno pokręciła głową, ale jej mina mówiła zupełnie coś innego. Pani Michalska westchnęła. Bez słowa ruszyła w kierunku wejścia do bloku. Po drodze zdjęła z głowy bordową czapkę i wcisnęła do kieszeni kurtki. Kobieta odprowadzała ją wzrokiem, mocno obejmując się ramionami, ale nie podążyła za starszą panią. Zamiast tego dotknęła czubkiem przemoczonego pantofla pnia po jodełce. W ustach czuła nieprzyjemną gorycz.

Monika, Marzena, Anna i Zuzanna

Cztery sąsiadki spotkały się w mieszkaniu Anny Jurczyk. Co prawda Zuzanna uważała, że spotkanie powinno odbyć się w Blokowym Centrum Dowodzenia, czyli w jej własnej kuchni, ale Anna właśnie smażyła rybę i nawet nie chciała słyszeć o porzuceniu patelni i drewnianej szpatułki. Zuza skapitulowała. Argument przypalanej panierki trafiał nawet do niej.

Po wejściu do mieszkania Jurczyków mocno pociągnęła nosem.

– Cóż to za osobliwy zapach?

– Zuza! – syknęła na nią Monika.

– No co? Przecież nie powiedziałam, że śmierdzi!

– To skarpetki Waldemara – oznajmiła Anna, ocierając dłonie w kraciasty fartuszek i groźnie łypiąc w kierunku zamkniętych drzwi, za którymi ukrył się jej jeszcze-mąż. – Wychodzi z założenia, że skoro nosi czarne i brudu na nich nie widać, to są czyste. Codziennie wieczorem zdejmuję je i zostawia na półce z butami. Wietrzy.

– Wietrzy – powtórzyła oszołomiona Zuzanna, rozglądając się na boki. – Jak długo?

– Aż będą na tyle sztywne, by stać bez podpierania.

Zuza wybałuszyła oczy na gospodynię.

– Ale tutaj nie ma żadnych skarpet...

– Bo już je ubrał. – Anna wzruszyła ramionami. Nagle wyraźnie się zniecierpliwiła. –

Wiesz, ja marzę o dziecku i o tym, że będę zmieniać mu skarpetki. Ale nie o czterdziestoletnim...

– Nagle rozchmurzyła się i spojrzała na przyjaciółki z łobuzerskim błyskiem w oku. – Poza tym nie myślcie, że nie walczę z nawykami Waldemara! Sprzątać wietrzących się skarpet, ani tym bardziej prać, nie zamierzam! Ale nie dalej jak trzy dni temu nalałam do jednej ketchupu. Skoro nie było go widać, to jakby go nie było, prawda? – zachichotała.

– Mam nadzieję, że Waldemar miał pokierszowane stopy, a ketchup był pikantny! – zawołała Zuza.

Marzena zachichotała, a Anna puściła oko.

– Chyba nie myślisz, skarbie, że w naszym domu kupuje się Tortexa? To domowy sos pomidorowy, z dodatkiem ostrych papryczek...

Po wyczerpaniu tematu skarpet Waldemara cztery przyjaciółki udały się do kuchni. Nadeszła pora, by poruszyć temat będący powodem tego zgromadzenia i elektryzujący wszystkich mieszkańców bloku. Zuza nie traciła czasu.

– Kto mógł dopuścić się takiej zbrodni? – wykrzyknęła po raz drugi tego dnia. Czy raczej dziesiąty, bo zanim zjawiała się w mieszkaniu Jurczyków, to samo pytanie tym samym wzburzonym tonem wykrzykiwała u siebie, przyprowadzając zestresowanego Kajetana o szybsze bicie serca.

– Nie mam pojęcia. – Marzena pokręciła głową.

Monika przygryzła wargę. Miała swoje podejrzenia i bynajmniej nie była nimi zachwycona. Zanim jednak zdążyła wtrącić choć słowo, Zuzanna bezceremonialnie jej przerwała:

– Ale chyba tego tak nie zostawimy?

– Co możemy zrobić? – prychnęła Anna, rzucając na patelnię kawałek ryby. Po kuchni rozszedł się przyjemny zapach przyrumienionej panierki.

– Znaleźć sprawcę. To chyba oczywiste! – zaciętrzewiła się Zuzanna.

– Jak chcesz tego dokonać? – zakpiła Marzena. – Będziesz chodzić od domu do domu i sprawdzać paragony na żywe choinki?

– Jeśli trzeba będzie. Ale chyba mam lepszy pomysł!
– Nawet jeśli znajdziemy sprawcę... nic nam to nie da! Nie odzyskamy naszej jodełki. –
Głos Marzeny zadrżał.

– Ale ukażemy tego szubrawca! – zawołała z pasją Zuza. – Osobiście poleję gada wrzącym olejem! Takie piękne plany mieliśmy na wieczór! Spotkanie z sąsiadami, kolędowanie pod jodełką, podar... podany kompot, znaczy. To chyba normalne, że jesteśmy wściekłe i chcemy sprawiedliwości!

Monika i Anna milczały. Gospodyni tak energicznie przewracała rybę, że z tej posypała się panierka. W końcu zniecierpliwionym ruchem wrzuciła blady kawałek do rondla i zgasiła płomień pod patelnią. Zuza chrząknęła.

– Nie uważasz, że przydałoby się najpierw ją usmażyć?

– Dojdzie w piekarniku. Poza tym Waldek wszystko zje, byle się nie zmarnowało. – Anna machnęła ręką, zdjęła fartuszek i cisnęła nim w stronę parapetu, gdzie zawisł na wiązance przyschniętych róż. Przysiadła na taborecie i utkwiała wzrok w splecionych dłoniach. Tymczasem Zuza zaczerpnęła mocno tchu, gotując się do dalszej emocjonującej przemowy.

– Przygotowywałyśmy się do tego wieczoru od miesiący. Mamy z tego zrezygnować tylko dlatego, że jakiemuś ciulкови zamarzyło się pomachać siekierą?

– Albo ciulce... – szepnęła cichutko Monika.

Zuza zamarła w pół zamaszystego wymachu ręką i wybałuszyła na sąsiadkę oczy.

– Proszę?

– Nie jest powiedziane, że zrobił to mężczyzna.

W tej samej chwili zza stołu poderwała się Anna. Dopadła kuchennych drzwi, przytknęła do nich ucho, a następnie spojrzała na przyjaciółki zgaszonym wzrokiem.

– Ja się obawiam, że to...

– Moja teściowa. – Monika smętnie skinęła głową.

– ...Waldemar – dokończyła Anna.

Zuzanna i Marzena spojrzały na siebie niepewnie. Z charakterystyczną dla siebie energią ta pierwsza zerwała się z krzesła i zamachała rękami.

– Zaraz, zaraz. Mieliśmy tylko jedną jodełkę, jakim cudem sklonowali się nam sprawcy?

– Może byli w zмовie? – podsunęła Kamińska.

– To moja wina. – Monika westchnęła. – Nadepnęłam mamie Kwiatek na odcisk...

– Nie, to nie ona. – Zuza potrząsnęła głową i odwróciła się w stronę Anny. – Nie wierzę, że kobieta byłaby do tego zdolna. Zostaje nam Waldemar. Gdzie masz olej?

– Czekaj, czekaj, nie wiesz wszystkiego! – Monika złapała Zuzę za rękę. – Nie wiesz, na co stać matkę Jakuba!

I pokrótce opowiedziała przyjaciółkom, jak przyłapała mamę Kwiatek na wprowadzaniu własnych porządków na klatce schodowej. Zuza przysłuchiwała się temu ze sceptycyzmem.

– Pamiętam to spotkanie – wtrąciła Anna. – Co prawda zdziwiła mnie obecność twojej teściowej, ale sądziłam, że to ty ją przysłałaś! Owszem, według niej pani Michalska potrzebuje pomocy. Nawet sama chciałam pomagać, ale szczerze mówiąc, miałam inne rzeczy na głowie i...

– Ja też – dodała szybko Marzena.

– No, ale to przecież bardzo ładnie, że chce pomagać? – Zuza zmarszczyła brwi.

– Pomagać? – Monika zaśmiała się sucho. – Ona wcale nie chce pomagać! Nie rozumiecie tego? Chce udowodnić mieszkańcom bloku, że pani Michalska jest zniedołężniała, i odsunąć ją na boczny tor! Staruszka nie ma rodziny, całe dnie siedzi sama w czterech ścianach mieszkania, sensem jej życia jest dbanie o nas i nasz dom. Co się stanie, jeśli to straci?

Zapadło milczenie. Ciszę przerwała Marzena.

– W takim razie mamy dwójkę podejrzanych, zero dowodów i absolutny brak czasu na prowadzenie śledztwa. – Zuza zerwała się z taboretu z uniesioną ręką, ale Kamińska zgromiła ją wzrokiem i wycedziła: – Nie, Zuza, nie będziemy łązić w Wigilię po domach i rozliczać ludzi z choinek!

Zuzanna wyglądała na rozczarowaną, ale jej twarz szybko się rozjaśniła. Niemal podskoczyła na krześle.

– Wiem, wiem! Powierzmy tę sprawę specjaliście!

– Specjaliście? – Przyjaciółki spojrzały na nią z niedowierzaniem.

– Detektywowi – uściśliła zadowolona.

– Oj, Zuza, Zuza! – Marzena pokręciła głową z pobłażliwym uśmiechem. – Chyba nie myślisz, że jakikolwiek detektyw zajmie się naszą sprawą w Wigilię!

– Normalny nie. – Zuzanna wyszczerzyła zęby. – Ale my nie zatrudnimy normalnego detektywa, tylko Kalinę Radecką-Piórecką!

Kalina

Dobrze byłoby, gdyby wszystko wróciło do normy, pomyślała Kalina. Młoda kobieta ułożyła się na brzuchu w poprzek łóżka i z miłością spojrzała na zarumienione snem policzki córeczki. Zwinięty w rogalik Młynek posapywał u boku dziewczynki. Kalinę niezmiennie wzruszał widok wielkiego, kudłatego psiska przy niepozornej, malutkiej Basi. Nie należała do matek, które na widok psiego włosa dostają palpacji serca i łapią za butelkę ze środkiem dezynfekującym. Ku przerażeniu Marka wywiesiła kiedyś na drzwiach mieszkania tabliczkę z napisem: „W tym domu kawę podajemy z mlekiem, cukrem i psim futrem”.

Do legendy przeszła również jej słowna utarczka z matką, która w filiżance znalazła maleńkiego ciemnego włoska i ostentacyjnie położyła go na spodeczku.

– Znalazłam ciemnego włoska! – mruknęła oskarżycielsko.

– Pij czarną kawę, nie będzie widać – poradziła jej z życzliwym uśmiechem córka.

Dzwonek telefonu oderwał Kalinę od wspomnień. Złapała komórkę i wyszła za drzwi, aby nie zbudzić dziewczynki. Nie zdziwiła się, słysząc Zuzannę, była bowiem przekonana, że jej była klientka, a obecnie przyjaciółka, dzwoni z życzeniami świątecznymi.

– Zaginiona jodełka? – zdumiała się. – Mam odszukać choinkę?

– Nie byle jaką choinkę! – obruszyła się rozmówczyni. – Chodzi o naszą podwórkową jodełkę, która została haniebnie ścięta i skradziona. Zależy mi na odnalezieniu sprawcy, mam zamiar zająć się nim osobiście – uzupełniła takim tonem, że Radecka-Piórecka poczuła dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

– Hmm, no nie wiem, jest Wigilia...

– No właśnie! – przyznała Zuza. – A jak tu obchodzić Wigilię bez choinki? Pomyślałam, że skoro jesteś w okolicy...

– Zobaczę, co da się zrobić – odparła niezobowiązująco Kalina. – Bo, szczerze mówiąc, mamy tu mały armagedon... – I opowiedziała Zuzannie o leśnej przechadzce Lucyny, która zakończyła się twardym lądowaniem u stóp pagórka i uszkodzoną kostką. – Odmówiła hospitalizacji, więc lekarz kazał jej leżeć plackiem co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Jesteśmy świątecznie uziemieni w Lanckoronie!

– Więc sama widzisz, jak się pięknie składa...

– No właśnie, nic się nie składa! Myślałam, że najgorsze, co może mnie spotkać, to Wigilia w domu rodziców, ale wpadłam z deszczu pod rynnę. Skaczę przy matce z bandażem elastycznym i próbuję ją przekonać, że siusianie do basenu nie jest poniżej jej godności. Poza tym na wieść o konieczności leżenia matka zdecydowała, że zjemy skromną rodzinną Wigilię w jej pokoju i zmusiła ojca do przytransportowania pierogów, krokietów, uszek, ryb, sałatek, pierniczków i nawet nie chcę wiedzieć, czego jeszcze. Powiedz mi – zażądała nagle Kalina – kiedy ona to wszystko przygotowała?

– Och, dobra organizacja czyni cuda – zaćwierkała Zuzanna. – Przynajmniej zjesz coś porządnego...

– No niby tak. O ile wcześniej nie wyzionę ducha. Uwierz mi, właścicielka pensjonatu nie jest zachwycona tym, że rarytasy matki zajęły jej siedem ósmych lodówki, i chodzi za mną z żądzą mordy w oczach...

– Przesadzasz – uznała Zuzanna.

– Wcale nie. Nie dalej jak godzinę temu weszła za mną do schowka na miotły z uniesionymi nożyczkami...

– Może chciała ci przyciąć jakąś wystającą nitkę. Błagam, pomóż nam znaleźć tego

zwyrodnialca! Jeśli nie dziś, to może po świętach? Przecież ktoś musiał coś widzieć? Choinka to nie pomidor, który można schować do kieszeni!

– I nie pomarańcza, którą można wsunąć za stanik! – zarechotała Kalina. Zaraz jednak spoważniała. – Zobaczą, co da się zrobić...

Po skończonej rozmowie Kalina czujnie rozejrzała się na boki i widząc, że w zasięgu wzroku nie ma właścicielki pensjonatu, przemknęła korytarzem do pokoju matki. Lucyna, niczym angielska królowa, spoczywała pośrodku łóżka w otoczeniu kolorowych poduszek.

– Napiałabym się kawy – burknęła na widok córki.

Kalina sięgnęła po stojący na stoliku kubek i zmarszczyła brwi.

– Przecież tu masz pół kubka kawy...

– Ostygła. Poza tym była niedobra.

– A nowa będzie dobra? – Córka zgrzytnęła zębami.

– No przecież się nie dowiem, jeśli mi nie zrobisz.

Kalina zdusiła w sobie impuls rzucenia ceramicznym naczyniem w kierunku łóżka i przywołała na usta miły uśmiech.

– Nie powinnaś pić tyle kawy, dostałaś silne tabletki przeciwbólowe.

– Wątpię – jęknęła Lucyna, demonstracyjnie łapiąc się za kolano. – Strasznie boli...

– Nie stłukłaś kolana – stwierdziła sucho córka.

– A za co mam się złapać? Przecież dalej nie sięgnę!

– Dostaniesz kawę, kiedy pójdę przygotowywać mleko dla Basieńki. Nie ma potrzeby plątać się ludziom pod nogami. Wigilia jest, wiesz, ile mają pracy?

– Dobrze wiem, ile pracy wymaga przygotowanie wieczerzy wigilijnej. Nie musisz mnie uświadamiać. Chcę do łazienki.

– Dam ci basen.

Lucyna prychnęła i wojowniczo splotła ramiona na piersi.

– Gdybym chciała korzystać z basenu, kupiłabym sobie karnet na Koronę!

– Nie wolno ci wstawać.

– W takim razie sikać też nie będę!

– Siłą na nocnik cię nie posadzę – stwierdziła Kalina. – Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Daj mi gazetę!

Kalina podeszła do stojącego pod oknem stolika i zgarnęła kupkę kolorowych czasopism. Położyła je na kocu, w zasięgu ręki matki. Lucyna tylko rzuciła na nie okiem.

– Nie tę! Ta publikuje tylko żywoty świętych!

– Świętą to za chwilę ja zostanę – mruknęła Kalina, grzebiąc w torbie matki. Szukała zawzięcie plotkarskich pisemek odsłaniających życie gwiazd kina, sceny i telewizji. – Czy wiesz, jakie zasoby cierpliwości trzeba przy tobie uruchomić?

– Nie prosiłam się o złamaną kostkę!

– Po pierwsze, ja też cię nie prosiłam o złamaną kostkę. A po drugie, nie jest złamana. Jest zwichnięta!

– A bo niby ten lekarz się zna! Chyba sama wiem lepiej, co mam zwichnięte!

– Najpewniej psychikę i mam nadzieję, że nie jest to dziedziczne! – wymamrotała Kalina.

Lucyna zmarszczyła brwi. Nie dosłyszała, co mówiła córka, i wcale jej się to nie spodobało. Naburmuszona przerzucała czasopisma, odrzucając wszystkie „Party”, „Gale” i „Gwiazdy”. Ostentacyjnie rozłożyła numer „Ludzi i Wiary”.

– To bez sensu, że muszę tu leżeć! Jak gdyby nie można było załatwić transportu sanitarnego i zawieźć mnie do Krakowa! – burknęła znad wymiętoszonego pisemka.

Kalina skinęła głową.

– Może i by się dało. Gdybyś nie zwyzywała załogi karetki od konowałów i łowców narzędów...

– Zachowywali się podejrzanie! Jeden łaskotał mnie pod brodą!

– Sprawdzał węzły chłonne!

– Nucił przy tym *Kici kici miał!*

– Kiepski gust muzyczny nie czyni z niego psychopaty! Przypominam ci, że sama uczysz Basieńkę *Moja mała blondyneczko!*

Wymianę zdań przerwało szczęknięcie klamki i skrzypienie otwieranych drzwi. W pokoju pojawił się Marek. Lucyna natychmiast zarzuciła go pretensjami, dlaczego nie przyniósł jej ukochanej wnusi, za którą ona potwornie się stęskniła. Kalina posłała mężowi współczujące spojrzenie i sięgnęła po przewieszoną przez oparcie kurtkę. Mężczyzna uniósł pytająco brwi, a zaskoczona matka zaniemówiła w pół słowa.

– Gdzie się wybierasz? – zapytali jednocześnie.

Kalina uśmiechnęła się słabo.

– Bardzo was przepraszam, ale właśnie mi się przypomniało, że muszę coś załatwić.

Wróć raz-dwa!

I zanim zdążyli zareagować, zniknęła za drzwiami.

Kajetan

Kajetan wykorzystał chwilę, gdy jego żona wyszła do Jurczyków, i wygrzebał z bębna pralki automatycznej reklamówkę z kostiumem Pana Rybki. Miał szczęście, bo ogarnięta szalem po wycięciu jodełki Zuza nawet nie zainteresowała się zawartością kosza na brudną bieliznę. Kajtek odetchnął z ulgą. Będzie mógł kontynuować swój osobliwy proceder. Przed wyjściem z mieszkania zamknął się w łazience i dokładanie przeliczył zarobione na zdjęciach piątki. Zadowolony skinął głową. Było lepiej, niż się spodziewał. Pewnie, że nie zarobi na cały dług u Milewskiego, ale zmianę zakończy bogatszy o kilka stówek!

Kajtek krzyknął do pochłoniętej grą na komputerze córki, że musi załatwić jakąś sprawę, i wyszedł z mieszkania. Na podwórku zatrzymał się na krótką chwilę i pokręcił głową nad strzaskanym pnem jodełki. Żał mu było tego drzewka. Przecież wrosło w krajobraz kalwaryjskiego podwórka! Współczuł także tajemniczemu osobnikowi, który podniósł na nie siekiere. Zuzanna nie będzie miała dla niego litości, pomyślał, i kręcąc głową, ruszył w stronę miasta.

Pochłonięty obowiązkami, szybko zapomniał o jodełce. Interes kręcił się w najlepsze. Handlarz sprzedawał kilogramy ryb, a Kajetan pozował do zdjęć z kolejnymi uśmiechniętymi dzieciakami. Część maluchów odczuwała strach na widok jego kostiumu i wzbraniała się przed podejściem rękami i nogami, ale rodzice bywali nieugięci.

– No chodź, głuptasku! Czego się boisz? Zrób sobie zdjęcie z Panem Rybką! Mama wrzuci na Instagram!

Kajetanowi zabrakłoby palców rąk i nóg, aby policzyć, ile razy został opluty, skopany po kostkach i uszczypany. Jeden z rezolutnych pięcioletków wiedział, gdzie grzmotnąć, by naprawdę zabolalo. Po tym ciosie zamroczony Kajetan przysiadł na ławce. Tam zastała go pani Michalska.

– Kajetanie Fijusie, co ty wyprawiasz? – wybełkotała zszokowana.

Kajtek otarł zażawione oczy i na powrót wciągnął głowę karpia.

– Walczę o oddech – odparł z godnością.

Starsza pani opadła na ławkę z głośnym stęknięciem. Bez słowa przyglądała się pluszowej postaci. Oględziny najwyraźniej przebiegły po jej myśli, bo pokręciła głową z lekkim uśmiechem. Poklepała Kajetana po prawej pletwie.

– W coś ty się znowu wpakował, hę?

– A to już nie można sobie w kostiumie ryby pogonić po mieście? – zachnął się Kajtek.

– Można, można. To nawet zabawne na swój sposób. Myślę, że twoja żona też chętnie się pośmieje – sarknęła pani Michalska.

– Nie powie jej pani! – Mężczyzna pod pluszowym łbem pobrał gwałtownie.

– Dlaczego miałabym nie mówić? – zdziwiła się sąsiadka z parteru. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że ona nie wie? – Posłała mu figlarne spojrzenie.

– Może wie, a może nie wie – burknął Kajetan.

– Hmm, coś mi tu śmierdzi tajemnicą i jeśli nie chcesz, by zainteresowała się nią twoja żona, natychmiast mi powiesz, o co chodzi!

– Jest pani gorsza od pitbulla! – warknął Fijus.

– No, no, tylko bez pochlebstw! Już nie pamiętasz, jak w ubiegłym roku pomagałam ci ratować małżeństwo?

– Pamiętam! W efekcie posądzono mnie o romans ze staruszką i obśmiano moje ulubione bokserki.

– O gustach podobno się nie dyskutuje, ale twoje bokserki naprawdę na to zasłużyły. Więc jak? Ty powiesz mnie czy ja powiem Zuzannie?

– Dobra, już mówię! Nie mam wyjścia, co?

– Nie masz – przyznała z uśmiechem pani Michalska.

I Kajtek zaczął opowiadać. O Milewskim juniorze i jego nietuzinkowej aparycji, o zdefraudowanych pieniądzach i wściekłości Milewskiego seniora. Uśmiech pani Michalskiej stopniowo bladł, aż w końcu całkiem wyparował. Zostały zmarszczone brwi pod otokiem bordowej czapki i pełne niedowierzania spojrzenie.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– A co by mi to dało? – rozżalił się Kajetan. – Popełniłem błąd i muszę za to zapłacić!

– Twoja lojalność wobec firmy jest godna podziwu, ale poza tym bęcwał z ciebie! – palnęła dozorczyni.

– Że co? – Fijus osłupiał. Spodziewał się raczej współczucia, a tu co? Epitetem go?

– Bęcwał – powtórzyła starsza pani, dla podkreślenia wagi swych słów tupiąc stopą w kozaku na grubej podeszwie – żeby dosadniej nie powiedzieć! Oczywiście nie przyznałeś się Zuzannie?

– Oczywiście – prychnął Kajtek.

– W małżeństwie problemy rozwiązuje się wspólnie! A brak szczerzej rozmowy wprowadza tylko zamęt! Nie pojąłeś tego swoim małym mózdzkiem po ubiegłorocznej akcji?

– Małym mózdzkiem? – Do Kajetana dotarło tylko to, że pani Michalska kwestionuje jego inteligencję. Zdenerwowany podniósł się z ławki. – Przepraszam, ale nie mam czasu na pogawędki. Muszę pracować!

– Spływaj – zachichotała pani Michalska, ale kiedy urażony Fijus odwrócił się na pięcie, ponownie go przywołała i pogroziła sękatym palcem. – Porozmawiaj z Zuzanną! A sprawa z Milewskim jakoś się rozwiąże!

Kajtek skinął głową, naciągnął mocniej głowę karpia i ruszył w stronę ulicy 3 Maja. Pani Michalska przez chwilę siedziała na ławce, odprowadzając go wzrokiem, a potem niezgrabnie podniosła się z siedziska i podreptała w swoją stronę.

Monika

Monika Kwiatek nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie cieszyła jej ani pięknie przystrojona choinka, ani lśniące nowością formy do pieczenia kupione w miejscowym sklepie AGD, ani pachnąca tarta z jabłkami, którą przed momentem wydobyła z piekarnika, ani nawet stolnica starannie sklejonych pierogów z kapuściano-grzybowym farszem. Próbowała bawić się z synkiem, czytać książkę przyniesioną od Zuzanny, a kiedy to nie pomogło, zaczęła parować skarpetki z wczorajszego prania. Wszystko na nic. Myśl o zniszczonej jodelce uparcie do niej powracała i uwierała gdzieś od środka.

Podjęcie, że za ścięciem choinki stoi mama Kwiatek, zagnieździło się w jej świadomości i pęczniało. Koło południa Monika stwierdziła, że nie ma innego wytłumaczenia. Dziewczyny mogły sobie mówić, co chciały: że kobieta, że starsza, że nie ta siła. Ona dobrze знаła matkę Jakuba i wiedziała, że ta byłaby w stanie jedną ręką podnieść wagon kolejowy, byle zrobić wrażenie na ukochanym synku.

A skoro za unicestwienie jodelki odpowiadała mama Kwiatek, Monika również poczuwała się do odpowiedzialności. To był akt zemsty, wymierzony w nią i w panią Michalską. Zemsty odrzuconej kobiety, która chciała być pępkiem świata i nie zawahała się knuć intryg, by zająć należne jej miejsce. Zdemaskowana podkuliła na jakiś czas ogon, ale nie złożyła broni. A tej z całą pewnością w małym domku pod miastem nie brakowało. Monika osobiście widziała w obejściu siekierki, toporki, tasaki i inne narzędzia przyprawiające ją o suchość w ustach i szybsze bicie serca.

Choinka musi tam być, dumiała. No, chyba że porzuciła ją gdzieś po drodze...

Młoda pani Kwiatek dobrze знаła zwyczaje swojej teściowej i wiedziała, że aby dotrzeć na ulicę Weissa, ta pokonuje stałą trasę. Zakradając się pod blok w nocnych ciemnościach, z pewnością nie wybrała innej. Popychana gorączkowym niepokojem Monika narzuciła płaszcz i krzyknęła do Jakuba, że wychodzi.

Między blokami natknęła się na panią Michalską. Na widok smutnego wzroku staruszki Monice ścisnęło się serce.

– Bardzo mi przykro z powodu choinki – wymruczała.

– To jakiś nowy zwyczaj? – sarknęła starsza pani. – Kondolencje z powodu ściętego drzewka? Dlaczego wszyscy składają je mnie?

– Pani pierwsza dostrzegła w nim piękno – wybąkała. – A teraz go nie ma.

– Takie życie. – Pani Michalska wzruszyła ramionami.

Monika mocno zaczerpnęła tchu. To, co zamierzała teraz powiedzieć, było znacznie trudniejsze niż, hmmm, składanie kondolencji z powodu aktu wandalizmu, którego ofiarą padła jodelka.

– I... chciałam przeprosić za moją teściową.

– Przeprosić za teściową? – zdębiała dozorczyni.

– Tak, bo na pewno pani zauważyła, że na klatce... ktoś się panoszy. No więc tak wyszło, że to moja teściowa.

– Masz na myśli te ulotki, wycieraczkę i smród konwalii?

– Hmm, właśnie. I chciałam, żeby pani wiedziała, że to było wymierzone we mnie.

– Powiedziałabym, że twoja teściowa jest jak chmara meszek, ale po co obrażać te biedne owady? Ona po prostu ma za dużo czasu. – Pani Michalska zaśmiała się sucho.

Monika położyła rękę na sercu i zapewniła.

– Obiecuję trzymać ją z daleka!

– Nie przejmuj się duperelami! – zagrzmiała staruszka. – Jeśli ma ochotę trwonić pieniądze i energię, by maziać mi po szybach tym konwaliowym świństwem, niech to robi! W pierwszej chwili byłam wściekła, ale potem machnęłam na jej fanaberie ręką. Może nie zauważyłaś, ale twoja teściowa ma dużą nadwagę. To pewnie przez pierogi. – Uśmiechnęła się ciut złośliwie. – Trochę ruchu kobiecie nie zaszkodzi! Ja z radością będę rozrzucać wycieraczki, by ona mogła się po nie schylać! A jak mi humor dopisze, to jej jeszcze *Lambadę* puszczę, żeby nie gubiła rytmu!

Pani Michalska dobytek z kieszeni kraciastą chusteczkę, głośno wyczyściła nos i odeszła bez słowa. Monika mogła kontynuować swoją wędrówkę. Idąc poboczem, zaglądała do rowów, przetrząsała zarośla i rozglądała się po nieużytkach, na których mama Kwiatek mogłaby porzucić ścięte drzewko. Wszystko na nic. Dotarła w końcu do furtki prowadzącej do małego domku przy torach i zapuściła żurawia do ogrodu. I tutaj nie dostrzegła nic podejrzanego. Żadnej obskubanej gałązki choinkowej. Żadnych śladów ciągnięcia po resztkach brudnawego śniegu czy rozsypanych igieł. Kompletnie nic.

– Może się pomyliłam – wymamrotała pod nosem i na dźwięk własnego głosu podskoczyła nerwowo w miejscu. Już, już odwracała się, by odejść, gdy jej wzrok spoczął na uchylonych drzwiach komórki na narzędzia. Skoro już tu przyszła, mogłaby przyjrzeć się narzędziom gospodarskim mamy Kwiatek. Bo gdyby na ostrzu siekiery dostrzegła ślady żywicy, to mogłaby uznać to za potwierdzenie swoich podejrzeń, prawda?

Monika przez moment biła się z myślami, po czym szybkim ruchem sięgnęła do skobla przy furtce i uchyliła ją. Musi dotrzeć do komórki na narzędzia niezauważona. Skulona pokonała odległość między wejściem a pomalowanym na biało pniem wiśni, następnie przyłgnęła do orzecha, jabłoni i w końcu dotarła do śliwy rosnącej tuż przed składzikiem.

– Robisz przegląd drzew owocowych? – zdziwiła się mama Kwiatek.

Monika zamarła z dłonią opartą na chropowatym pniu i powoli odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał głos. Teściowa stała na betonowym chodniku ciągnącym się wzdłuż domu, miała na sobie wełnianą kamizelkę i bambosze do kostek. W rękę trzymała miskę ziarna. Na widok synowej uniosła pytająco brwi. Młoda pani Kwiatek przyłgnęła całym ciałem do śliwy.

– Jest taka miła w dotyku – oświadczyła.

– Co robisz? – zdumiała się teściowa.

– Przytulam się do śliwy.

– Po co?

– To mama nie wie, że przytulając się do drzew, czerpiemy z nich siły witalne? No dalej, niech mama spróbuje! – Zamachała zapraszająco.

Mama Kwiatek z wahaniem odstawiła na betonowy chodnik miskę z ziarnem i omijając łąty śniegu, zbliżyła się do owocowych drzew. Monika gestem zaprosiła ją, by przysunęła się do orzecha.

– Niech mama obejmie go ramionami i przytuli policzek do pnia.

Starsza pani powoli wykonała polecenie, a synowa objęła śliwę jedną nogą i wymruczała:

– Prawda, że przyjemnie?

Mama Kwiatek potwierdziła mruknięciem, po czym odskoczyła od drzewa jak oparzona.

– I przyszłaś specjalnie z miasta, żeby przytulić się do mojej węgierki?

Monika poruszyła kilka razy ustami, zanim wydukała, wskazując komórkę:

– Przyszłam pożyczyć formę do pieczenia babki.

– I szukasz jej w drewnutni? – dociekała mama Kwiatek.

– Eeee, a nie tam się je zazwyczaj trzyma?

– Nie. – Teściowa zaśmiała się nerwowo. – Ja swoje trzymam w piekarniku.

– No, ale skoro już tu stoimy – powiedziała wolno Monika, odwracając się w stronę drzwi do składziku i wyciągając rękę – to może sprawdzimy, czy się jakaś nie zaplątała?

– Na pewno nie. – Mama Kwiatek nie wiedzieć kiedy zmaterializowała się u boku synowej i gwałtownie zatrzasnęła drzwi do komórki. Monika w ostatniej chwili zabrała palce. Z emocji zrobiło jej się gorąco. Tymczasem teściowa na powrót przybrała przyjazny wyraz twarzy i złapała ją za łokieć, ciągnąc w kierunku domku. – No chodź już! Co tak stoisz jak słup soli przy tym głupim składziku? Tam nie ma nic ciekawego, żadnej formy do babki! Będiesz piekła dzisiaj? Przepraszam cię za tamto, głupio się zachowałam, ale widzisz, chciałam dobrze!

Oszołomiona paplaniną teściowej Monika pozwoliła poprowadzić się w kierunku domu, ale raz za razem posyłała zdumione spojrzenia – to na terkoczącą jak katarynka mamę Kwiatek, to na drzwi komórki. Pod skórą poczuła mrowienie. Tam coś jest, myślała, wspinając się po stopniach niedużego, drewnianego ganku. Coś za bardzo broni dostępu do drzwi, za bardzo! I natychmiast postanowiła, że gdy tylko mama Kwiatek spuści ją na chwilę z oka, wróci w zakazane miejsce i dokładnie je sprawdzi!

Póki co musiała sprostać kolejnemu wyzwaniu. Po wejściu do domku mama Kwiatek wepchnęła niespodziewanego gościa do kuchni, posadziła za stołem i zasypała stosem form do bab, babek i babeczek różnych rozmiarów i kształtów. Monikę ledwie było widać znad rozłożonych form! Przytłoczona wskazała pierwszą z brzegu i z wściekłością pomyślała, że jakby mało miała problemów, będzie zmuszona po raz kolejny szukać przepisu i męczyć się z pieczeniem. Skoro teściowa przeprosza za swoje zachowanie, a do tego krząta się po kuchni, przygotowując paszteciki, niechybnie wybiera się na wigilię do młodych i na pewno upomni się o wypiek przygotowany w pożyczonej foremce!

Jakby na potwierdzenie tych słów starsza pani Kwiatek uniosła znad stolnicy umączone dłonie i wskazała perkoczący ronderek na kuchence gazowej, z którego dobywał się przyjemny aromat smażonych grzybów.

– Skoro już się uparłaś, że zjemy wieszczę u was – zachichotała sztucznie, przyglądając się synowej – to chociaż dopilnuję, żebyśmy z głodu nie zasłabli przed tym waszym... jodłowaniem.

Monika zmarszczyła brwi. Czy w głosie mamy Kwiatek wyczuła kpinę, czy po prostu jest przeczulona? Przecież jeśli matka Jakuba miała na sumieniu destrukcję biednej jodelki, musiała wiedzieć, że do żadnego spotkania nie dojdzie. Monika poczuła bolesne ukłucie w piersi i pomyślała, że musi natychmiast wyjść. Inaczej użyje ciężkiego, drewnianego wałka, który zachęcająco kołysał się na stolnicy.

– Wybrałaś? – zainteresowała się teściowa, rzucając okiem na rozłożone formy. Młoda kobieta bez słowa wskazała trzymaną na kolanach, a mama Kwiatek cmoknęła z dezaprobatą. – Widać, że nie masz doświadczenia w wypiekach! Ona jest beznadziejna! Weź tę... – Wskazała białym od mąki palcem.

Monika zgrzytnęła zębami. Skoro jest beznadziejna, to po co teściowa ją trzyma? Wyciągnęła rękę po kawałek blachy wskazany przez matkę Jakuba, ale zawahała się. Zadziałał instynkt, a może dotychczasowe doświadczenia ze starszą panią Kwiatek? Nieważne! Coś jej podpowiadało, że forma wskazana przez teściową niekoniecznie jest najlepsza!

– Wezmę obie – zdecydowała, przyciskając do brzucha dwa srebrzyste kształty i podnosząc się zza stołu.

Teściowa otrzepała dłonie z mąki i sięgnęła do szuflady kredensu.

– Poczekaj, dam ci reklamówkę albo coś... Tak z gołymi rękami przyszłaś!

Przetrzęsanie szuflad okazało się bezcelowe. Mama Kwiatek nie znalazła żadnej torebki foliowej. Monika zapewniała, że wcale jej nie potrzebuje, spokojnie dojdzie na Weissa z dwiema

niedużymi foremkami. Zademonstrowała nawet teściowej, w jaki sposób będzie je niosła, uderzając jak w bębenek, ale starsza pani popatrzyła na nią jak na wariatkę.

– No jeszcze tego brakowało... Wiem, duża siatka wisi na sznurku w łazience! – zawołała po chwili namysłu.

Monika z głośnym westchnieniem zatrzymała się w progu ciasnego pomieszczenia, lustrując wypucowane na błysk kafelki i zaparowane lustro. Nagle drgnęła. W umywalce dostrzegła trzy małe zielone igielki. Zupełnie jak te z jodełki! W tej samej chwili jej wzrok spoczął na szafce na buty stojącej w korytarzu, tuż obok drzwi do łazienki...

Wzrokiem powędrowała w kierunku mamy Kwiatek mocującej się z linkami podwieszanej suszarki na bieliznę, ponownie spojrzała na trzy smętne igły choinkowe, na szafkę z butami i znów na mamę Kwiatek. Czowała, jak żołądek zaciska się w gruby węzeł, ale równocześnie towarzyszyło jej uczucie ekscytacji. Teraz! – pomyślała, bezszelestnie odkładając na deski podłogi formy do pieczenia, i trzasnęła drzwiami, zamykając posapującą z wysiłku teściową w środku. Szybko przesunęła szafkę z butami, tarasując wyjście, i przytknęła ucho do drzwi. Mama Kwiatek porzuciła zmagania z suszarką i dopadła drzwi, naciskając klamkę.

– Co tam się dzieje? – wrzasnęła.

– Co się dzieje? – cicho zawołała Monika, dusząc się ze śmiechu. – Gdzie mama jest?

– Tutaj!

– Gdzie tutaj? – zapytała niewinnie synowa.

– No przecież jestem w łazience! Mówiłam, że idę po siatkę na twoje formy! Co się stało?

– Nie wiem... – Monika nacisnęła klamkę po swojej stronie i rozłożyła ręce w geście bezradności, choć przecież teściowa nie mogła tego zobaczyć. – To najwyraźniej przeciąg! Zatrzasnęło się!

– Przeciąg? – zdumiała się mama Kwiatek. – Przecież wszystko jest pozamykane! Jaki przeciąg?!

– No skoro mama wie lepiej... – Monika udała oburzenie. – To pewnie krasnoludki mamę zatrzasnęły!

– Nie wygłupiaj się! Pomóż mi wyjść!

– Ale jak?

– Weź z kuchni długi nóż i podważ przy futrynie! Tylko nie złam! – przestrzegła.

– Mam lepszy pomysł. Gdzie mama trzyma narzędzia? – zapytała niewinnie.

– Na-rzędzia? – zająknęła się mama Kwiatek.

– No na przykład śrubokręt?

– Chyba nie mam śrubokrętu – odparła szybko starsza pani.

– Może w składziku się znajdzie? – podpowiedziała usłużnie synowa.

– Nie! – zawyła matka Jakuba. – Właśnie sobie przypomniałam. Miałam śrubokręt, ale pożyczyłam sąsiadowi! Potrzebował coś przyśrubokręcić... przyśrubować.

– To może pójde i się upomnę w mamy imieniu?

– Nie! Tak przy świętach będziesz ludziom o śrubokręcie smęcić? Mówiłam ci, weź nóż...

– W takim razie poszukam w składziku czegoś innego...

– Niiieee! – wrzasnęła mama Kwiatek. – Nie, lepiej tam nie wchodzić. Jest okropny bałagan. Jeszcze co spadnie ci na głowę...

Tu cię mam! – pomyślała Monika, a głośno zawołała:

– Hmmm, będę ostrożna! Niech mama poczeka!

Młoda pani Kwiatek ruszyła ku wyjściu w akompaniamencie głośnych łomotów i krzyków dobiegających z łazienki. Szybko przecięła podwórko i dopadła do drzwi do komórki na

narzędzia. Przez chwilę stała w wejściu, pozwalając oczom przywyknąć do otaczającego ją półmroku, a potem zrobiła kilka kroków. Natychmiast wtarabaniła się w coś ciężkiego i straciła równowagę. Kiedy pozbierała się na nogi, uderzyła głową o nisko zawieszoną żarówkę. Zakłęła pod nosem, ale zadowolona cofnęła się ku wejściu. Skoro jest żarówka, musi być i włącznik...

Szybko znalazła kontakt i po chwili wewnątrz komórki zalało słabe światło. Monika podparła się pod boki i uważnie rozejrzała po składziku. Mama Kwiatek trzymała tu mnóstwo różnych szpargałów: łopaty, kopaczki, wielkie gliniane donice i worek ziemniaków... ale siekiery nigdzie nie dostrzegła. Nagle drgnęła. Pod ścianą majaczył duży, jasny kształt, folia delikatnie łopotąła poruszana podmuchem wpadającym przez uchylone drzwi. Pod taką folią swobodnie zmieściłaby się ścięta choinka! – pomyślała i z furią zerwała płachtę.

Niebieski rowerek, błyszczący nowością i chromowanymi elementami, przewiązany czerwoną kokardą z zawieszką „Dla Piotrusia”.

Monika zawstydzila się i ponownie nakryła mały pojazd kawałkiem folii. Potem pobieżnie rozejrzała się po składziku, rejestrując na rozklekotanym stole stertę narzędzi ze śrubokrętem na czele. Siekierkę znalazła kawałek dalej, wbity w masywny pień do rąbania drzew. Nie sprawdzała, czy ostrze jest czyste. Złapała śrubokręt i wybiegła z szopy, jakby się paliło.

Przechodząc przez korytarz, zerknęła do pokoju. Na stole nakrytym sztywnym śnieżnobiałym obrusem pysznił się stroik świąteczny wykonany z choinkowych gałązek, długiej czerwonej świecy i kilku bombek. Monika podeszła do stołu i z mocno bijącym sercem potarła między palcami pachnące igły. Świerk.

Wróciła pod drzwi łazienki i oparła dłonie na blacie szafki z butami.

– Znalazłam śrubokręt! Może być głośno, niech mama się odsunie i zasłoni uszy! – poleciła beznamiętnie.

Mocno pchnięta szafka wróciła na swoje miejsce, a zasapana Monika pogmerała trochę śrubokrętem koło zamka i gwałtownie szarpnęła za klamkę. Mama Kwiatek siedziała na brzegu wanny, osłaniając uszy puchatym ręcznikiem.

– Już w porządku – oznajmiła Monika.

Teściowa spojrzała na nią podejrzliwie.

– Dlaczego tak sapiesz? Słyszałam szuranie...

– Śrubokręt stoczył się za szafkę z butami. – Wzruszyła ramionami. – Najważniejsze, że mama jest wolna i nie spędzi Wigilii na toalecie – zażartowała, a widząc jej ponurą minę, szybko dodała: – Dobrze, że miała mama dodatkowy śrubokręt. Znalazłam go na stole z narzędziami.

– Znalazłaś coś jeszcze? – zapytała niewinnie mama Kwiatek.

– Zupełnie nic – zapewniła Monika, schylając się po blachy. – A teraz mama wybacz, ale znikam. Przecież muszę upiec babkę...

Zuzanna

Zuzanna także nie mogła znaleźć sobie miejsca. Kręciła się między kuchnią a pokojem, skubała łańcuch na choince, szturchała widelcem leżące w garnku obrane ziemniaki, poprawiała firanki w oknach i pochylała się nad dywanem w dużym pokoju, by się upewnić, że na jego nieskazitelnej powierzchni nie osiadł żaden pyłek. Co rusz zerknęła na kuchenny zegar, zaklinając czas, aby była już pora wigilii i by mogła po niej posprzątać i wsunąć się pod kołdrę. Z upływem czasu wściekłość Zuzy przeobrażała się w zniechęcenie, a ona sama coraz usilniej starała się wyrzucić z myśli spotkanie pod jodełką.

Nie ma jodełki, nie ma spotkania – myślała z goryczą, uchylając drzwiczki lodówki i popychając palcem salaterkę z karpem w galarecie. Nie cierpiała tej potrawy, ale robiła ją ze względu na męża. Galareta zatrzęsała się na boki, a Zuza zmierzyła ją nienawistnym spojrzeniem i zanuciła pod nosem: – A miało być tak pięknie...

– Mamo! – Do kuchni wpadła zarumieniona z emocji Agata. Zuza zerknęła na nią pytająco zza drzwiczek lodówki. – Po Kalwarii chodzi wielka pluszowa ryba i można sobie z nią zrobić zdjęcie! Pójdziemy?

– No nie wiem... – zawahała się matka.

– Proszę cię! Widziałam zdjęcia na Fejsie! Magda ma i Luiza też... Chodźmy! – Nastolatka przygryzła lekko wargę. – Tylko kasę zabierz, bo rybę trzeba kupić. Wiem, wiem, że już masz karpie, w dodatku usmażone, upieczone i co tam jeszcze można z nich przygotować na święta, ale świeżego zamroziś i będzie, nie? Trzymasz w zamrażalniku co najmniej sześć kilo pierogów, więc jedna ryba więcej różnicy nie robi, prawda?

Zuza nie miała sumienia odmówić córce, która skakała naokoło niej z roziskrzonym spojrzeniem i zarumienionymi policzkami. Poza tym przechadzka na świeżym powietrzu to dobry pomysł. W głowie się przejaśni, a i może po drodze dostrzeże coś podejrzanego?

– No to zbieraj się – zawołała wesoło.

Parę minut później zgodnie maszerowały w kierunku centrum miasteczka. Agata poinformowała matkę, że Pan Rybka jest widywany w różnych częściach Kalwarii. Czasem na skwerze koło kościoła, czasem przy dworcu, a raz to nawet widziano go na placu zabaw, gdzie ocierał się o ogrodzenie. Ale najpierw powinny się udać na plac handlowy i kupić karpia. Z pokwitowaniem od sprzedawcy będą mogły poprosić o zdjęcie.

– Tylko wariat mógł obmyślić tak pokretny plan – mruknęła zasapana Zuza, ustawiając się w dość długim ogonku po karpia.

Kupiona ryba została zapakowana do reklamówki, reklamówka wciśnięta do torby z materiału, a torba z materiału przewieszona przez ramię. Dowód zakupu w postaci wilgotnej karteczki z kulfonami informującymi, że „zakupiono karpia sztuk jeden kilo sześćdziesiąt 60” wylądował w kieszeni podekscytowanej Agaty. Matka i córka mogły wyruszyć na poszukiwanie Pana Rybki.

– Wszyscy wrzucają jego zdjęcia na Fejsa i Insta – gorączkowała się nastolatka.

Zuzanna uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– I na Naszą Klasę, co?

– Nie – zaprzeczyła stanowczo dziewczyna.

– Dlaczego? – Zuza aż przystanęła.

– Mamo, NK to wiocha, przeżytek dla staruszków, nikt tego nie używa! – oświadczyła autorytarnie. – No, chyba że tacy w twoim wieku...

– Dzięki – prychnęła Zuza, drapiąc się pod czapkę. – Fejs, czyli Facebook, ale Insta?

– Instagram. Tam wrzuca się zdjęcia – tłumaczyła nastolatka.
– I kto to ma?
– Wszyscy!
– Staruszki też? – ironizowała.
– No pewnie! Mama Luizy uprawia storczyki i co chwila wrzuca fotki, jak jej kwitną. Ma wielu obserwatorów, a ludzie klikają i komentują...
– I co piszą?
– No, że ma piękne te storczyki...
– Ładne kwiatki – zażartowała Zuzanna. – I co jeszcze wrzucają?
– Wszystko. Niektórzy wrzucają zdjęcie, jak jedzą śniadanie, inni zdjęcie butów, bo idą biegać, a na przykład mama tej Jowitki z bloku naprzeciwko wrzuca każdy obrazek, który mała narysuje.

– Jowitka ma półtora roku!
– Ale lubi rysować. Najczęściej po ścianie w dużym pokoju.
Zuza parsknęła śmiechem. Kwestię intrygującego Instagrama postanowiła jednak na razie zostawić i zająć się na poważnie szukaniem Pana Rybki. Gdzie ta pluszowa kanalia się podziała? – piekliła się w duchu. Chłodne powietrze podziałało na Zuzannę Fijus trzeźwiąco i dodało jej energii. Na powrót wróciła myślami do zaginionej choinki. Być może na Weissa pojawi się Kalina, a jej, Zuzy, nie ma na miejscu?

Nagle drgnęła. Znajdowały się właśnie na wysokości restauracji Pod Kasztanami i miały dobry widok na ciągnącą się w kierunku dworca PKP aleję Jana Pawła II. W oddali zamajaczyła dziwaczna postać.

– To on! To Pan Rybka! – pisnęła podekscytowana Agata.
– Chodźmy! – Zuza pchnęła lekko córkę, zachęcając ją do wydłużenia kroku. Nagle zamarzyła, by jak najszybciej znaleźć się pod blokiem i wziąć sprawy w swoje ręce. Przecież morderca biednej jodełki nie mógł rozpuścić się w powietrzu!

Pan Rybka majestatycznym krokiem minął przejście dla pieszych w pobliżu remizy strażackiej. Słyszając za plecami tupot stóp, przystanął i odwrócił się za siebie w oczekiwaniu na kolejnego klienta. Zuzanna uniosła ramię i zamachała wesoło. Pan Rybka uniosł nieznacznie dłoń, ledwo dostrzegalnie poruszając palcami, po czym okręcił się na pięcie i... odszedł, nerwowo oglądając się za siebie.

Zuza z wrażenia aż przystanąła w miejscu. Idąca w tyle Agata wpadła wprost na nią i boleśnie przydeptała jej piętę. Widząc, że córka idzie z nosem w telefonie, kobieta syknęła zirytowana. Zaraz jednak ponownie skupiła uwagę na oddalającej się maskotce.

– Co wyprawia ta głupia ryba? – głowiła się. – Nie chce zarobić?

Agata wzruszyła ramionami.

– Może skończyła już pracę...

Zuza spojrzała na córkę. Choć nastolatka wypowiedziała te słowa pogodnym tonem, matka dostrzegła rozczarowanie malujące się na jej twarzy i poczuła rodzący się w niej bunt. O nie! Jakiś szubrawiec pozbawił ją przyjemności celebrowania Gwiazdki z sąsiadami, ale Agata nie straci swojej radości! Chciała mieć zdjęcie na Insta czy innym Fejsie z Panem Rybką i będzie je miała! Bez względu na to, co sądzi na ten temat krążący po Kalwarii pluszowy tłumok!

Zuzanna podparła się wojowniczo pod boki.

– Ej, ty! – ryknęła.

Pan Rybka obejrzał się przez ramię z niedowierzaniem i zamarł. Kobieta posłała córcę stanowcze spojrzenie.

– Zostań tutaj, porozmawiam sobie z nim... – przykazała.

Na widok raźnie kroczącej przed siebie Zuzy postać w pluszowym skafandrze niezdarnie podskoczyła w miejscu, obróciła się plecami i rozchwianym, kaczym chodem ruszyła przed siebie. Co kilka kroków oglądała się nerwowo i sprawdzała, czy kobieta odpuściła. Ale Zuzanna odpuszczać nie zamierzała. Rzuciła się w pogoń, pomstując pod nosem. Jej przekleństwa wymierzone były w równym stopniu w ogromną maskotkę, co w złodzieja choinek, który zniweczył jej piękne świąteczne plany!

Pan Rybka minął przychodnię zdrowia, przeciął ulicę i skręcił w kierunku dawnej restauracji Korona. Zmachana Zuzanna przystanąła, by zerwać z głowy czapkę, i popędziła za nim. Odległość pomiędzy nimi zmniejszała się. Kondycja pani Fijus pozostawiała co prawda sporo do życzenia, ale bieg na przełaj w pluszowym skafandrze z pewnością nie zaliczał się do najwygodniejszych. Zuzanna pomyślała z mściwą satysfakcją, że jeszcze kilka minut i dopadnie gada!

– Je-dno zdję-cie! – rzeziła z trudem. – Jednooo zdję-cieeee!

Mimo to Pan Rybka nie przystanął, a obejrzawszy się przez ramię i stwierdziwszy, że Zuza depcze mu po piętach, wyzwolił w sobie dodatkowe pokłady sił i wyraźnie przyspieszył. Kobieta zawyla z wściekłości. Na moment zatrzymała się, opierając ramiona o pulsujące bólem uda i głośno dysząc. Potem podniosła głowę, zatoczyła spojrzeniem po okolicy, zerknęła za oddalającym się pluszakiem i skinęła głową. Na jej ustach pojawił się znaczący uśmiezek.

Zamiast kontynuować pościg, szybko okrążyła najbliższy blok i schowała się w kąpie rosnących pod balkonem badyli. Czekwała, czując, jak mocno kołacze jej serce. Nagle dostrzegła charakterystyczną postać. Pan Rybka truchtał chodnikiem w jej kierunku, nerwowo oglądając się za siebie. Tak bardzo pochłonęło go obserwowanie, czy ona go dogania, że nie zauważył, kiedy stanęła przed nim na chodniku i rozpostarła ramiona. Gdy się zreflektował, było już za późno. Ledwie wyhamował, podskoczył w miejscu i próbował zawrócić, ale zaplątał się w ogon, a może to były pletwy? I runął na chodnik z bolesnym okrzykiem.

Zuza nie miała litości. Dopadła nieboraka i stanęła nad nim okrakiem, szarpiąc za skafander.

– Tak nie wolno! – mamrotała oszołomiona.

– Przepraszam, przepraszam – kwilił tymczasem Pan Rybka.

– Tak nie wolno! – powtarzała Zuza. – Jedno zdjęcie, o nic więcej mi nie chodzi!

Ryba posłała Zuzannie zdezorientowane spojrzenie.

– Chodziło o zdjęcie? – dobiegło spomiędzy pluszowych warg.

Zuza zmarszczyła brwi.

– A o co? Ja wiem, że jest późno i że może skończył pan pracę, ale trzeba było grzecznie powiedzieć, a nie biegać po mieście jak oszołom. Poza tym my kupiłyśmy specjalnie karpia. Wie pan, jak trudno upchnąć karpia w naszej zamrażarce? – dodała, uświadamiając sobie, że potwierdzenie zakupu ryby spoczywa w dłoni córki, której przy niej nie ma.

– Zdjęcie? – powtórzyła maskotka.

Ten głos!

Zuza skinęła głową, przyglądając się pluszowej postaci z namysłem. Nagle wyciągnęła rękę i gwałtownie zerwała część kostiumu zakrywającą głowę. Zbaraniały Kajetan wpatrywał się w nią okrągłymi ze strachu oczyma. Z trudem wybełkotał:

– Ja ci wszystko wytłumaczę!

Kajetan

Noga za nogą Kajetan włókł się w kierunku ulicy Weissa. Nie zdjął z siebie pluszowego kombinezonu, ale nie założył więcej rybiej głowy i teraz ta ocierała się o jego udo z nieprzyjemnym skrzypieniem. Ponuro spojrzął na idące przed nim żonę i córkę. Cała postawa Zuzanny świadczyła o wielkim wzburzeniu i na samą myśl o rozmowie, która czekała ich w domu, Kajtek głośno przełknął ślinę.

O, ten łokieć lewy, tak zamaszycie wyrzucany do tyłu! Zupełnie jakby zamierzała go zdzielić pod żebra. Albo niecierp-liwie odrzucane na plecy włosy. Kajetan zapłakał w duchu. Zuzanna zetrze go na proch, a najgorsze w tym było to, że będzie miała zupełną rację!

Dziwaczny korowód rodziny Fijusów dotarł na podwórko przy ulicy Weissa i ruszył w stronę klatki schodowej. Po drodze minął pochyłoną nad pniakiem jodełki Kalinę, ale pogrążona w ponurych rozmyślaniach Zuzanna nawet nie dostrzegła przyjaciółki. Przy drzwiach wejściowych pani Michalska, Wacław Malinowski i Waldemar Jurczyk dyskutowali o czymś zawzięcie. Na widok Fijusów starszka cicho prychnęła. „A nie mówiłam” – krzychały jej oczy. Kajetan posłał jej zbolące spojrzenie i ruszył za żoną i córką po schodach.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Zuzanna zrzuciła buty i zniknęła w kuchni. Agata czmychnęła do siebie, a Kajtek pozostał w przedpokoju, w pluszowym skafandrze, z ramionami bezradnie opuszczonymi wzdłuż tułowia. Głowa karpia wyslizgnęła mu się z dłoni i upadła u stóp. Natychmiast zainteresowała się nią uszczęśliwiona powrotem opiekunów Nuda i porwała do swojego legowiska. Kajtek westchnął, potarł dłonią zmierzwiłone włosy i z ociąganiem powlókł się do kuchni.

Zuzanna stała przed lodówką i nienawistnym spojrzeniem mierzyła karpia w galarecie. Na widok męża zatrzasnęła drzwiczki i podparła się pod boki.

– Co to było, do jasnej choinki?

– Wszystko ci wytłumaczę... – Kajetan złożył ręce jak do modlitwy. – Tylko najpierw uwolnij mnie z tego cholerstwa!

Kilka minut i mocnych szarpnięć zamkiem później skafander został przewieszony przez oparcie jednego krzesła, a spocony Kajtek opadł na siedzisko drugiego. Posłał przy tym żonie spojrzenie zbitego psa.

– Chciałem dorobić. W tajemnicy przed tobą. Wiem, że to głupie...

– Dorobić? – zdziwiła się Zuzanna. Przez chwilę kobieta wpatrywała się w niego oniemiała, równocześnie usiłując rozgryźć to, co właśnie usłyszała. I najwyraźniej jej się udało, bo nagle jej twarz rozjaśniła się nieco, a na wargach zamigotał leciusieńki uśmiech. – Nie dostało się kredytu, hę? – Trąciła go porozumiewawczo przegubem.

Widząc, że wściekłość żony mija, Kajetan wyraźnie się rozluźnił i wygodniej rozsiadł na krześle.

– Skąd o tym wiesz? – zdumiał się.

– O, kochany! Ja wiem o wszystkim. Nie przejmuj się. Przecież możemy pojechać do Portugalii latem...

– Do Portugalii? – Fijus wybałuszył oczy.

– A może do Francji? Paryż, zamki nad Loarą, Lazurowe Wybrzeże? Czy Lazurowe Wybrzeże jest we Francji?

– Nie mam pojęcia – przyznał oszołomiony Kajetan. – Ale posłuchaj...

– Wiem, że chciałeś mi zrobić niespodziankę i zaciągnąć pożyczkę na wakacje, ale...

– Nie, to nie tak – zaskamlał Kajtek, kryjąc twarz w dłoniach. – O Boże... Pani Michalska

miała rację – mruknął.

Zuza skamieniała.

– Co pani Michalska ma wspólnego z naszą wycieczką? – wycedziła. – Chyba... nie wybiera się z nami?

– Nie!

– To dobrze, lubię ją, niemniej ona i ja, i bikini...

– Jestem zadłużony! – wypalił nagle Fijus.

– Phi – prychnęła Zuzanna. – Przecież wiem...

– Wiesz? – przeraził się. – Narobiłem długów i podchodzisz do tego tak spokojnie?

– No proszę cię, Kajtek! Mam się przejmować taką drobnostką? Pójdiesz po świętach i zapłacisz. Wiem, że to nic przyjemnego, że wstyd i tak dalej, ale oddasz i będziesz miał czystą kartę!

– Ale z czego oddam, przecież nie mam takich pieniędzy! – Głos Kajetana nieznacznie się załamał.

Zuza posłała mu ostre spojrzenie.

– To znaczy jakich? – zapytała nieufnie.

Kajtek spuścił głowę.

– Siedem tysięcy – wychrypiął. – No, teraz trochę mniej, bo zarobiłem...

Zuza aż gwizdnęła. A potem zszokowana opadła na stojący nieopodal taboret.

– Drogo sobie liczą w tej bibliotece... Trzymałeś Pottera od podstawówki czy co?

– Jakiego Pottera?! – teraz dla odmiany zdumiał się Kajetan.

– Harry'ego. Podobno nie oddałeś i musisz zapłacić karę... – urwała nagle. – Nie o ten dług ci chodzi?

Kajetan potrząsnął tylko głową, po czym schylił się i uderzył kilkakrotnie czołem w blat stołu. Zuza najpierw przyglądała się temu wstrząśnięta, dopiero po chwili złapała męża za ramię i powstrzymała przed zadawaniem sobie bólu.

– Nie chciałem w twoich oczach wyjść na nieudacznika. Najtrudniej przyznać się do porażki przed najbliższymi – wydukał Kajetan.

– Opowiedz mi teraz wszystko – szepnęła.

Kajtek zaczerpnął tchu, a potem wyznał jej prawdę. Nie pominął żadnego, najmniejszego szczegółu. Zuzanna kręciła głową z niedowierzaniem, a gdy zamilkł i zwiesił głowę załamany, przyciągnęła go do siebie i cmoknęła wargami zaczerwienione od uderzeń czoło.

– Przecież razem sobie poradzimy – wymruczała. – Najwyżej tę Portugalię przełożymy o jakieś... dziesięć lat.

Fijus spojrział na żonę z wdzięcznością. Pani Michalska miała rację, nie powinien ukrywać swoich kłopotów przed Zuzą. Rodzina musi się wspierać, wspólnie pokonywać trudności, być blisko, gdy jest dobrze i gdy bywa źle. Czuł, jak lekko zrobiło mu się na sercu, i z tego wszystkiego w porywie szczerości wskazał lodówkę.

– A skoro już tak sobie szczerze gawędzimy... Nienawidzę karpia w galarecie.

Zuza zamarła z na wpół uchylonymi ustami, a potem złapała wiszącą przy kuchence ścierkę i rzuciła się na Kajetana z groźnym błyskiem w oku.

Kalina

Roztrzaskany pień po jodełce oskarżycielsko sterczał z łysawego trawnika. Kalina pochyliła się nad nim i wciągnęła w nozdrza wyrazisty zapach żywicy. Potem wyprostowała się i potoczyła wzrokiem po okolicznych budynkach. Pod klatką schodową piątki dziarska staruszka wymachiwała miotłą. Pozornie zajmowała się sprzątaniami, ale Kalina doskonale wiedziała, że nie spuszcza z niej oczu.

Radecka-Piórecka ruszyła przed siebie, intensywnie wpatrując się w ziemię. Tam, gdzie lica trawa odsłaniała gołe placki ciemnej ziemi, gdzieniegdzie widziała niewyraźne zarysowania i domyśliła się, że to ślady ciągniętej choinki.

Jodełka nie była duża, a jednak jej nie niesiono – orzekła. Podniosła głowę, by zmierzyć na oko odległość między trawnikiem a chodnikiem z betonowych płytek. – Złodziejem na pewno nie był silny mężczyzna...

Młynek węszył przy pobliskim trzepaku. Kalina odwróciła się, by na niego zagwizdać. W tej samej chwili dostrzegła znajomą sylwetkę.

Zza węgła budynku wychyliła się Zuzanna Fijus. Obok niej szła córka i kobieta aż cmoknęła z wrażenia. Jak ta mała wyrosła! Czas pędzi zdecydowanie zbyt szybko, lada dzień i jej Basieńka będzie taką tyczkowatą nastolatką! Kalina uniosła rękę, by przyciągnąć uwagę przyjaciółki, ale w tej samej chwili jej wzrok spoczął na idącym kilka kroków za żoną Kajetanem. Fijus miał na sobie dziwny kombinezon, szedł ze zwieszoną głową, mocno powłócząc nogami. Radecka-Piórecka wbiła wzrok w pień po jodełce. Nie wiedziała, co za nieszczęście dopadło Fijusów, ale chyba nie powinna teraz zawracać Zuzie głowy. Najpierw trochę powęszy, a jeśli czegoś się dowie, zadzwoni lub wstąpi do mieszkania pod numerem piątym.

W chwili, gdy o tym pomyślała, dostrzegła coś kątem oka. Pochyliła się nad pnem po jodełce i wsunęła palce między strzaskane drzazgi zalegające wokół. Po chwili trzymała papierek po malinowej gumie rozpuszczalnej. Ale dowód! – zaśmiała się w duchu i wcisnąwszy różowy strzępek do kieszeni, gwizdnęła na Młynka i ruszyła między bloki. Idąc, uparcie wpatrywała się w trawnik, ale ten po chwili się skończył. Dalej jodełkę ciągnięto po chodniku lub jezdni.

Na podwórko przed piątką Kalina wróciła po dwóch godzinach. Nad strzaskanym pnem pochyłał się jakiś mężczyzna. Kiedy odwrócił się w stronę Radeckiej-Pióreckiej, zauważyła, że pod szyją ma koloratkę.

– Pusto tu bez niej – zagaił.

Skinęła głową.

– Mój pies w zeszłym roku ją obsikał – poinformowała mężczyznę.

Ten pokiwał głową ze śmiechem.

– Była wabikiem na wszystkie okoliczne kundły. Nadkładały drogi, byle ją oznaczyć. Pani Michalska musi być załamana. – Westchnął, rzucając spojrzenie w kierunku wejścia do klatki.

Kalina kiwnęła głową.

– Zuzanna jest wściekła. Wiązała z dzisiejszym spotkaniem pod jodełką wielkie plany. Sprowadziła mnie, żebym znalazła sprawcę.

– Pani? – zdumiał się.

– Jestem prywatnym detektywem – powiedziała nie bez dumy.

– A ja wikarym.

– Trudno nie zauważyć – przyznała Kalina.

– I znalazła pani jakieś ślady? – zainteresował się ksiądz Wojciech.

– Jasne. – Parsknęła śmiechem, dobywając z kieszeni różowy papierek. – Poza tym odbyłam mnóstwo interesujących rozmów z mieszkańcami Kalwarii. Pani z bloku numer sześć uświadomiła mi, że pół miasta pali śmieciami, więc zachodzi obawa, że biedną jodełkę po prostu przeznaczono na opał.

– Jest taka opcja – zgodził się ksiądz, nie kryjąc żalu.

– Poza tym – ciągnęła Radecka-Piórecka – tam w szóstce mieszka samotna matka z małą dziewczynką. Kiepsko sobie radzą, bo ojciec małej prysnął za granicę i choć oficjalnie mają alimenty, to... – Wojciech pokiwał głową, notując w myślach słowa pani detektyw. – Tam – wskazała czerwony dach wystający między nagimi gałęziami drzew – otworzyła mi kobieta z podbitym okiem. Nie wpuściła mnie do środka, cały czas niespokojnie oglądała się za siebie i... Wie ksiądz, jest Wigilia i... – Potrząsnęła głową ze smutkiem, zaraz jednak przełknęła głośno ślinę, potarła powieki i dodała: – A w tamtym bloku spotkałam staruszkę, która porusza się o balkoniku. Towarzyszy jej tylko duży owczarek i podejrzewam, że ani jedno, ani drugie nie ma należytej opieki. Czy mógłby ksiądz...? – Wojciech powoli pokiwał głową, a Kalina rozluźniła się. – No, a o jodełce nie dowiedziałam się nic konkretnego – zakończyła niewesołym śmiechem.

– O, dowiedziała się pani aż nadto! – wyraził uznanie. – Jest pani dobrym detektywem i jeszcze lepszym obserwatorem. Wesołych świąt!

Radecka-Piórecka pożegnała go ciepłym uśmiechem i sięgnęła do kieszeni po komórkę. Zaskoczona stwierdziła, że zbliża się piętnasta. Najwyższa pora wracać do pensjonatu. To przecież pierwsze święta Basieńki, powinna być przy córeczce. I dopilnować, by matka nie zajęła się strojeniem nieboraczki...

CMoknęła na Młynka i biegiem ruszyła do samochodu. Zanim wsiadła, raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pusty plac przed blokiem, a potem odjechała w kierunku Lanckorony.

Pani Michalska

Dozorczyńni obrzuciła przeciągłym spojrzeniem kobietę pochyloną nad pniem po jodełce i pokręciła głową z przeciągłym westchnięciem. Zuzanna Fijus miewała swoje dziwactwa, ale tym razem przeszła samą siebie. Sprowadzać detektywa? W Wigilię? I po co to wszystko? Aby dowiedzieć się, że kogoś drażniła świąteczna radość mieszkańców bloku numer pięć? Albo że jakiś pijaczek przehandlował choinkę za równowartość taniego wina? Choć w to ostatnie pani Michalska wątpiła. Wiele można było powiedzieć o ich jodełce, ale z pewnością nie to, że urzekła wysublimowaną urodą.

Pani Michalska potarła sękatymi palcami nasadę nosa. Rozboliła ją głowa. I nogi. Miała przecież swoje lata, ale nie zamierzała zamykać się w czterech ścianach mieszkania. Wciąż zostało wiele do zrobienia, choć byli tacy, co uważali, że niekoniecznie, i najchętniej widzieliby ją z dala od klatki schodowej na Weissa 5. Cóż, ich sprawa. Pani Michalska wiedziała, że lokatorzy jej potrzebują, i napawało ją to dziwną, wewnętrzną radością.

Anna i Waldemar. Pani Michalska pokręciła głową nad małżeństwem Jurczyków. Już dawno zauważyła, że dla tych dwojga czas snu pod wspólną kołdrą się skończył i każde powinno iść w swoją stronę, by zaznać jeszcze szczęścia. Muszą się tylko obudzić i to zrozumieć. Oboje.

O, albo ten nieszczęsny Fijus. Kajetan i Zuzanna nie uczyli się na błędach i w efekcie nadal nie potrafili rozwiązywać swoich problemów poprzez szczerą rozmowę. Do tego Kajtek był naiwny i bezradny jak ślepy kociak. Pani Michalska aż zacmokała nad głupotą mężczyzny. Na szczęście ona była inna i umiała się poznać na takich gamoniach, co to własne frustracje wyładowują na ludziach. Już załatwiła sprawę z Milewskim i zapowiedziała, że jeśli nie potrafi pogodzić się z orientacją seksualną własnego dziecka, niech zgłosi się do lekarza od głowy, a nie dręczy zatrudnionych pracowników!

Kajetan, Anna, Marzena, Monika i wielu innych. Mieszkańcy bloku przy ulicy Weissa zmagali się z codziennymi wyzwaniem i własnymi, wewnętrznymi demonami. Pani Michalska zamierzała ich w tym wspierać, póki starczy jej sił i będzie w stanie wciągnąć na nogi swoje ulubione kozaki na grubej podeszwie.

Tego dnia jej myśli krążyły jednak przede wszystkim wokół jednej osoby. Dobrze wiedziała, że nie tylko ona zмага się z dramatycznymi wspomnieniami budzonymi do życia wraz z pulsującym światłem choinkowych lampek. I że ta konkretna Wigilia, Wigilia pozbawiona zieleni lichego drzewka na trawniku, musi być dla tej osoby szczególnie bolesna.

Szczęknęła naciśnięta klamka. Pani Michalska spojrzała w kierunku wejścia i powitała skinięciem głowy Waldemara Jurczyka i Wacława Malinowskiego. Jurczyk wyglądał jak zбитy pies, skórę pod oczami znaczyły mu sine kręgi, kąciki ust opadały jak u smutnego kłowna. Wacław nie prezentował się lepiej. Pani Michalska niezdarnie poklepała go po ramieniu.

Przez moment stali we trójkę, wgapiając się w puste miejsce po jodełce i w kręcącą się po podwórku Kalinę.

– Chyba nie żal pani tej paskudy? – rzucił zaczepnym tonem Jurczyk.

Pani Michalska spojrzała na niego wymownie.

– Oczywiście, że mi żal! – warknęła. – Rosła tutaj od lat!

– To tylko głupie drzewko! – zaśmiał się Waldemar.

Wacław westchnął smutno i żółwym krokiem ruszył przed siebie.

Rozmowę sąsiadów przerwało nadejście Fijusów. Zuzanna wyglądała jak chmura gradowa, z kolei Kajetan był przerażony. Pani Michalska pomyślała, że dobrze mu tak. Może świąteczna przeprawa z żoną nauczy Fijusa, czym jest szczerłość. Kiedy za rodziną spod piątki

zamknęły się drzwi, pani Michalska posłała Waldemarowi gniewne spojrzenie.

– Tylko? Tylko?! Czasami jedna choinkowa gałązka ma większe znaczenie niż cały iglasty las! Oczywiście ty tego nie pojmiesz, bo jesteś zapatrzony w czubek własnego nosa, a zamiast oczu masz kalkulatory!

– No wie pani co... – obruszył się urażony Jurczyk.

Pani Michalska nie zamierzała odpuszczać. Kiwała głową energicznie i mówiła:

– Właśnie wiem! – gderła. – Dla ciebie to tylko głupie drzewko, ale dla kogoś innego jest symbolem.

– Symbolem? – zaśmiał się Waldemar. – Symbolem czego? Chyba brzydoty!

– Nadziei, tępa pało! – prychnęła w odpowiedzi staruszka.

Tego dla Jurczyka było już za wiele! Tak go obrażać? Uczynił gest, jakby zamierzał wrócić do budynku, ale pani Michalska mocno uczepiła się jego przedramienia i usadziła go w miejscu. A potem zmusiła go, by wysłuchał jej opowieści.

Wigilia 2001

Takiej zimy nie było od lat! Śnieg pokrył miasto białym całunem, a lód skuł rzeki i strumienie lodem. Wszelkie pagórki obsiadła spragniona zimowych figli dzieciarnia wyposażona w sanki, narty i plastikowe, kolorowe jabłuszka. Co odważniejsi bagatelizowali upomnienia dorosłych i rozgrywali spotkania hokejowe, zmieniając pobliski stawek w lodowisko, a wyrwane z płotu żerdzie w profesjonalne kije.

Mały Marcinek przyglądał się temu z szeroko otwartymi oczyma i wypiekami na pyzatej buzi.

– Co oni robią, dziadziu? – zapytał.

Wacław Malinowski obejrzał się przez ramię i spod krzaczastych brwi spojrzął na dokazujących na lodzie chłopaków.

– Hmm, grają w hokeja.

– Fajnie! – wymamrotał zafascynowany malec.

Wacław zachichotał. Uwielbiał swojego jedyne wnuka.

– Jeśli ktoś lubi, gdy mu zimno w tyłek! – zagrział. Nagle zmarszczył brwi. Zainteresowanie chłopca zaniepokoiło starszego pana. – W każdym razie nie powinni wchodzić na lód, bo to niebezpieczne. Kiedy wrócą do domu, ojcowie przetrzepią im skórę i niech mnie, będą mieli rację!

– Dziadziu, trzepałeś mamie skórę? – zainteresował się nagle Marcinek. – Czym? Trzepaczką do dywanu czy do jajek?

Stropiony Wacław mocniej zacisnął dłoń na łapce kilkulatka i pociągnął go w kierunku miasta.

– Twoja mama była grzecznym dzieckiem – mruknął pod nosem. – Za to babcia ma diabła za skórą i jeśli zaraz nie doniesiemy jej tych jajek, będziemy się mieli z pyszna!

Marcin skinął poważnie głową.

– Tak, zawsze mamy się z pyszna, gdy babcia piecze szarlotkę! – obliznął się łakomie, interpretując słowa dziadka z prostą dziecięcą logiką. Zaczął wyciągać nogi, by dorównać kroku starszemu mężczyźnie, ale widok szalejących na stawie chłopców powracał do niego jak bumerang. Co rusz odwracał się za siebie, jednak staw zniknął już za pagórkami i tylko pojedyncze radosne okrzyki świadczyły o zabawie, która się tam odbywała.

Wacław spojrzął z czułością na chłopca. Tegoroczne święta zapowiadały się wesoło. Po raz pierwszy od lat Malinowscy mieli je spędzić z córką i wnukiem, którzy na stałe mieszkali nad morzem. Mieli tylko jedną córkę, a ona ułożyła sobie życie z dala od rodzinnego miasta i rzadko zjawiała się w domu. Wszyscy zabiegani, zapracowani, wzdychał Wacław. Dalby wiele, by częściej widywać Marcinka.

No, ale teraz nacieszy się wnukiem aż do Nowego Roku! Wrócą do domu, wypiją gorącą herbatę i wspólnie ubiorą choinkę, a potem będą wypatrywać pierwszej gwiazdki, nasłuchując przez ścianę odgłosów krzątających się po kuchni kobiet. Tata Marcina nie przyjechał na święta, podobno nie mógł zostawić firmy na tak długi okres, ale Wacław podejrzewał, że czerwone obwódki naokoło oczu córki nie są wyłącznie efektem kataru.

Mieszkanie pod numerem czterdziątym powitało ich aromatem pieczonego ciasta. Upragniona szarlotka Marcinka studziła się na stole w dużym pokoju, przykryta wykrochmaloną poszewką. Chłopiec złapał przyniesione jajka i pobiegł do kuchni, ale zajęte pichceniem kobiety opędały się od niego jak od natrętej muchy.

– Nie będziemy z nimi zadzierać. – Dziadek puścił do niego oko i zaciągnął do pokoju.

Przy oknie stała już rozłożysta choinka z zielonego tworzywa i karton kolorowych bombek.

Chłopcu aż oczy zaświeciły się do tych cudniek. Razem z Waclawem stroił drzewko w błyszczące kule, szeleszczące łańcuchy i drewniane -figurki. Niektóre gałązki były tak wysoko, że dziadek musiał go podnosić. Za każdym razem stękał przy tym boleśnie i zapewniał, że Marcinek waży co najmniej pięćdziesiąt kilo. Kawał chłopca! Chłopiec śmiał się do rozpuku. W pewnym momencie dotknął nosem kłujących gałązek i rozczerowany wykrzywił buzię w podkówkę.

– Nie pachnie! – poskarżył się.

– A chciałbyś, żeby pachniała? – zachichotał dziadek. – W takim razie w przyszłym roku postaram się o żywe drzewko! A tymczasem... – Puścił do wnuka oko i wyszedł na chwilę z pokoju. Gdy wrócił, trzymał w ręku sosnowy odświeżacz powietrza. Psiknął kilka razy po plastikowym pniu i wciągnął w płuca nowy aromat. – Ale śmierdzi! Babcia nas powiesi za uszy! Albo, co gorsza, za nos!

Na koniec uroczyście założyli złotą gwiazdę, która w rodzinie Malinowskich była od lat. To mama Marcinka zrobiła ją na zajęciach plastycznych w szkole podstawowej! Zachwyceni patrzyli na drzewko mieniące się kolorowymi światełkami.

W tym momencie do pokoju weszła babcia. Tak jak spodziewał się Waclaw, pociągnęła nosem i załamała rękę.

– Co wyście tu nabroili? Otwórz okno i zabierz dzieciaka na pole! Niech nie siedzi w tym zaduchu!

Marcinkowi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Z głośnym piskiem rzucił się do przedpokoju wkładać kozaki i grubą kurtkę. Waclaw obrzucił tęsknym spojrzeniem szklanę z herbatą i westchnął. Nie uśmiechało mu się siedzenie na mrozie, ale nie śmiał sprzeciwić się dziarskiej małżonce. Szczególnie że w pokoju rzeczywiście okropnie śmierdziało!

Wyszli przed blok i zatrzymali się na niedużym placyku. Marcinek natychmiast rzucił się na śnieg i zaczął poruszać ramionami i nogami.

– Dziadku, zobacz, zobacz! Anioł! Mama mnie nauczyła!

– Trochę koślawy! – zawyrokował starszy pan. – Spróbuj jeszcze raz!

Chłopczyk nie dał się prosić. Stanął nad imponującą zaspą z rozpostartymi ramionami, a potem opadł na plecy z radosnym piskiem. Puszysty śnieg uniósł się nad nim białą chmurą i osiadł na zaczerwienionych od mrozu policzkach.

Chłopak dokazywał na śniegu, a po chwili zainteresował się dziećmi, które z marnym skutkiem usiłowały ulepić pod płotem bałwana. Waclaw przestąpił z nogi na nogę. Włożył trzewiki z cienką podeszwą i szybko poczuł w palcach u stóp nieprzyjemne odrętwienie. Przytupywał w miejscu dla rozgrzewki, ale niewiele to pomagało. Obrzucił krótkim spojrzeniem bawiące się dzieci, a potem zaparkowanego u wylotu uliczki poloneza. W schowku zawsze trzymał ćwiartkę żołądkowej. Lubił sobie od czasu do czasu pociągnąć na lepsze trawienie, ale parę razy przesadził i żona suszyła mu głowę, więc ukrywał alkohol w samochodzie.

– Łyczek na rozgrzewkę – powiedział, oblizując się bezwiednie. – Dzieciak się bawi, a ja wrócę raz-dwa.

I poszedł.

Traf chciał, że przy samochodzie spotkał znajomego z sąsiedniego bloku i zagadał się na temat nadchodzących świąt. Twoja też tak szaleje w kuchni? Stary, w kuchni? Wszystkie okna pomyła! Minus dwadzieścia na termometrze, a ta ze szmatą po parapecie skacze!

Potem przysiadł na przednim siedzeniu, lknął dwa razy z buteleczki, schował ją pod stertę pomiętych map samochodowych, a potem wyciągnął jeszcze raz, bo wnuczek tak dobrze bawi się na śniegu, że z pewnością niesztybko wróci do domu. Po głębszym namyśle wsunął wódkę za pazuchę i z głośnym stęknięciem wygramolił się z samochodu. W dobrym humorze

wrócił przed blok oznaczony piątką.

Ale dzieci zniknęły. O ich wcześniejszej obecności świadczyła niezgrabna bryła, która miała być bałwanem, i kilka niewyraźnych odcisków dziecięcego ciała. Anioły na śniegu.

Wacław poczuł, jak serce w jego piersi zamiera. Przerażony rozglądał się naokoło, nawołując wnuka, potem wbiegł do klatki schodowej i załomotał do drzwi mieszkania numer jeden. Pani Michalska otworzyła w okamgnieniu, zupełnie jakby czyhała pod progiem.

– Widziała pani Marcinka? – wydyszał.

– Bawił się z dziećmi Muszyńskich. – Ruchem brody wskazała podwórko. – Co się stało?

– Nie ma go – powiedział z rozpaczą. – Na chwilę poszedłem do auta i...

Pani Michalska obrzuciła go współczującym spojrzeniem.

– Widziałam przez okno, że młodzi Muszyńscy wracali do domu. Może Marcin pobiegł na górę?

Wacław skinął głową. Tak z pewnością było! Przeskakując po kilka stopni, dotarł na trzecie piętro i natarł na drzwi oznakowane dziesiątką. Z kuchni wyjrzała zwabiona hałasem żona. Wnuka w mieszkaniu nie było.

Wybiegli na podwórko we trójkę, a chwilę później dołączyła do nich pani Michalska.

– Rozdzielmy się – zauważyła trzeźwo. – Ja pójdę w stronę placu, pani niech idzie ku Kolejowej, a pan na Kalwariankę. Dzieci zjeżdżają tam na sankach, może mu się uwidziało...

– Nie ma sanek. – Matka Marcina szczykała z nerwów zębami.

– To bez znaczenia. Dzieci, jedno od drugiego... – przekonywała pani Michalska.

Wacław poczuł, jak ciemnieje mu przed oczami.

– Staw – wychrypiał.

– Co? – Kobiety spojrzały na niego zdumione.

– Mijaliśmy staw przy konwencie. Dzieciaki ślizgały się na łyżwach, grały w hokeja. Cholernie mu się to spodobało – wyjaśnił głucho.

Bożena Malinowska pisnęła, jej córka zachwiała się, jakby miała upaść.

– Nie ma czasu do stracenia – zakomenderowała pani Michalska. – Niech pan rusza nad staw, my sprawdzimy okolicę.

– Ja pójdę z ojcem – wyszeptala mama Marcinka. Nagle spojrzała na niego z wyrzutem. – Miałeś go pilnować!

Wacław wybelkotał coś niezrozumiałego i rozłożył ręce w geście bezradności. Chciał jej powiedzieć, że Marcinek robił anioły na śniegu, które mu pokazała, i że bawił się z dziećmi. A on do samochodu poszedł tylko na parę minut, a tak to cały czas miał malca na oku. Zamierzał wszystko wytłumaczyć, ale gdy poruszył ramieniem, zza pazuchy wypadła na wpół opróżniona butelka i bezgłośnie zatonała w zaspie. Kobiety patrzyły na nią w milczeniu, a potem córka doskoczyła do niego z dzikim wrzaskiem.

– Pileś!

Krzyczała, a on zasłonił uszy rękami i poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy. Bez słowa ruszył przed siebie, wyszedł na główną ulicę i skierował się w stronę Zebrzydowic i stawu, na którym nastoletnie łobuziaki wcielały się w zawodowych hokeistów, narażając zdrowie i życie. Za plecami słyszał poskrzypywanie śniegu i cichy szloch córki. Nie obejrzał się ani razu. Za bardzo się wstydził.

Nie znaleźli nad stawem Marcinka, nie było też starszych dzieci. Z pewnością wróciły do domu zwabione wizją aromatycznego barszczu i kolorowych podarków. Malinowski i jego córka wrócili do mieszkania przy ulicy Weissa. W łazience Bożena kąpała Marcinka. Znalazła go na pobliskim pagórku, gdzie wraz z innymi dziećmi dokazywał na sankach.

Córka bez słowa wyjęła małego z wanny, osuszyła puchatym ręcznikiem i ubrała w ciepły

dres. Potem nałożyła mu kurtkę, czapkę i kozaki. Spojrzała ojcu prosto w oczy i wycodziła:

– Kiedy byłam dzieckiem, spadłam z roweru, bo uczyłeś mnie jeździć po pijaku. Dzisiaj naraziłeś życie mojego syna. Nigdy więcej na to nie pozwolę.

Uściskała matkę i nie zważając na protesty szlochającego chłopca, wyszła z mieszkania. Skamieniały Waclaw usiadł przy stole, opierając łokcie na śnieżnobiałym, wykrochmalonym obrusie. Gdzieś w tle grała kolęda. „Lulajże, Jezuniu”.

Wspólnie przystrojona choinka zalotnie migotała kolorowymi światełkami, a z jej gałązek unosił się duszący zapach sosnowego odświeżacza. To były najsmutniejsze święta w domu Malinowskich i takie miały już pozostać. Choć Waclaw wielokrotnie dzwonił i prosił córkę o przebaczenie, pozostała głucha na jego słowa.

Kiedy zbliżała się kolejna Gwiazdka, poszedł na plac targowy i kupił najpiękniejszą żywą choinkę, jaką znalazł. Nie ubierał jej do samego końca, łudząc się, że w progu mieszkania stanie córka z rodziną. Na próżno. Przelykająca łyż Bożena zawiesiła na niej kilka samotnych bombek na pięć minut przed wieczszą wigilijną. Waclaw udawał, że tego nie widzi.

Mijały lata, a on co roku kupował dorodną choinkę. I co roku dzień po Szczepanie wynosił ją na śmietnik, z przyczepionymi do gałązek bombkami, światełkami i powiewającymi na wietrze srebrzystymi łańcuchami.

Któregoś roku Bożena poprosiła:

– Daj już spokój. Nie kupuj więcej...

Potrząsnął głową i zrobił po swojemu. Ale tym razem zagapił się i kiedy przyszedł na plac, handlarz zbierał już stoisko. Na pytanie o choinkę rozłożył bezradnie ręce i wskazał porzuconą w kącie jodełkę. Waclaw pomyślał, że brzydszego drzewka jeszcze nie widział. Krzywe, karłowate jakieś, ze zmaltretowanymi w transporcie gałązkami. Ostatnia choinka, jaką miał handlarz. Nie było wyjścia. Waclaw złapał za plastikową donicę i przytaszczył drzewko na Weissą. Na widok jodełki Bożena złapała się za głowę. Żadna bombka, żaden łańcuch – nic nie było w stanie ukryć szkaradzieństwa tego drzewka!

Waclaw ustroił je własnoręcznie, a potem długo stał przy oknie i gapił się na podwórko. Późnym wieczorem zadzwoniła córka. Pozwoliła mu zamienić kilka słów z wnukiem, a Marcinek opowiadał, jaką piękną ma choinkę.

– A jaka jest twoja choinka, dziadziu? Czy pachnie?

– I to jak – powiedział przez łyż Waclaw.

– Przyjadę ją zobaczyć – obiecał chłopczyk.

Waclaw milczał. Coś w nim pękło. Wiedział, że córka nie przyjedzie, że nigdy mu nie wybaczy, ale trzymał się słów chłopca jak koła ratunkowego. Zamierzał wyrzucić cholerną, paskudną jodełkę na śmietnik, zdeptać w złości kruche zielone gałązki, ale zrezygnował. Przecież Marcinek obiecał, że przyjedzie ją obejrzeć. Trzymał więc drzewko przez cały styczeń, a kiedy nadszedł luty i święto Matki Boskiej Gromnicznej, Bożena chrząknęła znacząco.

– Nie wynosisz choinki? – napomknęła.

Wyniósł więc donicę na zewnątrz i ustawił przy ścianie budynku. Pani Michalska broniła ją przed szwendającymi się po osiedlu kundelkami. A kiedy nadeszła wiosna i ziemia na powrót zaczęła oddychać, wziął szpadel i nie pytając nikogo o zdanie, posadził drzewko w centralnej części placu przed blokiem. Dokładnie tam, gdzie Marcin dokazywał na śniegu, kreśląc w białym puchu postacie śnieżnych aniołów.

Od tej pory w mieszkaniu Malinowskich nie ubierało się choinki. Bożena przynosiła od znajomych świerkowe gałązki i robiła kolorowe stroiki, a Waclaw nie brał do ust kropli alkoholu. Na samą myśl robiło mu się niedobrze. A kiedy nadchodziły święta, stał przy kuchennym oknie i wpatrywał się w rozkołysany wiatrem czubek zielonej jodełki, lichej, sponiewieranej przez

sikające kundle. Wczepiał się wzrokiem w ten czubek, tak jak czepiał się nadziei, że wnuk w końcu pojawi się w progu mieszkania przy ulicy Weissa, ale jedyne, co widział, to cień gałązek układający się na śniegu w znajomy kształt. Długo nie umiał go zidentyfikować, aż pewnego dnia odkrył, że wie, jak wygląda. Zupełnie jak anioł na śniegu.

Wigilia

Wigilia

Dziwna atmosfera zapanowała w bloku przy ulicy Weissa. Mieszkańcy celebrowali Wigilię, ale ich myśli co rusz uciekały ku ściętemu drzewku. Pomimo to nie brakowało im chwil radości i wzruszeń.

Marzena i Stasia zjadły wieszczkę wigilijną w kuchni, podjadając sobie wzajemnie pierogi z talerza i żartując, że jeśli Marzena naprawdę pochłonie ten wielki kawał makowca, który zachomikowała za stertą książek z biblioteki, zamieni się w gigantyczną bombkę choinkową. W którymś momencie zabrzączał dzwonek. Zaskoczone spojrzały po sobie, bo nie spodziewały się żadnych gości. Kiedy Marzena uchyliła drzwi, ujrzała Macieja i zarumienioną z emocji ciemnowłosą kobietę. Mężczyzna uśmiechnął się łobuzersko, mówiąc:

– Panie jeszcze nie miały okazji się poznać. Moja matka – wskazał na swoją towarzyszkę, po czym uśmiechnął się do Marzeny – a to Marzena, moja przyszła żona.

U Kwiatków spałaszowano już paszteciki z nadzieniem grzybowym, karpia w chrupiącej panierce oraz śledzia z suszonymi pomidorami, cebulką i musztardą francuską naprędce przygotowane przez Monikę i właśnie wniesiono tartę na kruchym spodzie i piaskową babkę. Tarta była trochę przypalona, a babka może ciut za słodka, ale liczyło się to, że zostały własnoręcznie upieczone przez gospodynię. Przepis Zuzanny nie zawiódł, a i blacha wskazana przez matkę Jakuba okazała się nie najgorsza. Pani Michalska rozpyływała się w komplementach, mama Kwiatek usilnie unikała wzroku dozorczyńni, a Monika udawała, że nie widzi, jak teściowa co rusz podsuwa zielonemu na twarzy synowi kolejne smakołyki. I tylko raz zazgrzytała w duchu zębami, gdy teściowa uparła się posadzić Piotrusia na siodelko podarowanego mu rowerku i nie przyjmowała do wiadomości, że minie kilka lat, nim wnuczek do niego dorośnie...

U Jurczyków świątecznie nakryty stół oświetlały dwa sznury lampek choinkowych: nowych, kupionych przez Annę, i starych, połatanych przez Waldemara. Gospodyni podała zupę grzybową i rybę, a potem życzyła Waldemarowi szczęścia. Mężczyzna odłożył przełamany opłatek na stół i wodził za nią wzrokiem. Nie umknęło mu, że żona nerwowo zerka w kierunku leżącej na regale komórki. W pewnej chwili wziął Annę za rękę i poprosił, by usiadła.

– Muszę ci coś powiedzieć – oświadczył.

Anna zbladła i złapała się za serce.

– O Boże.

Waldemar potrząsnął głową.

– Wyjeżdżam po świętach. Sam.

Anna zaniemówiła.

– Naprawdę? – wydukała po chwili.

Miała ochotę zapytać, co sprawiło, że zmienił zdanie, ale trochę się bała.

Waldemar musiał wyczytać z twarzy jej rozterki, bo wzruszył ramionami.

– Zrozumiałem, że nasze wspólne życie dobiegło końca i powinniśmy pójść każde w swoją stronę. Rozwód to najlepsze wyjście. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa – mruknął. – I że nie wystąpisz z pozwem zawierającym orzeczenie o winie.

Zuzanna Fijus była w swoim żywiole. Ubrana w elegancką granatową sukienkę podawała rodzinie świąteczne przysmaki. Białe barszcz z grzybami, pierogi polane maselkiem z cebulką, chrupiącego karpia, kompot z suszonych owoców, maleńkie uszka nadziewane leśnymi grzybami, sałatki, ciasta, bakalie – wszystko cudownie pachniało i wyglądało, a jeszcze lepiej smakowało. Gdy po wieszczce usiedli wokół choinki, by wspólnie zaśpiewać *Bóg się rodzi*, a Nuda złożyła u stóp Zuzanny sponiewieraną na dziesiątą stronę głowę pluszowego karpia,

zabręczała komórka Kajetana. Na widok nazwiska szefa Fijus aż się spocił.

– Słucham – jęknął strachliwie do telefonu.

– Fijus, hmmm, wesołych świąt – zaskrzeczał Milewski senior. – Chciałem pana poinformować, że doszło do pewnego nieporozumienia. Jeszcze raz przeliczyłem pieniądze w kasie i wygląda na to, że wszystko się zgadza. Nie jest mi pan nic winien.

– Dziękuję – wybełkotał oszołomiony Kajetan. – We-sołych świąt, smacznego jajka...

– Hmmm, dziękuję. Po przerwie świątecznej musimy porozmawiać, Fijus. Mam wrażenie, że od bardzo dawna należy się panu podwyżka.

– Naprawdę? To znaczy świetnie! – ucieszył się Kajtek.

– I jeszcze jedno... Będzie pan łaskaw po świątach zamówić gruntowne czyszczenie komina?

Wigilię świętowano także w pensjonacie U Mariolki. Co prawda Lucyna marudziła na plastikowe tacki i pierogi z kuchenki mikrofalowej, a Kalina w ostatniej chwili zdarła z Basieńki pluszowy kostiumik renifera, ale i tak było miło. Ku zdumieniu wszystkich okazało się, że kolacja wigilijna zjedzona na rozbebeszonym łóżku kontuzjowanej Lucyny zbliżyła ich do siebie bardziej niż ta za elegancko nakrytym stołem. Po posiłku Lucyna gładziła włosy Basi, nucąc *Lulajże Jezuniu*, a Kalina wyszła na parking, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Tam natychmiast dorwała ją właścicielka pensjonatu, prosząc, by podzieliła się z nią swoimi doświadczeniami dotyczącymi opieki nad psem.

Pani Michalska wymknęła się z mieszkania Kwiatków i zeszła na podwórkę. Zatrzymała się nad strzaskanym pnem po jodełce, a następnie obrzuciła spojrzeniem budynek. Znała rozkład poszczególnych mieszkań, wiedziała, gdzie jest kuchnia, gdzie pokój. Widziała kolorowe światełka w regularnych odstępach. I widziała pomarańczowy prostokąt okna na trzecim piętrze, na tle którego wyraźnie odcinała się sylwetka samotnego mężczyzny.

Nagle wyczuła czyjaś obecność. Odwróciła się i napotkała pytające spojrzenie Moniki.

– Potrzebuję twojej pomocy – zaskrzeczała.

Młoda matka wysłuchiwała jej bez słowa, a potem skinęła głową.

– Mam coś, co może się pani przydać. Zrobimy tak...

Pasterka zakończyła się kwadrans po pierwszej.

Mieszkańcy bloku przy ulicy Weissa wracali pogrążonymi w ciemnościach ulicami zbici w ciasną grupkę. Nie wszyscy uczestniczyli w nabożeństwie, więc nie była ona zbyt liczna, ale wśród obecnych panowała serdeczna atmosfera. Monika zerknęła przez ramię, aby sprawdzić, czy nikt się nie zawieruszył. Pani Michalska zastrzegła, by wszyscy zjawili się pod blokiem równocześnie, czego osobiście zamierzała dopilnować. Starszej pani się to należało. Za nogę złamaną w ubiegłym roku, za utraconą jodełkę i za wszystko, co robiła, by dbać o mieszkańców bloku przy Weissa 5.

Na szczęście wszyscy byli na miejscu. Zaraz za kobietami szedł Maciej ze Stasią i matką, a dalej Jakub, Kajetan i zasapana pani Malinowska uczepiona ramienia sąsiadki z mieszkania numer dwanaście. Brakowało Waldemara, mamy Kwiatek, która została w mieszkaniu z Piotrusiem, a także sąsiadów spod trójki i jedenastki. Ci ostatni byli powszechnie nie lubiani, szczególnie odkąd na jaw wyszło, jak paskudnie traktowali Nudę.

Lokatorzy weszli między bloki. Gdzieś w oknach i na balkonach migotały kolorowe światełka, rozpraszając mrok grudniowej nocy. Jakub przypomniał sobie ubiegłoroczne dekoracje zaaranżowane wspólnymi siłami przez matkę oraz żonę i poczuł, jak wstrząsa nim dreszcz. Zuzanna stękała niezadowolona. Nie mogła odżalować uroczych dekoracji, które kupiła z myślą o jodełce. Dobrze, że chociaż kwestię tego nieszczęsnego podarku zdołała załatwić, choć kręciła nieco nosem na rozwiązanie zaproponowane przez Annę.

– A miało być tak pięknie... – powtarzała.

Monika przygryzła wargę, by nie parsknąć śmiechem.

– O co chodzi? – dopytywała zaaferowana Anna, ale młoda pani Kwiatek wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się niepewnie.

Tak naprawdę nie musiała już nic mówić, bo właśnie weszli na podwórko przed blokiem i wszystko było widoczne jak na dłoni. Ujrzawszy miny swoich przyjaciółek, a w szczególności Zuzanny, Monika wybuchnęła gromkim śmiechem.

Podwórko zalewało rześiste światło z kolorowych lampek zawieszonych na płocie oddzielającym plac przed blokiem od sąsiedniej posesji. Wśród tęczywych refleksów uwijały się zaś dwa Mikołaje w czerwonych filcowych czapeczkach. Jeden z nich – ten w kozakach na grubej podeszwie – witał mieszkańców bloku pachnącymi pierniczkami i skrzeczał zrzędlawie:

– Wesołych świąt, wesołych...

– Co to ma być? – wybełkotała przerażona Zuzanna. – Rany boskie! Czy to... moje światełka?

– Nie marudź – syknęła w odpowiedzi Monika i delikatnie popchnęła ją w kierunku wejścia do klatki schodowej – tylko zasuwasj po wór z prezentami!

*

Wesoły nastrój zapanował przy ulicy Weissa. Już po raz drugi mieszkańcy spotkali się pod blokiem, by razem świętować wyjątkowy czas narodzin Chrystusa. I choć tym razem zabrakło rozkołysanych zielonych gałązek jodełki i padającego śniegu, radosny śpiew niósł się po kalwaryjskiej uliczce, ofiarując ludziom uśmiech i poczucie wspólnoty.

Śpiewali wszyscy, złączeni serdecznością i ciepłem.

Idealna pani domu, która w najbliższym czasie nie spędzi sylwestra w Portugalii, Paryżu ani na Karaibach, ale za to zaraz po świętach pobiegnie do miejskiej biblioteki, by uregulować dług męża i wypożyczyć kolejną część ognistego romansu.

I przyszła rozwódka, która nazajutrz otrzyma wyjątkowy prezent gwiazdkowy i rozpocznie zupełnie nowe, szczęśliwe życie. Tym razem naprawdę.

I mała dziewczynka wtulająca dłoń w zaokrąglony brzuch swojej mamy, dziękująca Bogu, że ta jest zdrowa.

I ciężarna kobieta przyznająca w duchu, że być może Maryja wiedziała, co robi...

I przyszła babcia zaborczo ściskająca ramię ukochanego syna, szukająca w myśli idealnego imienia dla maleństwa, które przyjdzie na świat za parę miesięcy. Franciszek po dziadku, Genowefa po babci...?

I młoda matka unosząca znacząco brwi na widok tego uścisku, obiecująca sobie, że udzieli niedoświadczonej koleżance kilku cennych rad.

I staruszka, która czerwoną filcową czapkę zamieniła na ulubioną bordową, a teraz wzruszona muskała palcami wydziergane na szydełku płatki śniegu otrzymane w prezencie gwiazdkowym od wdzięcznych sąsiadów.

I starszy mężczyzna, który z myślą o ukochanym wnuku posadził przed laty paskudną jodełkę. I który nie miał pojęcia, że tam daleko, w domu nad morzem, ktoś czeka na jego telefon, marząc o pojednaniu...

Pani Michalska przerwała śpiewanie kolędy i nachyliła się w kierunku mamy Kwiatek.

– Pani Kwiatkova, dobrze pani to sprzątanie szło – pochwaliła. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Nieskromnie przyznam, że mam dryg do roboty... – Matka Jakuba napuszyła się.

– I czasu ma pani chyba sporo?

– Oj, mam, mam.

– Tak mi się właśnie wydawało. – Dozorczyńni zachichotała, mrużąc porozumiewawczo oczy. – Dlatego poleciłam panią na stanowisko księżowskiej gospodyni w sąsiedniej parafii.

– Że co?! – wrzasnęła mama Kwiatek.

– Nie trzeba dziękować, naprawdę! – Pani Michalska rozpromieniła się. – A o wnuka i synową niech się pani nie martwi. Już ja o nich zadbam!

W bożonarodzeniowe przedpołudnie ksiądz Wojciech wydobyl z garażu swojego górala i wybrał się na przejażdżkę. Jadąc Stolarską, dostrzegł jednego ze swoich uczniów i zeskoczył z siodełka, aby się przywitać.

Krzyś był niesfornym dwunastoletnim łobuziakiem, który wiecznie pakował się w tarapaty. Ciągnęły się za nim niezliczone rozbite nosy, stłuczone szyby i podkradane ukradkiem słodczyce. Skargom kolejnych nauczycieli nie było końca. Mimo to Wojtek go lubił. Wiedział, że chłopak nie ma łatwego życia. Matka chłopca nie żyła, ojciec przepadł gdzieś w świecie, a on sam mieszkał ze starszą, schorowaną babcią. Wikary podejrzewał, że to raczej młodzian opiekuje się staruszką, a nie odwrotnie.

Chłopak uśmiechnął się do księdza przyjaźnie, demonstrując wybitą jedynekę.

– Wejdzie ksiądz do babki?

– Czemu nie? – Kiwnął głową. – Na mszy byłeś?

– A ksiądz? – Chłopiec bez mrugnięcia okiem odbił piłeczkę.

Wojtek obrzucił spojrzeniem ubłocone ubranie Krzysia i westchnął.

– Wpadnij w tygodniu na plebanie, pani Genia ma trochę ubrań po wnukach. Znajdzie się jakaś ciepła bluza.

Oczy chłopca zalśniły.

– Z kapturem?

– No ba!

– Z księdza jest porządny ziom. Chce ksiądz gumę?

Przez myśl Wojtka przeszło, że guma prawdopodobnie nie pochodzi z całkiem legalnego źródła, i westchnął głęboko. Poczęstunek jednak przyjął i upchnął w kieszeni kurtki.

Chwilę później siedział w wygodnym fotelu, trzymając w ręku kubek gorącej herbaty i kawałek wysuszonego makowca. Zaciekawionym spojrzeniem powiódł po pokoju, zatrzymując wzrok na stojącej w rogu kolorowej choince.

– Ma pani piękną choinkę – powiedział z podziwem.

Starsza pani skinęła głową i z uśmiechem wskazała na wnuka.

– Krzyś ją dla mnie przyniósł. Podobno leżała na śmietniku koło placu targowego. Pewnie się nie sprzedała i ktoś wyrzucił. Wie ksiądz, ja tak marzyłam, by po raz ostatni poczuć zapach prawdziwej choinki...

Ksiądz Wojciech skinął głową i upił łyk herbaty. Zapatrzył się na drzewko. Rzeczywiście, bez kolorowych ozdóbek pewnie nie grzeszyło urodą. Gałęzie miało liche, igły przykrótkie i niezbyt gęste, a na dodatek jakiś ptak ofajdał je białym kleksem, czego nikt najwyraźniej nie dostrzegł, wieszając ozdoby. Wojtka coś tknęło. Palcami wymacał trzymaną w kieszeni kostkę gumy do żucia, po czym wydobyl ją i spojrzal z namysłem na różowe opakowanie. Obejrzał się za siebie. Chłopca w pokoju już nie było.

– Myśli ksiądz, że on ją ukradł? Z lasu? – zaniepokoiła się nagle starsza pani.

Wojciech spojrzal w wyblakłe niebieskie oczy spoglądające na niego z nadzieją i

potrzęsął głową.

– W żadnym razie – zapewnił z ciepłym uśmiechem.

Gdy chwilę później wyszedł na podwórko, chłopak siedział na furtce i przyglądał mu się ze stropioną miną.

– Pewnie z tą bluzą to już nieaktualne, co? – bąknął.

– Wprost przeciwnie. – Wojtek westchnął, sięgając po oparty o płot rower. – Na plebanii będzie czekała na ciebie bluza, a w kieszeni znajdziesz adres. Mieszka pod nim starszy, schorowany człowiek. Przyda mu się pomoc przy gromadzeniu opału, a ty, zdaje się, całkiem nieźle machasz siekierką, co nie?

Podziękowania

Kochani czytelnicy!

Dziękuję Wam za kolejne literackie spotkanie i za to, że wróciliście ze mną do Kalwarii i spotkaliście się z mieszkańcami bloku przy ulicy Weissa. Pierwotnie historia Zuzanny i pozostałych bohaterów *Czterech płatków śniegu* miała być pozbawiona kontynuacji, ale nie potrafiłam zlekceważyć Waszych wiadomości: e-mailowych i facebookowych, w których słaście do mnie ciepłe słowa i dopytywaliście o dalsze ich losy. Dziękuję Wam za nie. Nie macie pojęcia, ilu wzruszeń mi dostarczyły, ile radości sprawiły. Mam nadzieję, że stworzona przeze mnie historia także okazała się jej źródłem. Może zainspiruję Was do odwiedzin w naszym uroczym małopolskim miasteczku? Albo w położonej nieopodal Lanckoronie, która ma tak fascynującą historię i niezwykły klimat, że aż mnie opuszki palców śwędzą?

Dziękuję moim najbliższym, dzięki którym święta są takie wyjątkowe. Mam nadzieję, że za kilkanaście/kilkadziesiąt lat Milenka będzie je wspominać tak miło, jak ja wspominam Boże Narodzenie ze swojego dzieciństwa. I te jajowate żaróweczki i Jezuska w żłóbku ze sklejki...

Dziękuję moim przyjaciółkom. Dzięki takim osobom jak one wiem, że to nie więzy krwi są najważniejsze, ale więzy serca.

Dziękuję Asi Wolf i Magdzie Majcher za codzienne rozmowy i wsparcie. Dziękuję blogerom, czytelnikom, pracownikom księgarni i bibliotek za promowanie moich szalonych bohaterów i polecanie ich przygód kolejnym molom książkowym. Dziękuję członkom grupy *Fani książek Joanny Szarańskiej* i fanom strony na Facebooku. Zdarza się, że nasze codzienne pogawędki w komentarzach, posty i zdjęcia są moją inspiracją. W obawie, że kogoś pomnę, postanowiłam nie podawać nazwisk i stron, ale naprawdę doceniam i gorąco dziękuję za wszystko.

Dziękuję mieszkańcom Kalwarii i okolic za cierpliwość i zrozumienie dla moich praktyk pisarskich. Wykorzystuję w powieści charakterystyczne lokalizacje i miejsca, by wprowadzić czytelnika w klimat naszego miasteczka. Właścicielom cukierni Pysia bardzo dziękuję za miejsce w gablotce dla *Czterech płatków śniegu*. Kochani czytelnicy, jeśli natkniecie się na Szarańską za szybą, to wiedzcie, że to właśnie TA cukiernia, gdzie Anna spotyka się z Felicjanem, a pani Michalska zamawia pierniczki z cukrem i glutenem, jak Bóg przykazał ;).

Dziękuję za owocną współpracę mojej drogiej redaktor Adzie, a także Kindze i osobom odpowiedzialnym za korektę, oprawę graficzną, promocję etc. Cóż, nie jest i nie będzie inaczej, każda książka to nasze wspólne dzieło!

Do szybkiego zaczytania!



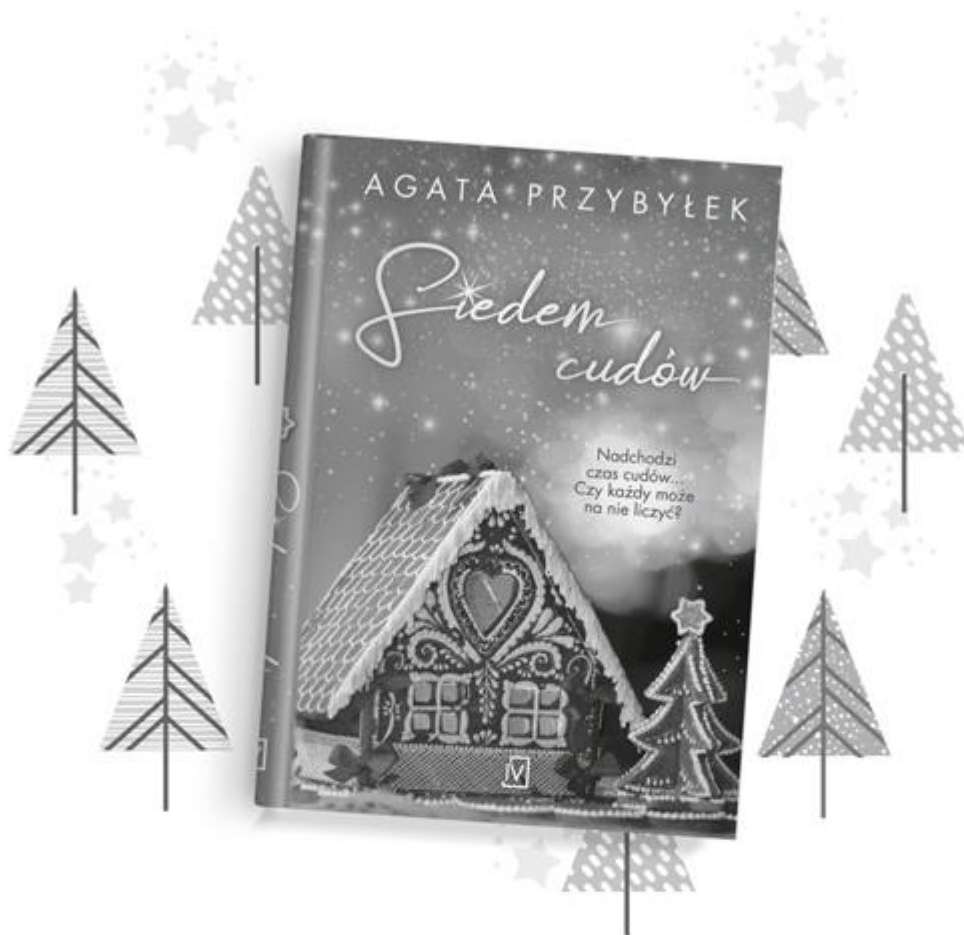
Zaplanuj cudowny czas razem z Gabrielą Gargaś!

Jesteś przedsiębiorczą kobietą, artystką, blogerką albo mamą na pełny etat? A może czujesz, że masz za mało czasu dla siebie i bliskich?

Gabriela Gargaś stworzyła ten planer z myślą o Tobie!

Autorka bestsellerowych powieści obyczajowych pomoże Ci zaplanować dni pełne obowiązków i weekendy totalnego odpoczynku. Będzie wspierać Cię w realizacji Twoich celów, a w trudnych chwilach rozbawi jak nikt inny. Ciepłe słowa i motywujące rady Gabrieli Gargaś będą Ci towarzyszyć każdego dnia. Zapisz cele, które są dla Ciebie naprawdę ważne, przestań przejmować się opiniami innych i posłuchaj siebie.

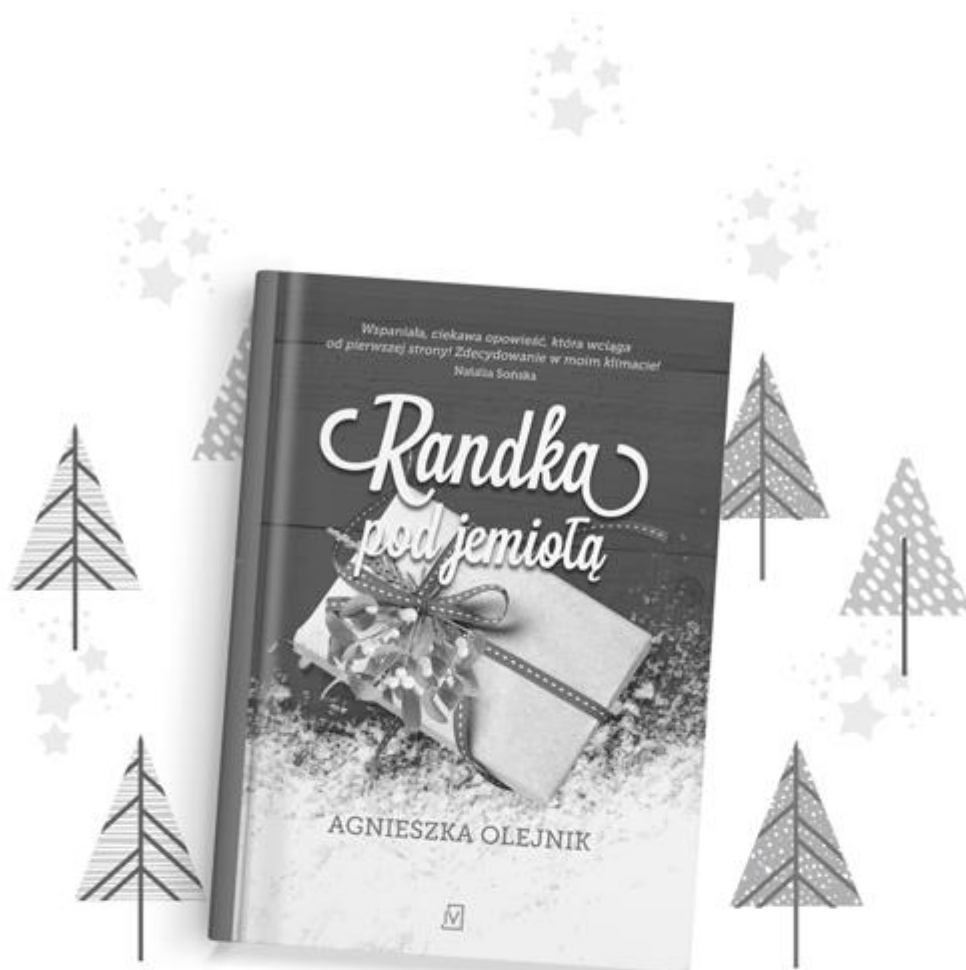
Już dziś zacznij spełniać swoje marzenia!



*Nadchodzi czas cudów.
Tylko czy każdy może
na nie liczyć?*

Zostało siedem dni do świąt, lecz Monice daleko do świątecznego nastroju. Ciągłe wpada na byłego chłopaka, dłatego marzy, by już pojechać do rodzinnego domu. Jednak tam, mimo aromatu pieczonych już przez mamę pierników, nikomu nie udziela się radosna atmosfera. Tata Moniki stracił pracę, ale nie chce nikomu o tym powiedzieć. A brat niefortunnie myli datę urodzin swojej ukochanej z urodzinami dawnej partnerki, co stawia pod znakiem zapytania skrzętnie planowane zaręczyny. Co jeszcze może pójść nie tak?

Ta książka to wyjątkowa opowieść o tym, co w życiu naprawdę ważne. Będzie chwilami lekko, a chwilami wzruszająco dokładnie tak, jak potrafi pisać tylko Agata Przybyłek!



Czy pocałunek pod jemiolą zawsze przynosi szczęście?

Joanna jest szczęśliwą mężatką. Nie przeszkadzają jej nawet staroświeckie poglądy jej męża dotyczące tego, jak powinna wyglądać i zachowywać się jego żona. Musi mieć długie włosy, zapinać guziki bluzki niemal pod samą szyję i zawsze trzymać w ręce najważniejszy atrybut domowego ogniska – ściereczkę do kurzu. Wszystko jednak się zmienia, gdy Joanna odkrywa, że mąż ją zdradza. Wraz z radykalną zmianą fryzury, bohaterka postanawia całkiem odmienić swoje życie.

Jej decyzja pociąga za sobą szereg konsekwencji – Joanna będzie musiała stawić czoła flirtującemu dyrektorowi szkoły oraz na nowo przemyśleć swój stosunek do pracy. Na szczęście, odkryje wokół siebie ludzi, którzy zawsze będą gotowi jej pomóc.

A gdy nadejdzie grudzień i pod butami zacznie skrzypieć śnieg, a wokół unosić się zapach pierników i pomarańczy, nikt nie będzie potrafił oprzeć się uczuciu.
W te święta każdy potrzebuje odrobiny bliskości.



*Usiądź wygodnie, zrelaksuj się i weź do ręki niezwykłą
opowieść o Mai, która pozostaje wierna swoim marzeniom
niczym baśniowa Calineczka...*

Nie ma nic wspanialszego niż dwie bratnie dusze, które spotykają się po latach. Chciałoby się wykrzyknąć, że miłość zawsze znajdzie właściwą drogę. Jednak rzeczywistość może nas zaskoczyć, a pozory potrafią mylić... Los pisze dla Mai swój własny scenariusz. Nadopiekuńcza ciotka usiłuje po swojemu ułożyć życie dziewczyny, lecz nie tylko ona...

Czy świąteczny czas okaże się dla Mai łaskawy? Przekonaj się, że małe cuda są możliwe – wystarczy w nie tylko uwierzyć.

Po bestsellerach *Garść pierników*, *szczypta miłości* i *Obudź się, Kopciuszk* Natalia Sońska po raz kolejny czaruje urzekającym, zimowym klimatem. Zakończasz się w jej powieściach!



*Czy wierzysz w magię wigilijnej nocy?
Czy szept twojego życzenia przemienił się
kiedyś w rzeczywistość?*

Wyobraź sobie dziewczynkę, której ludzie ofiarowują swoje historie. Nie przypuszczają, że słowa wypowiedzane na głos mogą wpływać na ich przyszłość. Historia jak z bajki? W święta to możliwe! Tylko że marzenia mogą żyć swoim życiem i nie zawsze spełniają się w taki sposób, jak to sobie zaplanowaliśmy. Czasami los zgotuje nam zupełnie inną historię...

Razem z bohaterami najnowszej książki Karoliny Wilczyńskiej pocuj się życzeń wypowiedzanych u progu Bożego Narodzenia. A Ty, o czym dziś marzysz?